

Najbardziej przepiękna
powieść Nory Roberts.
Od tej powieści było słab.
Pamiętam wtedy

NORA ROBERTS

KONIEC
RZEKI

Nora Roberts

Koniec rzeki

Tytuł oryginału

River's end

W lasach głęboka, piękna zima,

Lecz ja obietnic mam dotrzymać

I wiele mil przejść, zanim zasnę.

I wiele mil przejść, zanim zasnę.

Robert Frost

Prolog

Potwór wrócił. Cuchnął krwią. I budził grozę. Nie miała wyjścia. Musiała puścić się biegiem, tyle e tym razem biegła w jego stronę.

Wspaniała gęsta puszcza, która niegdyś była jej rajem, która zawsze była jej sanktuarium, teraz przypominała koszmar.

Majestatyczne drzewa przestały być świadectwem witalności przyrody, lecz stały się ywą pułapką, w którą ona mogła wpaść, a w której on mógł się ukryć. Lśniący kobierzec mchu przybrał postać bulgoczącego trzęsawiska, które wciągało jej buty.

Przedzierała się przez paprocie, rwąc ich oślizgłe wachlarze na strzępy, potknęła się na spróchniałym pniu, niszcząc załą ki budzącego się w nim ycia. Zielone cienie migały przed nią, obok niej, za nią, i wołały ją szeptem po imieniu.

Liv, kochanie. Chodź, opowiem ci bajkę.

Z jej gardła wyrwał się jęk. Zawładnęły nią strach i rozpacz.

Krew na jej palcach stała się zimna jak lód. Deszcz zaczął

bębnić miarowo o rozkołysany wiatrem baldachim lasu.

Zapomniała ju , czy to ona ściga, czy sama jest ścigana.

Musi go znaleźć, w przeciwnym razie on znajdzie ją. I wszystko się skończy. Tym razem nie stchórzy. Jeśli pozostało jeszcze jakieś światło na tym świecie, odnajdzie ukochanego mę czyznę. I to ywego.

Zwinęła dłoń ze śladami jego krwi i uniosła ją do góry jak nadzieję. Jej palce zacisnęły się na jedynej broni, jaką miała przy sobie. Wiedziała, e jest zdolna nawet zabić, eby ocalić 3 ycie.

Przez ciemnozielone światło, ścigana jeszcze ciemniejszymi cieniami, dojrzała potwora takiego, jakim zapamiętała go z nawiedzających ją koszmarów.

Był cały zakrwawiony i wlepiął w nią oczy.

Rozdział pierwszy

Beverly Hills, 1979

Olivia miała cztery lata, kiedy zjawił się potwór. Wtargnął

do jej snów, lecz wcale nie we śnie. Pewnej nocy w środku lata, podczas pełni księżyca o tarczy jasnej i okrągłej jak serce dziecka, wśród zapachu róży i jaśminów, wdarł się do jej domu, aby ścigać i mordować.

Potem już nic nie było tak jak dawniej. Jego duch bowiem na zawsze splugawił wspaniały dom z mnóstwem przestronnych pokoi i błyszczących posadzek.

Matka uczyła Olivie, że na świecie nie ma potworów.

Istnieją tylko na niby, a zatem złe sny dziewczynki są tylko snami. Kiedy tamtej nocy zobaczyła potwora, usłyszała go i poczuła jego zapach, matka nie mogła jej powiedzieć, że on nie istnieje naprawdę. Nie było już nikogo, kto usiadłby na jej łóżku i opowiadał piękne bajki, aby znów zasnęła.

Tata opowiadał najpiękniejsze bajki. Cudowne bajdurki o różowych yrafach i dwugłowych krowach. Ale zachorował, a przez tę chorobę zaczął się zachowywać okropnie. Mama

powiedziała jej, że musiał wyjechać i wróci dopiero, kiedy wyzdrowieje. Dlatego mógł ją odwiedzać tylko czasami, a podczas tych wizyt mama, ciocia Jamie albo wujek David siedzieli przez cały czas w jej pokoju.

Tylko raz pozwolono jej odwiedzić tatę w jego nowym domu na plaży. Pojechała tam z ciocią Jamie i wujkiem Davidem. Patrzyła z zapartym tchem przez szklaną ścianę, jak wielkie fale rosną, a potem opadają. Tata chciał ją nawet zabrać na plażę, aby tylko we dwoje budowali tam zamki z piasku, ale ciocia się nie zgodziła. Bo nie wolno. Kłócili się przyciszonym szeptem, jak dorośli, którzy myślą, że dzieci tego nie słyszą. Ale Olivia słyszała, więc siedziała przy oknie wypełniającym całą ścianę i coraz bardziej wbijała wzrok w wodę. Kiedy głosy się nasiliły, zmusiła się do tego, aby nie słyszeć. Nie chciała słuchać, jak tata wymyśla cioci Jamie, ani jak wujek David przestrzega go ostro: „Miej się na baczności, Sam. Miej się na baczności”.

Wszystko zaczęło się dużo wcześniej. Na wiele tygodni przed domkiem na plaży.

Zaczął się nazajutrz rano po tym, jak tata wszedł

wieczorem do jej pokoju i ją obudził. Chodził nerwowo po sypialni i mruczał coś pod nosem. Nie był to przyjemny dźwięk, ale budząc się w swoim wielkim łóżku z białym koronkowym baldachimem, wcale się nie złąła. Bo to był tata. Nawet kiedy poświata księżyca oświetliła mu twarz, napiętą i złowrogą, ona czuła tylko miłość i przejęcie.

Tata nakręcił jej pozytywkę, tę z Dzieweczką o Błękitnych

Włosach, wrócił z Pinokią, która grała melodię A gdy zobaczysz spadającą gwiazdę.

Usiadła na łóżku i uśmiechnęła się sennie.

– Cześć, tato. Opowiedz mi bajkę.

– Dobrze, opowiem – odwrócił głowę i popatrzył na swoją córkę: spod zwichrzonych blond loczków wyzierały wielkie piwne oczy. On widział jednak tylko własną furję.

– Opowiem ci bajkę, Liv, kochanie. O pięknej suce, która uczy się kłamać i oszukiwać.

– A jakiej rasy była ta suczka, tato?

– Jaka znów suczka?

– No, ta piękna.

Złość wykrzywiła mu twarz.

– Nie słuchasz! Nie jesteś lepsza od niej. Przecie powiedziałem, do cholery, e twoja matka to „suka”!

Olivia a się wzdrygnęła na jego krzyk.

– Dlaczego nazywasz mamę pieskiem?

– Bo jest suką! – przejechał ręką po toalecie, strącając pozytywkę i mnóstwo innych skarbów córki na podłogę.

Olivia skuliła się w łó ku i rozpłakała.

Zaczął ją przeproszać, ale wciąż podniesionym głosem.

– Przestań mi tu zaraz płakać! – Obiecał, e odkupi jej pozytywkę.

Wtedy

wbiegła

mama

w nocnej

koszuli

połyskującej w świetle księ yca.

– Na miłość boską, Sam, co ty wyprawiasz? Ju dobrze, Liv.

Ju , maleńka. Nie płacz. Tatusiowi jest przykro.

Na widok tych dwóch złotowłosych głów przytulonych do 6

siebie jeszcze bardziej zawrzał gniewem.

– Przecie ju to mówiłem!

Ale kiedy chciał podejść, eby jeszcze raz przeprosić córkę, ona rzuciła się na niego. Oczy zapalały jej w ciemnościach furią graniczącą z nienawiścią.

– Nie zbli aj się do niej.

– Tylko mi nie zabraniaj zbli ac się do rodzonej córki, Julie.

Mam dosyc twoich nakazów.

– Znów jesteś nawalony. Nie pozwolę ci się do niej zbli yć.

Olivia, chcąc znaleźć się jak najdalej od nich, zsunęła się z łó ka i schowała w garderobie pod stosem pluszowych zabawek. Teraz dobiegały ją tylko potworne wrzaski, znów jakiś hurgot, krzyk bólu mamy.

Potem tata wyjechał.

Wspomnienia tamtej nocy wracały w snach. Wtedy budziła się, zrywała z łó ka i biegła do pokoju mamy. eby się upewnić, czy mama tam jest.

Czasem nocowały w hotelu. Praca mamy wiązała się z wyjazdami. Odkąd zachorował tata Olivii, dziewczynka zawsze towarzyszyła mamie w podró ach. Czasem mówiono przy niej, e mama jest gwiazdą, na co Olivia wybuchała śmiechem. Przecie wiedziała, e gwiazdy to takie światełka wysoko w niebie, a mama była przy niej, tu, na ziemi.

Mama robiła filmy. Tata te robił filmy. Znała opowieść o tym, jak się poznali, udając, e są innymi ludźmi. Zakochali się, pobrali i urodziła im się dziewczynka. Kiedy Olivia tęskniła za tatą, mogła zajrzeć do wielkiego skórzanego albumu, 7

w którym były wszystkie zdjęcia z ich ślubu. Mama była na nich księżniczką w długiej białej świecącej sukni, a tata księciem w czarnym garniturze.

Owej nocy, której zjawił się potwór, Olivia usłyszała przez sen czyjś krzyk. Zaczęła wiercić się i pojękiwać. Ten przejmujący krzyk w końcu ją obudził. Chciała znaleźć się blisko mamy. Zsunęła się z łó ka, przemierzyła na paluszkach dywan, wyszła na korytarz. W sypialni z wielkim niebieskim łó kiem i ślicznymi białymi kwiatami nie było nikogo.

Pachniało w nim mamą, czyli otuchą. Na toaletce stała bateria czarodziejskich flakoników i słoiczków. Olivia chwilę się nimi pobawiła. Zanuciła coś do swego odbicia w wielkim lustrze, ale zachciało jej się spać, więc ruszyła na poszukiwanie mamy.

Przy schodach spostrzegła, e na dole palą się światła.

Drzwi wejściowe były otwarte. Uznała, e pewnie przyszli goście. Cichutko jak myszka zeszła po schodach. Wtedy usłyszała muzykę z ulubionego nagrania mamy: Śpiącej królowny.

Główny hol przechodził w salon, z wysoko sklepionymi sufitami i morzem szklanych tafli, za którymi ciągnęły się ogrody. Był tam ogromny komin z ciemnoniebieskiego lazurytu i białe marmurowe podłogi. W kryształach stało mnóstwo kwiatów.

Teraz kryształy le ały roztrzaskane na kafelkach podłogi, a eleganckie kwiaty poniewierały się w nieładzie. Szkliste kremowe ściany były zbryzgane czerwienią, politurowane stoły

– poprzewracane. W powietrzu unosił się jakiś okropny zapach.

Muzyka wspięła się w crescendo, zawodzące smyczki sięgnęły zenitu. Skamłając i popiskując za mamą, Olivia zrobiła jeszcze kilka kroków do salonu. Tam ją zobaczyła. Mama leżała na boku za wielką kanapą, jedną rękę miała odrzuconą. Jasne włosy przesiąkły krwią. Biały podarty na strzępy szlafrok te się czerwienił.

Olivia poczuła, jak serce łomocze jej boleśnie w piersi.

Oczy wyszły jej na wierzch, coś chwyciło za gardło tak, że nie mogła wydobyć z siebie krzyku.

Potwór, który klęczał nad mamą – potwór z rękami czerwonymi a po przeguby, cały ochlapany tą czerwienią –

podniósł na nią wzrok. Oczy płonęły mu dziko, błyszcząc szklisto, jak kawałki kryształów rozrzucone po podłodze.

– Liv – odezwał się tata. – Bo e mój, Liv.

Kiedy stanął chwiejnie na nogach, dostrzegła w jego ręce srebrno-czerwony błysk zakrwawionych nożyczek.

Krzyk nadal nie wydobył się z jej gardła. Tylko rzuciła się do ucieczki. Potwór był prawdziwy i ją gonił, musiała się przed nim

ukryć.

Słyszała

za

plecami

przeciągły

skowyt

przypominający wycie zwierzęcia zdychającego w lesie.

Pobiegła prosto do swojej garderoby i zakopała się pod stosem pluszowych zwierzaków. Patrzyła tępo w drzwi, ssąc kciuk. Ledwie słyszała potwora, który wył w pogoni za nią, łkał

i wrzeszczał, biegając po całym domu i wzywając ją po imieniu.

Ona zaś skuliła się w sobie, niczym lalka pośród innych zabawek, i czekała, aż przyjdzie wreszcie mama, eby obudzić ją ze złego snu.

Tam właśnie znalazł ją Frank Brady. Nie ruszała się, nie odzywała. Włosy, jaśniutkie i lśniące, spływały z jej ramion niczym strugi deszczu. Twarz miała bladą jak kreda, tylko pod brwiami ciemnymi jak futro norki jarzyły się wielkie bursztynowe oczy.

Oczy jej matki, pomyślał, i serce mu się ścisnęło. Oczy, w które dziesiątki razy patrzył na ekranie. A które niecałą godzinę temu znalazł martwe.

Teraz świdrowały go na wylot oczy dziecka. Zorientował

się, e mała jest w szoku, tote nie wyciągnął do niej rąk, tylko przedstawił się spokojnie:

– Mam na imię Frank. Jestem policjantem. Wiesz, kochanie, co robią policjanci?

Zdawało mu się, e dojrzał błysk w jej oczach.

– Pomagają ludziom. Właśnie jestem tu po to, eby się tobą zająć. To twoje lalki? – podniósł z promiennym uśmiechem Kermita, rozklapaną abę. – Znam tego gagatka. Jest z Ulicy Sezamkowej. Oglądasz ją? A mój szef to wypisz, wymaluj Oskar Zrzęda. Tylko nie powtórz mu tego.

Nadal milczała, więc zaczął wymieniać wszystkie postacie z Ulicy

Sezamkowej,

jakie

mógł

sobie

przypomnieć,

komentując, pozwalając Kermitowi wskakiwać sobie na kolano.

Przyglądała mu się tępym wzrokiem.

– Chciałabyś stąd wyjść? Razem z Kermitem?

Dopiero teraz wyciągnął do niej rękę. Wtedy jej rączka podskoczyła do góry jak marionetka na sznurku. Kiedy kontakt 10

został ju nawiązany, dziewczynka rzuciła mu się w ramiona, dygocząc na całym ciele. Wtuliła twarz w jego ramię.

Chocia pracował od dziesięciu lat w policji, omal mu serce nie pękło.

– No, malutka. Ju dobrze. Wszystko będzie dobrze.

– Tu jest potwór – powiedziała szeptem. Frank wstał, nie przestając jej tulić.

– Ju go nie ma.

– Musiałam się schować. Szukał mnie. Miał no yczki mamy. Ja chcę do mamy.

O Bo e. Mój Bo e – tłukło mu się w głowie.

Na odgłos kroków w korytarzu Olivia krzyknęła cicho i zacisnęła pięści na szyi Franka. Zamruczał do niej uspokajająco i pogłaskał ją po plecach.

– Frank, tu jest... Znalazłeś ją – inspektor Tracy Harmon przyjrzał się dziewczynce wtulonej w ramiona policjanta. –

Sąsiadka mówi, eby odszukać siostrę... Jamie Melbourne. To ona Davida Melbourne’a, agenta muzycznego. Mieszkają jakieś półtora kilometra stąd.

– Trzeba ich zawiadomić. Kochanie, chcesz pojechać do cioci Jamie?

– A tam jest moja mama?

– Nie. Ale pewnie chciałyby, ebyś tam pojechała.

– Chce mi się spać.

– To śpij, kochanie. Zamknij oczka.

– Widziała coś? – spytał niemal bezgłośnie Tracy.

– Aha – Frank pogłaskał po włosach dziewczynkę, której 11

oczy się zamykały. – Jasny gwint, chyba a za du o.

Wrócił. Potwór wrócił. Widziała, jak skrada się po domu.

Miał twarz taty i no yczki mamy. Krew ściekała cienkimi stru kami z migających ostrzy. Głosem taty raz po raz wołał ją po imieniu.

– Liv, Liv, kochanie. Wyjdź, to opowiem ci bajkę.

– Nie, tatusiu! Nie, nie, nie!

– Liv. Och, kochanie, ju dobrze. Jestem tu. Ciocia Jamie jest przy tobie.

– Nie pozwól mu tutaj przychodzić! Nie pozwól mu mnie znaleźć! – i Liv, szlochając, wtulała się w objęcia Jamie.

– Nie pozwolę. Przrzekam. – W ciepłym świetle lampki nocnej zdruzgotana Jamie kołysała swoją małą siostrzenicę. –

Tu jesteś bezpieczna – wtuliła policzek w czubek głowy dziewczynki. Nieme łzy popłynęły jej po twarzy. Julie, och Julie. Chciało jej się wyć, ale musiała mieć wzgląd na małą.

Julie nie yła. Piękna, mądra kobieta ze szczodrym sercem i ogromnym talentem. Zginęła, mając zaledwie trzydzieści dwa lata. Zamordowana, jak oświadczyli jej dwaj detektywi z grobowymi minami, przez człowieka, który podobno kochał ją do szaleństwa.

O tak, pomyślała Jamie, Sam Tanner był istotnie w szponach szaleństwa.

Z erany

narkotykami,

szalał

z zazdrości, z rozpacz. Teraz zniszczył obiekt swojej obsesji.

Ale ona, Jamie, nie da mu tknąć tego dziecka.

Ostro nie poło yła zasypiającą Olivię z powrotem do łó ka, 12

otuliła kocem. Podeszła do okna i zapatrzyła się przed siebie.

Kiedy błysnęły światła samochodu, serce a podskoczyło jej do gardła. Ach, to David, uprzytomniła sobie, i zostawiwszy przyćmione światło, zbiegła po schodach. Drzwi się otworzyły, wszedł jej mą . Stał tak dłu szą chwilę, postawny, barczysty mę czyzna, z uło onymi faliście szatynowymi włosami. Z jego szarych oczu wyzierało znu enie i strach. Jamie zawsze podziwiała w nim siłę. Siłę i opanowanie. A teraz stał przed nią wrak człowieka.

– Jamie, Bo e ty mój – głos mu się załamał, co jeszcze spotęgowało jego niesamowity wygląd. – Muszę się napić. –

Poszła za nim do salonu. Ręce mu się trzęsły, kiedy nalewał

sobie whisky z karafki. Wypił jednym haustem jak lekarstwo. –

Co ten łotr jej zrobił.

– Och, Davidzie – załkała. Od przyjścia policji trzymała się dzielnie, ale teraz się załamała.

– Tak mi przykro, tak mi przykro – podbiegł do niej, przygarnął ją do siebie. – Jamie, tak mi przykro. – A ona szlochała bez opamiętania, a dziw, e nie pękło jej przy tym serce. – Chodźmy na górę.

Musisz się położyć.

– Nie, nie, zaraz się pozbieram – przetarła twarz. – Musisz mi wszystko opowiedzieć. Chcę znać prawdę.

Zawahał się. Była taka zmęczona, taka blada i krucha.

– Napijmy się najpierw kawy – zaproponował.

Słuchała miała przyjść dopiero za dwie godziny, toteż Jamie sama zaparzyła kawę. David siedział przy kuchennej ladzie i wyglądał przez okno. Nie padło między nimi ani jedno słowo.

Postawiła dwie fili anki kawy, usiadła.

– No to mów.

– Niewiele więcej jest tu do opowiadania ponad to, co ju wiemy od inspektora Brady’ego – zaczął David. – Nie było adnego wtargnięcia. Sama go wpuściła. Ju była w koszuli nocnej, ale wszystko wskazuje na to, e siedziała przy

wycinkach z prasy. Wiesz, jak lubiła wysyłać je rodzicom –

przetarł oczy. – Najwyraźniej wywiązała się kłótnia. Były ślady walki. Dźgnął ją no yczkami – w oczach Davida malował się strach. – Jamie, ten człowiek chyba postradał zmysły.

David nie odrywał teraz wzroku od ony. Kiedy wziął ją za rękę, zacisnęła palce na jego dłoni.

– Czy ona... Czy to się odbyło szybko?

– Nie wiem.. W yciu nie widziałem czegoś takiego... On oszalał – David na dłu szą chwilę zamknął oczy. Tak czy owak ona się dowie. Rozejdą się teraz pogłoski, sprawa dostanie się do mediów, prawda na równi z kłamstwami. – Jamie... on jej zadał wiele ciosów. Rozpłatał jej gardło. Krew odpłynęła jej z twarzy.

– Ale musiała się opierać.

– Nie wiem. To ju wyka e sekcja zwłok. Podejrzewają, e Olivia coś widziała, a potem się ukryła. – Napił się kawy z nadzieją, e przestanie go mdlić. – Sam twierdzi, e zastał

Julie w tym stanie. e wszedł i znalazł ją ju martwą.

Wokół roiło się od dziennikarzy. Oblegali dom jak sfora wściekłych wilków, które zwietrzyły krew. W ka dym razie 14

Jamie tak o nich myślała, kiedy zabarykadowała się z rodziną za zamkniętymi drzwiami. Gwoli sprawiedliwości nale ałoby przyznać, e wielu reporterów stara się zdawać relację z tą przynajmniej subtelnością, na jaką zezwalają okoliczności danej sprawy.

Jamie sprawiedliwość nie była teraz w głowie. Myślała o Olivii, która siedziała jak lalka w pokoju gościnnym, albo krą yła po parterze domu blada i wymizerowana jak duch. Nie dość im, e dziewczynka straciła matkę w niewyobra alnie tragicznych okolicznościach? Nie dość, e ona sama straciła siostrę bliźniaczkę, najbardziej pokrewną sobie duszę?

Poniewa jednak od ośmiu lat mieszkała w olśniewającym świecie

Hollywoodu

z jego

uwodzicielskimi

cieniami,

wiedziała, e nigdy nie będzie im dość.

Julie MacBride była osobą publiczną, dziewczyną z prowincji, która przeistoczywszy się w zapierającą dech księżniczkę kina, wyszła za mąż za księcia i zamieszkała z nim w okazałym zamku w Beverly Hills. Kinomani, kupujący bilety w kasach, uwa ali ich za swoją własność. Julie MacBride z jej wdzięcznym uśmiechem i lekko matowym głosem.

Nie znali jej jednak. O tak, wszystkim się zdawało, e ją znają, bo w artykułach i wywiadach do kolorowych pism tak otwarcie i szczerze mówiła o sobie. Taki miała charakter, nigdy nie brała swojego sukcesu za coś samo przez się zrozumiałego.

Wciąż cieszyła się nim i podniecała. Jej wielbicieli nie mieli pojęcia o jej radościach, o umiłowaniu lasu i gór, w których się wychowała, o jej przywiązaniu do rodziny, poświęceniu córce.

Ani o tragicznej, niesłabnącej miłości do męczyzny, który ją zamordował.

Z tym właśnie Jamie najtrudniej się było pogodzić. Julie wpuściła go. W końcu serce jej drgnęło i otworzyła drzwi mężczyźnie, którego kochała, chociaż wiedziała, że to już nie ten sam człowiek.

Czy ona, Jamie, postąpiłaby tak samo? Wiele je łączyło, więcej niż przeciętne siostry czy przyjaciółki. Po trosze dlatego, że były bliźniaczkami i wychowywały się razem w lasach stanu Waszyngton. Ile to dni i godzin spędziły na wspólnych wędrówkach! I potrafiły dzielić się marzeniami tak samo jak niegdyś wspólnym łonem.

Jamie czuła się, jakby w niej coś umarło. Umiała jednak być silna. Bo będzie musiała. Teraz Olivia ma oparcie tylko w niej, a David tak też będzie jej potrzebował. Wiedziała, że i on kochał Julie, traktował ją jak własną siostrę. Przestała chodzić tam i z powrotem, spojrzała do góry. Z Olivią siedzieli teraz jej dziadkowie. Oni tak też będą jej, Jamie, potrzebowali.

Zadzwonił

dzwonek.

Jamie

zebrała

się

w sobie.

Dziennikarzy nie wpuszczano do ich posiadłości. W ciągu tego długiego, koszmarnego dnia już kilku z nich udało się przedostać. Podeszła do drzwi z zamiarem, aby w razie czego obedrzeć takiego łajdaka ze skóry. Przez kwatery trawionego szkła rozpoznała inspektorów, którzy przyszli głuchą nocą, aby zawiadomić ją o śmierci Julie.

– Dzień dobry, pani Melbourne. Przepraszam za to ponowne najście.

– Inspektor Brady, prawda? – spytała Jamie.

– Tak. Mo emy wejść?

– Proszę bardzo – zaprosiła ich do środka.

Frank Brady przyjrzał jej się badawczo, kiedy wprowadzała go wraz z jego partnerem, Tracym Harmonem, do salonu. Ju wiedział, e to siostra-bliźniaczka Julie MacBride, starsza od tamtej o siedem minut. Nie potrafił dopatrzeć się między nimi podobieństwa. Piękność Julie MacBride była uderzająca, jaskrawa, jakby na przekór jej delikatnym rysom i złotej kolorystyce. Siostra miała spokojniejszą urodę, proste ciemne włosy, a oczy bardziej czekoladowe ni złote.

– Napiją się panowie czegoś? Mo e kawy?

Odpowiedział Tracy, uznając w duchu, e kobieta powinna zrobić coś normalnego, zanim przystąpi do przykrych obowiązków.

– Chętnie, pani Melbourne. Jeśli to nie kłopot.

– Ale skąd. Zaparzę. Proszę poczekać.

– Jakoś się trzyma – skomentował Tracy, kiedy zostali sami.

– Jeszcze sporo przed nią – Frank rozchylił zasłony i przyjrzał się tłumowi dziennikarzy na skraju posiadłości. –

Niecodziennie ktoś kraje na kawałki księ niczkę Ameryki w jej własnym zamku.

– I to udzielnny ksią ę – dodał Tracy. – Mo e spróbujmy go jeszcze raz przyprzeć do muru, zanim na dobre oprzytomnieje i wezwie adwokata.

– Bylebyśmy trafili w dziesiątkę – Frank opuścił zasłonę, bo wróciła Jamie z tacą. Usiadł, kiedy ona usiadła. Nie uśmiechał

się. – Bardzo jesteśmy pani wdzięczni, pani Melbourne. Wiemy, e to dla pani trudne chwile.

– Panowie chcą rozmawiać na temat Julie.

– Owszem. Czy pani wiedziała, e trzy miesiące temu pani siostra wezwała policję z powodu kłopotów w domu?

– Tak. Sam przyszedł do domu i zakłócał jej spokój.

Dopuścił się przemocy fizycznej. Przedtem, przez półtora roku, dopuszczał się przemocy emocjonalnej.

– Czy pani zdaniem pan Tanner ma problem z narkotykami?

– Doskonale pan wie, e Sam jest uzależniony. Jeśli jeszcze dotąd nie udało się panu tego stwierdzić, to znaczy, e wybrał pan niewłaściwą pracę.

– Proszę nam wybaczyć, pani Melbourne – przeprosił Tracy.

– Próbujemy tylko zbadać wszystkie okoliczności. Zakładamy, e zna pani swojego szwagra. Możliwe, e siostra zwierzała się pani z kłopotów osobistych.

– Jak najbardziej. Miałyśmy bardzo bliski kontakt – Jamie starała się za wszelką cenę panować nad głosem, rękami, spojrzeniem. – To się zaczęło dwa lata temu. Zaczął sięgać po kokainę w sytuacjach towarzyskich. Julie odnosiła się do tego wrogo. Zaczęli się o to kłócić. A potem już spierali się o różne rzeczy. Jego ostatnie dwa filmy nie zostały najlepiej przyjęte, zarówno przez krytykę, jak i publiczność. Julie martwiła się, bo Sam stał się drażliwy, skory do kłótni. Natomiast jej kariera kwitła, aczkolwiek Julie próbowała tuszować te różnice.

– Zazdrościł jej – podsunął Frank.

– Owszem. Zaczęli częściej wychodzić... na przyjęcia, do 18

klubów. Coraz bardziej chciał być widziany. Julie towarzyszyła mu, chociaż sama była domatorką. Wiem, e to nie pasuje do jej wizerunku – głos Jamie się załamał, ale wzięła się w garść. –

Pracowała z Lucasem Manningsiem przy Dymie i cieniach. Miała tam trudną rolę. Nie starczało jej siły, eby pracować czternaście godzin, a po powrocie do domu odświeżyć się i spędzać wieczór na mieście. Chciała mieć czas dla Olivii. No, więc Sam zaczął

wychodzić bez niej.

– Krążyły plotki o pani siostrze i Manningu.

Jamie przeniosła wzrok na Tracy'ego, pokiwała głową.

– Wiem. Ludzie zawsze plotkują, kiedy między dwojgiem atrakcyjnych ludzi coś zaiskrzy na ekranie. Pogłoski były bezpodstawne. Julie uważyła Lucasa za przyjaciela.

– Jak to znosił Sam? – spytał Frank. Westchnęła.

– Jeszcze kilka lat temu by to wyśmiała, co najwyżej droczył

się z nią na ten temat. Ale teraz ją tym zadreślał. Oskarżył ją o to, że prowokuje męża, a potem się z nimi spotyka.

– Niektóre kobiety poddane takiej presji szukałyby pomocy innego męża, przyjaciela.

Frank patrzył, jak Jamie zaciska zęby.

– Julie traktowała małżeństwo poważnie. Kochała męża. Jak się okazało, tak bardzo, że w końcu padła jego ofiarą. Jeśli chcecie odwrócić teraz kota ogonem i zrobić z niej tandetną...

– Pani Melbourne – Frank uniósł rękę – żeby zamknąć tę sprawę, musimy odbyć przesłuchanie. Musimy złożyć wszystkie kawałki układanki.

– Sprawa jest prosta. Kariera Julie pięła się szybko do góry, 19

a jego zaczęła się chwiać. Im bardziej się chwiała, tym częściej sięgał po narkotyki. Wiosną siostra dzwoniła w nocy na policję, bo zaatakował ją w pokoju córki. Bała się o Liv.

– Potem wniosła o rozwód.

– To była dla niej trudna decyzja. Chciała, żeby Sam zaczął

szukać pomocy i uznała, że separacja nim potrząśnie. Nade wszystko starała się chronić córkę. Sam zaczął się zachowywać w niezrównoważony sposób.

– Czy otworzyłaby mu drzwi wczoraj w nocy, gdyby był

pod wpływem narkotyków?

– Widocznie otworzyła. Mimo wszystko kochała Sama i wierzyła, że jeśli tylko uwolni się od narkotyków, to wróci do siebie. – Czy pani zdaniem Sam Tanner byłby zdolny zabić pani siostrę?

– Człowiek, za którego wyszła za męża, był gotów skoczyć dla niej pod pociąg. Jednak ten, którego trzymacie teraz w areszcie, mógł się posunąć do wszystkiego – oczy Jamie zapalały nienawiścią.

– Pani Melbourne – przerwał jej Frank – bardzo by nam pomogło, gdybyśmy mogli porozmawiać z Olivią.

– Ma cztery lata.

– Tyle ju wiem. Nie chciałbym denerwować dziecka, ale była świadkiem. Musimy ją przepytąć, co widziała i słyszała.

– Jak pan może mnie prosić, abym kazała jej o tym mówić?

– Wszystko i tak ma w głowie. Cokolwiek widziała lub słyszała. Zna mnie z wczorajszej nocy. Będę delikatny.

– O Boże! – Jamie starała się zachować trzeźwość umysłu. –

Muszę przy tym być. Będę przy niej, a jeśli uznam, e ma ju dość, poproszę, eby pan przerwał.

– Rozumiem. Na pewno będzie się lepiej czuła w pani obecności. Daję słowo... e będę miał na uwadze jej dobro.

Jamie poprowadziła ich schodami. Uchyliła drzwi do sypialni, zobaczyła rodziców siedzących na podłodze z Olivią, pochylonych nad układanką.

– Mamo, pozwól na chwilę.

Wyszła drobna kobieta z szatynowymi, rozjaśnionymi słońcem włosami i niebieskimi oczami. Przypuszczalnie po pięćdziesiątce. Zapewne wyglądałaby młodziej, gdyby nie przygniał jej taki smutek.

– To moja matka, Valerie MacBride – przedstawiła ją Jamie. – Mamo, to są ci inspektorzy, którzy... muszą porozmawiać z Liv.

– O nie – Val zamknęła za sobą drzwi. – Nie zgadzam się, to jeszcze dziecko.

– Pani MacBride...

Ale Val przerwała Frankowi.

–

Dlaczegoście

jej

nie

ochronili?

Dlaczego

nie

powstrzymaliście tego łotra i mordercy?

Zakryła twarz rękami i rozsłochała się.

– Proszę tu poczekać – mruknęła Jamie i objęła matkę. –

Chodź, mamo. Połóż się. No chodź.

Jamie wróciła blada. Widać było, że płakała.

– Niech to już będzie za nami. Otworzyła drzwi.

Na podłodze siedział po turecku starszy mężczyzna. Miał

złoto-srebrne włosy, bursztynowe oczy, które odziedziczyła po nim młodsza z bliźniaczek, otoczone wachlarzami zmarszczek, głęboko osadzone pod ciemnymi brwiami.

– Tato – Jamie zdobyła się na uśmiech. – To są panowie z policji, inspektor Brady i inspektor Harmon. Mój ojciec, Rob MacBride.

Rob wstał.

– O co chodzi, Jamie?

– Muszą chwilę porozmawiać z Liv – złapała go za rękę, eby ubiec jego sprzeciw. – Muszą – powtórzyła – proszę cię, tato. Mama jest roztrzęsiona. Poszła się położyć w twoim pokoju. Ja tu zostanę. Będę z Liv przez cały czas. Proszę cię, zajmij się mamą.

Pochylił się, wspierając na moment czoło na jej ramieniu.

– Pójdę i porozmawiam z matką.

– Idziesz ju , dziadku? Nie dokończyliśmy układanki.

Obejrzał się, przetykając łzy.

– Zaraz wrócę, kochanie.

Olivia spojrzała na Franka. Wiedziała, kto to jest. Ten policjant z długimi rękami i zielonymi oczami. Twarz miał

zmęczoną i dziwnie smutną.

– Cześć, Liv – Frank przykucnął. – Pamiętasz mnie?

Pokiwała głową. Wsadziła kciuk do buzi i tak mówiła.

– Przegoniłeś potwora. Znajdziesz moją mamę? Musiała iść do nieba i na pewno tam się zgubiła. Znajdziesz mi ją?

Frank usiadł na podłodze.

– Niestety, nie potrafię.

Łzy wezbrały w oczach dziewczynki. Ugodziły Franka w serce jak lśniące sztylety.

– Dlatego, e jest gwiazdą? A gwiazdy muszą być w niebie?

– Czasem, je eli szczęście nam sprzyja, niektóre gwiazdy mogą być z nami przez jakiś czas. A kiedy muszą wracać, robi nam się smutno. Smutek to nic złego. Wiesz, e gwiazdy są w niebie nawet za dnia?

– Ale ich nie widać.

– To nic, ale tam są. I widzą nas. Twoja mama zawsze tam będzie i będzie cię stamtąd pilnowała.

Olivia podniosła Kermita, którego przyniosła sobie z domu.

– On je robaki.

– Same czy z syropem czekoladowym?

Oczy a jej rozblęły.

– Ja lubię wszystko z syropem czekoladowym. Masz córeczkę?

– Nie, ale mam synka, który jadł kiedyś robaki.

Roześmiała się.

– Na pewno nie.

– ebyś wiedziała, e jadł. A się bałem, e cały zzielenieje i zacznie skakać – Frank podniósł jeden kawałek układanki, wło ył go na miejsce. – Lubię układanki. Dlatego zostałem policjantem. Przez cały czas zajmujemy się takimi układankami.

– To jest Kopciuszek na balu. Ma taką śliczną suknię.

– Czasem układam takie układanki w głowie, ale ktoś musi mi pomóc przy kawałkach, eby uło yły mi się w obrazek.

Pomo esz mi, Liv? Opowiesz mi o tej nocy, kiedy się 23

poznaliśmy?

– Wszedłeś do mojej garderoby. Myślałam, e jesteś

potworem, ale nie byłeś.

- Zgadza się. Opowiesz mi, co się zdarzyło wcześniej?
 - Siedziałam tam bardzo długo. I on nie wiedział, gdzie jestem.
 - To świetna kryjówka. Bawiłaś się tamtego dnia Kermitem?
 - O, bawiłam się mnóstwem rzeczy. Mama nie musiała pracować, no więc pływałyśmy sobie w basenie. Wytrzymuję strasznie długo pod wodą, bo jestem jak rybka.
- Skubnął ją w szyję.
- Aha. Tu masz skrzela.
- Oczy omal jej nie wyszły z orbit.
- Mama te mówi, e je tam widzi!
 - A bawisz się czasem z innymi dziećmi? Były u ciebie tego dnia?
 - Nie. Czasem przychodzą. Na przykład Billy albo Tiffy, ale wczoraj bawiłam się tylko z mamą. Jadłyśmy sobie ciasteczka.
- Mama przeczytała scenariusz, a potem rozmawiała przez telefon. „Lou, niezmiernie mi się podoba!”
- Liv powiedziała to tak dorosłym tonem, e Frank a się wzdrygnął.– „Ta Carly to cała ja. Natychmiast podpisuję umowę”.
 - No, no... – Frank nie posiadał się ze zdziwienia. – Moje gratulacje. Masz naprawdę kapitalną pamięć. A pamiętasz, o której poszłaś do łó ka?
 - Powinnam kłaść się o ósmej. Mama opowiedziała mi 24 bajkę o długowłosej królewnie, która mieszkała w wie y.
 - A potem się obudziłaś. Zachciało ci się pić?
 - Nie. Miałam zły sen.
 - Mój Noah te miewa złe sny.
 - Czy Noah to pana synek? Ile ma lat?
 - Teraz dziesięć. Czasem miewa złe sny o kosmitach. Kiedy mi je opowie, od razu lepiej się czuje. Opowiesz mi swój zły sen?
 - Śniło mi się, e ktoś krzyczy. Nie lubię, jak rodzice się kłóca.
 - A w tym śnie słyszałaś, jak mama i tata krzyczeli?

– Ktoś krzyczał, ale nie słyszałam, co. Chciałam, eby przestali. Ktoś strasznie krzyczał, i wtedy się obudziłam.

Chciałam, eby przyszła mama.

– Poszłaś jej poszukać?

– Nie było jej w łó ku. Chciałam się do niej przytulić. No więc... Przerwała, skupiła uwagę na układance.

– Ju dobrze, Liv. Mnie mo esz powiedzieć, co się stało potem.

– Bo mi nie wolno dotykać czarodziejskich flakoników na toaletce mamy. Ale bawiłam się nimi tylko chwileczkę.

I spojrzała tak niewinnie na Franka, e musiał się uśmiechnąć.

– Czyli nic się nie stało. A co zrobiłaś potem?

– Zeszłam na dół. Światło się paliło i drzwi były otwarte –

łyzy zaczęły jej ciorukać po policzkach. – Ale tam dziwnie pachniało, wszystko było mokre i czerwone. Kwiaty le ały na 25

podłodze, wszędzie pełno szkła. Zobaczyłam mamę, jak tam le y, a naokoło wszystko było mokre i czerwone. I był przy niej potwór. Trzymał w ręce no yczki – ze szklistym wzrokiem uniosła rękę. – „Liv. Bo e mój, Liv” – powiedziała w przera ającej imitacji głosu swojego ojca. – Uciekłam, a on mnie wołał.

Szukał

mnie

i krzyczał. Schowałam

się

w garderobie – uśmiechnęła się niepewnie do Franka i wróciła do swojej układanki.

– Bardzo mądra z ciebie dziewczynka. – Powiedział coś jeszcze o gadających dyniach z bajki, a musiała się roześmiać.

Nie chciał rozstawać się z nią w nastroju strachu, krwi i obłędu.

Ale kiedy odwrócił się jeszcze od drzwi, zobaczył utkwione w sobie oczy Olivii, a w nich błagalne,

zatrwa ająco dorosłe spojrzenie, jakie widuje się tylko u bardzo małych dzieci.

Skierował się do wyjścia, ądny krwi Sama Tannera.

Rozdział drugi

Olivia nie chciała się kłaść. Wcale nie czuła się senna.

Próbowała jednak zasnąć, bo poprosiła ją o to ciocia Jamie.

Le ała w nie swoim łó ku. Zawsze tu spała, kiedy przychodziła do cioci w gości. Chocia to nie to samo co dom.

Powiedziała babci, e chce ju wrócić do domu. Mogłyby urządzić sobie podwieczorek w ogrodzie a do przyjścia mamy.

Oczy babci się zaszklily i przytuliła Olivię tak mocno, e prawie ją zabołało. Wobec tego Olivia nie wspominała ju o powrocie do domu.

Kiedy usłyszała szmer głosów na dole, w pokoju zajmowanym teraz przez dziadków, zsunęła się z łóżka i wyszła na palcach z sypialni. Ciocia Jamie mówiła, że dziadkowie też się teraz zdrzemną. Ale skoro nie śpią, to może pobawią się z nią na dworze. Najbardziej lubiła się bawić w ogrodzie.

Dziadek mówił jej kiedyś, że w stanie Waszyngton drzewa sięgają nieba. Olivia była u nich z wizytą, kiedy była mała, a potem znowu, kiedy miała dwa lata, więc niewiele pamiętała.

Wymyśliła, że gdyby wspięła się na sam czubek drzewa, to mogłaby zawołać mamę. Jeśli tylko zbliży się do nieba, mama na pewno ją usłyszy.

Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła zapłakaną babcię. Obok siedziała ciocia i trzymała babcię za rękę.

Mówił dziadek.

– Nie waż się, dlaczego to zrobił. To szaleniec. Człowiek ogarnięty szałem zazdrości i narkotyków. Waż się, że ją zabił.

I zapłaci za to. Każdego dnia swojego ałosnego żywota.

– Powinniśmy ją byli zabrać do domu – zaszlochała babcia.

– Kiedy nam powiedziała o kłopotach z Samem, trzeba jej było kazać wziąć Liv i wrócić na jakiś czas do domu.

– Mamo, my nie możemy wrócić – odezwała się Jamie swoim głosem. – Nawet gdybyśmy mogły, na pewno znalazłoby się sto różnych powodów, żeby tego nie robić. Ale nie możemy. Musimy stawić czoło rzeczywistości. Choćby wobec prasy... Musimy trzymać fason. Zaraz zaczęłyby się plotki na temat małżeństwa Julie, innych mężów, zwłaszcza Lucasa Manninga.

– Julie nie miała romansu – babcia powiedziała to ostrym głosem.

– Wiem, mamó. Ale taka tu się toczy gra.

– Julie nie yje – uciał dziadek. – Umarła. Czy mo na sobie wyobrazić coś gorszego?

Olivia cofnęła się powoli spod drzwi. Wiedziała, co to znaczy umrzeć. Kiedy kwiaty umierały, stawały się brązowe i sztywne, i trzeba je było wyrzucić. Kiedy stary pies Tiffy umarł, trzeba mu było wykopać dołek na podwórku i tam go zło yć.

Jak ktoś umarł, to znaczyło, e nie mo e ju wrócić.

Coś ją zaczęło dusić w piersi. W głowie skłębiły się plamy krwi i odłamki strzaskanego szkła, obraz potworów i kłapiących no yczek. Puściła się biegiem. I zaczęła krzyczeć.

– To nieprawda, e mama nie yje! Wcale nie le y w dołku na podwórku!

Biegła przed siebie, byle jak najdalej od tych głosów, które wołały ją po imieniu, po schodach, korytarzem. Łzy ciekły jej po policzkach. Musi wybiec na dwór, tam znajdzie drzewo sięgające nieba i zawoła mamę, eby wróciła do domu.

Przez chwilę zmagala się z gałką przy drzwiach wejściowych i wybiegła na dwór.

Przed domem stały tłumy ludzi. Nie wiedziała, gdzie się podziać. Wszyscy nagle zaczęli krzyczeć, omal nie ogłuchła.

Zakryła rękami uszy i z płaczem wzywała mamę.

Ten moment uchwyciła skwapliwie cała chmara aparatów fotograficznych i kamer. Dziennikarze rzucili się naprzód jak 28

w obłędzie. Zasypali ją pytaniami, ądaniami.

– Olivio, tutaj! Spójrz tutaj!

– Czy tata chciał ci zrobić krzywdę?

Zastygła jak sarenka we wnykach, patrząc przed siebie tępym, dzikim wzrokiem. Wtedy ktoś ją złapał z tyłu.

– Ja chcę do mamy... Chcę do mamy...

Powtarzała to szeptem, a ciocia Jamie ścisakała ją mocno w ramionach.

– Przecie to tylko dziecko! – zaczęła krzyczeć Jamie, nie panując ju nas sobą. – Niech was piekło pochłonie. To tylko dziecko!

Mimo wielu godzin spędzonych w więzieniu, mimo narkotycznego głodu ssącego od środka, Sam Tanner nadal był

zniewalająco przystojny. Miał ciemne, gęste, rozrzucone w nieładzie włosy. Niebieskie, roziskrzone oczy wikinga.

Romans z kokainą dodał jedynie romantycznego cienia jego twarzy.

Ściągnęli z niego zakrwawione ubranie, a dali mu spraną szarą koszulę i workowate spodnie. Pozostawał pod specjalnym nadzorem na wypadek samobójstwa, ale dopiero od niedawna zaczął mu doskwierać brak prywatności. Nadal z powodu wstrząsu i odstawienia narkotyku nie odczuwał w pełni tragizmu własnej sytuacji.

W sali przesłuchań znajdował się jeden stół i trzy krzesła.

Frank siedział naprzeciwko Sama. Tracy stał oparty o ścianę.

– Nie pamiętam nic ponad to, co ju powiedziałem – zeznał

Sam. Kiedy skończyli z nim rozmawiać po raz pierwszy, był

pewien, e zaraz go wypuszczą. eby mógł się przekonać, co się dzieje z Julie, co z Olivia. Och, Julie. Na ka dą myśl o niej przed oczyma stawała mu krew, morze krwi.

Frank pokiwał cierpliwie głową.

– Proszę mi wszystko jeszcze raz opowiedzieć. Od początku.

– Powtarzam to w kółko. Przyszedłem do domu...

– Ale pan tam ju chyba nie mieszkał, prawda, panie Tanner? – rzucił z boku Tracy, nieco agresywnie.

– To jest nadal mój dom. Separacja była tymczasowa.

– Rozumiem – odparł Tracy – dlatego pańska ona zło yła pozew i uzyskała wyłączną opiekę nad dzieckiem. Dlatego miał

pan ograniczone prawo do wizyt i kupił ten pałac na pla y.

– To była jedynie formalność – Sam marzył rozpaczliwie o jednej, jedynej działce, eby rozjaśniło mu się w głowie. –

A dom w Malibu kupiłem jako inwestycję.

Kiedy Tracy prychnął, Frank uniósł rękę. Pracowali razem od sześciu lat i działali w jednym rytmie jak para kochanków. –

Tracy, daj panu szansę powiedzieć, jak było. Bo zbijasz go z tropu.

– Dobrze ju , dobrze. Przyszedłem do domu – podjął wątek Sam – chciałem się pogodzić z Julie.

– Czy był pan na haju, panie Tanner? – spytał łagodnie Frank.

– Doradzam panu szczerłość w tej kwestii. Nie będziemy pana ścigali za za ycie rekreacyjnej dawki. Musimy tylko 30

wiedzieć, w jakim był pan stanie.

Zaprzeczył, podobnie jak wcześniej. Taka rewelacja mogłaby zniszczyć jego wizerunek publiczny. Bo ludzie z bran y z pewnością by zrozumieli. Szczypta kokainy tak dla towarzystwa? To przecie nic wielkiego – zawsze to powtarzał

Julie.

– Panie Tanner?

– Słucham? – zamrugał oczami, do których wzdychały kobiety na całym świecie. Teraz były przekrwione, podbite, puste.

– Zanim pan odpowie – przestrzegł go Frank – powiem, e przeszukaliśmy pański samochód i znaleźliśmy tam działkę. Ale nie dobierzemy się panu do skóry za samo posiadanie, je eli będzie pan z nami szczery.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Ka dy mógł mi coś podrzucić. Nawet pan, panie inspektorze.

Tracy zadziałał jak błyskawica. Chwycił Sama za kołnierz, zwałókl go niemal z krzesła.

– Pan twierdzi, e podrzuciliśmy dowód?

– Spokojnie – Frank uniósł obie ręce. – Pan Tanner trochę się zdenerwował. Nie chciał pan przecie powiedzieć, e

podrzuciliśmy narkotyki do pańskiego samochodu, prawda?

– Nie, ja tylko...

Frank przysunął się do niego.

– Bo to byłby ju bardzo powa ny zarzut. Nie wypadłby dla pana najkorzystniej, gdy znajdzie się sporo osób, które zaświadczą, e od czasu do czasu lubił pan sobie powąchać 31

biały proszek.

Sam kręcił nerwowo obrączkę na palcu.

– Nie jestem adnym narkomanem. Po prostu sztachnąłem się raz i drugi, eby mi się rozjaśniło w głowie przed wizytą w domu. Chciałem przekonać Julie, e powinniśmy wrócić do siebie, pozbyć się adwokatów i załatwić wszystko we dwoje.

Tęskniłem za nią i za Liv. Chciałem wrócić do dawnego ycia.

– Świetnie pana rozumiem – podchwycił Frank. – Piękna ona i córka. Tylko szaleniiec by z nich zrezygnował. Chciał się pan pozbyć kłopotów, dlatego poszedł pan do domu i porozmawiał z oną.

– Właśnie. Zgadza się... Nie. Poszedłem i znalazłem ją tam.

Och, Julie – zakrył twarz. – Wszędzie było pełno krwi i szkła.

ona le ała we krwi i w odłamkach szkła. Próbowałem ją podnieść. W plecach miała no yczki. Wyciągnąłem je.

Wyciągnął? Tak mu się zdawało, ale nie mógł sobie dokładnie przypomnieć. Trzymał je w ręku, gorące, śliskie od krwi.

– Zobaczyłem w progu Liv. Zaczęła uciekać. – A pan zaczął

ją gonić – powiedział cicho Frank.

– Tak... Chyba tak. Zdaje się, e doznałem szoku. Chciałem ją odnaleźć, chciałem się dowiedzieć, kto to zrobił Julie. Nie pamiętam. Wezwałem policję – spojrzał na Franka.

– Ile to trwało? – Tracy przysunął swoją twarz do twarzy Sama. – Jak długo biegał pan po domu z nożyczkami w ręku, szukając córki, zanim się pan załamał i wezwał policję?

– Nie wiem. Nie jestem pewien. Kilka minut. Mo e 32

z dziesięć.

– Ale ten skurwiel ł e! – Tracy...

– Frank, on ł e. Gdyby znalazł małą, le ałaby teraz w kostnicy razem z matką.

– Nie. Nie – zawołał Sam ze zgrozą. – Za nic nie skrzywdziłbym Liv.

– Ale pana ona nie podzielała tej pewności, panie Tanner?

– Tracy dźgnął Sama palcem w pierś. – Zło yła to na piśmie,

e boi się zostawić pana samego z dzieckiem.

Opowiem panu, jak było. Myślał pan o niej, mieszkającej w tym wielkim domu, o tym, e nie wpuszcza pana do środka, nie dopuszcza do siebie i dziecka. Mo e pan uznał, e ma innego mę czyznę. Naćpał się pan po uszy i pojechał tam, do nich, eby pokazać onie, kto jest panem.

– Nie. Chciałem z nią tylko porozmawiać.

– Ale ona nie chciała rozmawiać z panem, co? Kazała się panu wynosić do diabła. Mo e z początku trochę ją pan tylko potar mosił, tak jak poprzednio.

– Nie chciałem jej wtedy skrzywdzić. Kłóciliśmy się.

– No więc chwycił pan no yczki.

– Nie – Sam usiłował wyklarować sobie obraz tej sytuacji w głowie. – Byliśmy w pokoju Liv. A Julie nie zgadzała się, eby no yczki le ały w pokoju Liv.

– Byliście na dole. Zobaczył je pan tam ostre i lśniące.

Chwycił je pan ze stołu i pokroił onę na kawałki. Skoro nie mógł jej pan mieć, to nikt jej nie będzie

miął.

– Nie, nie, nie. Nie zrobiłbym czegoś takiego. To 33

niemo liwe – ale pamiętał, e trzymał no yczki w ręce. –

Kochałem ją.

– Nie chciał pan, prawda, Sam? – Frank przechwycił

piłeczkę, rozpoczynając znów polubownym tonem. – Wiem, jak to jest. Czasami facet kocha kobietę do szaleństwa. Ale je eli ona go nie słucha, to trzeba znaleźć na nią jakiś sposób, no nie?

Chciał pan tylko, eby zaczęła pana słuchać, a ona nie chciała.

Poniosły pana nerwy. Narkotyki zrobiły swoje. Wywiązała się kłótnia, a no yczki po prostu znalazły się pod ręką. I zanim się pan obejrzał, ju było po wszystkim.

– Nie wiem – łzy trysnęły z oczu Sama. – Trzymałem no yczki w ręce, ale dopiero potem. Wyciągnąłem je z jej pleców.

– Liv powiedziała nam,

e pana widziała. Pańska

czteroletnia córka jest świadkiem. Na narzędziu zbrodni wszędzie są pańskie odciski palców. A pana krwawe ślady w całym domu. Zakrwawione odciski palców na gałce drzwi do pokoju pańskiej córeczki nale ą do pana. Nikogo więcej tam nie było, Sam. adnego włamywacza, jak usiłował nam pan wczoraj wmówić. adnych śladów włamania. Tamtej nocy w domu były tylko trzy osoby: Julie, Liv i pan.

– Musiał być ktoś jeszcze.

– Nie, Sam. Nikogo więcej nie było.

– O, Bo e – rozdygotany, poło ył głowę na stole i rozsłochał się jak dziecko. A potem zło ył zeznanie.

Frank przeczytał podpisane oświadczenie, wstał, zaczął

chodzić po małym pokoju śniadaniowym, a potem nalał sobie ohydnych fusów z czajniczka. Z połową fili anki czegoś, co nie zasługiwało nawet na miano lury, usiadł przy stole i przeczytał ponownie oświadczenie.

Kiedy wszedł Tracy Harmon, Frank skomentował, nie podnosząc wzroku.

– Tu są luki, Tracy.

– Wiem – inspektor usiadł – ale ucapiliśmy gościa, Frank.

Tamtej nocy prze ywał odlot. Nigdy nie zdoła odtworzyć wszystkiego krok po kroku.

– Aha, tyle e to się nie trzyma kupy. Zobacz, tu się przyznaje, e rozwalił małej pozytywkę. Przecie nie było adnej pozytywki. Gościowi mylą się dwie noce.

– Jest kokainistą – przypomniał zniecierpliwiony Tracy. –

Jego bajeczka o przyjściu po włamywaczu nikogo nie przekona.

Julie musiała go wpuścić. Jej siostra potwierdziła, e to do niej podobne. Mamy ju wyniki sekcji zwłok. Nie było śladów, eby ofiara się broniła. Mo emy ju odtworzyć przebieg sytuacji. A mi się rzygać chce.

– Od siedmiu lat zajmuję się ciałami – mruknął Frank. – Ale takiego chyba dotąd nie widziałem. Chciałbym jeszcze mieć zeznanie sprzątaczk. Jakiś cwany, dobrze płatny adwokat nieźle pohasa sobie po tych wszystkich lukach, zanim zamkniemy sprawę. – Wstał i pokiwał głową. – Wracam do domu, eby się przekonać, czy pamiętam, jak wyglądają moja ona i mój syn.

– Z adwokatem czy bez, Sam Tanner za to beknie.

– O, to na pewno. Ale dziewczynka, Tracy, będzie musiała 35

z tym yć. I na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

Frank myślał o tym w drodze do domu. Przed oczami miał

twarz Olivii, pulchniutkie pyzy małej dziewczynki, zranione, nazbyt dorosłe oczy. Ale gdy podjechał pod dom, tam wszystko toczyło się, chwała Bogu, swoim torem. W rogu podwórka le ał

na boku porzucony rower Noaha, niecierpki ony na klombie więdły, bo znów zapomniała je podlać. Jej leciwy volkswagen garbus,

oblepiony

śmiesznymi

naklejkami,

ju

stał

zaparkowany. Celia Brady kolekcjonowała w jakieś problemy społeczne, tak jak inne kobiety kolekcjonują przepisy kucharskie. Wysiadł z samochodu.

Drzwi wejściowe otworzyły się z impetem. Wypadł z nich jak burza jego syn. Jeden kłęb kudłatych ciemnych włosów, nogi całe w siniakach, dziurawe adidas.

– Cześć, tato! Właśnie wróciliśmy z demonstracji przeciwko polowaniom na wieloryby. Mama przywiozła nagrania ich śpiewów. Przypominają odgłosy przybyszów z kosmosu.

Frank a się wzdrygnął na myśl o tym, że przez najbliższych kilka dni będzie musiał wysłuchiwać pieśni wielorybich.

– Pewnie więc nie ma kolacji?

– Precz ze zdrową dietą! Po drodze kupiliśmy kurczaka z rożna. Frank położył rękę na ramieniu syna.

– Chcesz powiedzieć, że w domu jest pieczony kurczak?

Noah, nie drań się, proszę, ze mną.

Noah roześmiał się, a zaigrały mu błyski w zielonych oczach. – I to cały kubełek. Mama powiedziała, że trzeba ci koniecznie zrobić jakąś przyjemność.

– Aha – Frank usiadł na ganku. – Chyba ma rację. Noah usiadł obok ojca.

– W telewizji bez przerwy trąbią o tej gwiazdce filmowej.

Widzieliśmy, jak wchodzisz z Tracym do tego wielkiego domu.

Pokazywali te drugi,

jeszcze większy,

w którym

ją

zamordowano. A właśnie przed chwilą, zanim przyszedłeś, pokazywali małą dziewczynkę, jej córkę, jak wybiegła z domu.

Tato, widziałem ją z bliska. Płakała, krzyczała i zasłaniała rękami uszy.

– Biedne dziecko – Frank ukrył twarz w dłoniach.

– Co z nią będzie, skoro jej mama nie yje, a ojciec pójdzie do więzienia i w ogóle?

Frank westchnął. Noah zawsze lubił zgłębiać sprawy od podszewki.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Ta dziewczynka ma kochającą rodzinę. Na pewno zapewnią jej jak najlepszą opiekę.

Noah się zasepił.

– Naprawdę miała przera oną minę. Dlaczego ten człowiek to zrobił?

– Zdaniem jednych dlatego, e za bardzo kochał onę.

Zdaniem innych, z powodu narkotyków, zazdrości albo gniewu.

A ja nie wiem, czy sam Tanner wie, dlaczego – Frank ścisnął

syna za ramiona. – No, chodźmy posłuchać tych pieśni wielorybów przy pieczonym kurczaku.

– Z tłuczonymi ziemniakami.

– Synu, zaraz zobaczysz łzy w oczach dorosłego mę czyzny. Noah znów się roześmiał i wbiegł z ojcem do 37

domu.

Niecałą godzinę po tym, jak Sam Tanner złożył na piśmie dramatyczne zeznanie, w którym przyznał się do brutalnego zabójstwa

ony, skorzystał z przysługujących mu praw.

Zadzwoił więc do adwokata, który stwierdził, że jego klient złoży oświadczenie pod presją, kazał mu milczeć i wezwać posiłki.

Charles Brighton Smith miał być głównym obrońcą. Był to sześćdziesięcioletni kuty na cztery nogi prawnik

z umysłem

przenikliwym

jak

laser.

Uwielbiał

wprost

rozdmuchane przez media batalie w sądzie. Przed przyjazdem do Los Angeles zdradził numer swojego rejsu i porę przylotu, a jednocześnie przygotował się na szturm prasy po wyjściu z samolotu. Kiedy wygłaszał przejmującą mowę, z jego twarzy biły mądrość i zatroskanie.

– Sam Tanner jest absolutnie niewinny. Padł ofiarą tragedii.

Stracił

ukochaną

kobietę

w nadzwyczaj

tragicznych

okolicznościach, a teraz policja potęguje jego tragedię, pragnąc jak najprędzej zakończyć śledztwo. Mamy nadzieję rychło zaradzić tej niesprawiedliwości, eby Sam mógł uporać się ze swym cierpieniem i wrócić do domu do swojej córki.

Zobaczywszy

migawkę

z przylotu

Smitha,

Valerie

MacBride zgasila z furia telewizor. Dla nich to tylko gra, pomyslała. Dla prasy, adwokatów, policji. Ot, kolejne widowisko, które podnosi ogladalność. Wszyscy wykorzystują dla swoich celów śmierć jej biednej, zamordowanej córki.

Ale nie dało się temu zapobiec. Julie wybrała ycie

w świetle reflektorów, zatem i śmierć musiała się w nich rozegrać. A teraz ktoś manipuluje opinią publiczną, eby

wykreować jej mordercę na męczennika. Olivia zaś była tylko jeszcze jednym narzędziem. Przynajmniej temu mo na by poło yć kres, pomyślała Val. Wyszła z pokoju, eby poszukać Jamie.

Dom był zbudowany w kształcie litery T. W lewym rogu Jamie miała swój gabinet. Kiedy osiem lat temu przeprowadziła się do Los Angeles, eby zostać osobistą asystentką siostry, najpierw mieszkała i pracowała w wolnym pokoju maleńkiego bungalowu Julie na wzgórzach. Mieszkały tam obie przez dwa lata, dopóki Julie nie poznała Sama i nie wyszła za niego za mąż. Blisko pół roku później Jamie zaręczyła się z Davidem. e te musiała wybrać sobie kierownika zespołów rockowych, myślała wówczas Val. Ale David okazał się odpowiedzialnym mę em, tak jak jej Rob.

Zapukała do drzwi gabinetu Jamie, zanim je otworzyła.

Jamie przywitała ją udręczonym uśmiechem, nie przerywając rozmowy telefonicznej. Val usiadła po drugiej stronie ogromnego biurka.

– Przepraszam, mam – Jamie odłó yła słuchawkę, przeczesła ręką włosy. – Mam tyle roboty.

– Niewiele ci pomagam.

– Co ty mówisz! Nie wiem, jak poradzilibyśmy sobie bez ciebie i bez taty. Nie mogę prowadzić całej tej sprawy, a jednocześnie zajmować się Liv tak, jak by nale ało. David 39

w wielu rzeczach mnie wyręcza, ale ma mnóstwo własnej roboty. Ludzie zostawiają kwiaty pod domem Julie. Musiałam załatwić, eby rozwo ono je do szpitali. Toniemy pod lawiną kondolencji od ludzi, których znała albo z którymi pracowała.

– Jamie – przerwała jej matka – musimy porozmawiać.

Szykuje się proces. Rozchwytywany adwokat Sama ju wystąpił

w telewizji. Niektórzy ludzie zaklinają się, e Sam nie mógł tego zrobić. Kreują go na męczennika, ofiarę tragedii.

– Po co tego w ogóle słuchasz?

– Postanowiłam, e ju nie będę, Jamie – odparła stanowczo Val. – Nie mam zamiaru ryzykować, eby Liv usłyszała cokolwiek z tych bzdur. Chcę ją zabrać do siebie. Chcę ją jak najszybciej zabrać do River's End.

– Do domu? – Jamie osłupiała. – Przecie tu jest jej dom.

– Wiem, e ją kochasz. Wszyscy ją Kochamy – Val wzięła córkę za rękę. – Posłuchaj, Jamie. Mała nie mo e tu zostać, zamknięta w czterech ścianach jak w więzieniu. Tak się nie da yć.

– Och, mamó – Jamie, z rozdartym sercem, wstała. –

Chciałabym ją wychowywać.

– I jak ty to sobie wyobra asz tutaj, Kochanie? Wśród tych wspomnień, przy tym rozgłosie, wobec wszystkich zagro eń.

Trzeba ją przed nimi chronić, a nie zamykać w samym ich środku w najpiękniejszym choćby domu. Czy ty i David jesteście skłonni zrezygnować ze swojego domu, z pracy, eby ją stąd wywieźć, poświęcić jej cały swój czas? Twój ojciec i ja mo emy jej zapewnić takie bezpieczeństwo – wzięła głęboki 40

oddech. – Nie pozwolę, eby ten człowiek zbli ył się do Liv. Na pewno tego właśnie yczyłaby sobie Julie.

A ja? – chciała krzyknąć Jamie. – A moje pragnienia? – To ona uspokajała Liv nękaną koszmarami, to ona pocieszała małą i tuliła przez wiele mrocznych godzin.

– Rozmawiałaś ju o tym z tatą?

– Omówiliśmy to dziś rano. On jest tego samego zdania.

Jamie, ty i David te mo ecie przyjechać i zostać u nas, jak długo zechcecie. Liv nie przestanie przecie być tak e wasza, ale nie tutaj. Nie tutaj.

Jamie wyszła na kilka godzin z domu. Musiała przewietrzyć głowę. Kiedy wróciła do domu, David wybiegł do holu. Objął ją ramionami, przyciągnął do siebie.

– Jamie, gdzieś ty się podziewała? Odchodziłem od zmysłów.

– Przepraszam. Chciałam trochę pobyć sama, przemyśleć to i owo – oderwała się od niego, dotknęła jego policzka, ucałowała go. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Na szczęście, nigdy się nie dowiesz – przyjrzał jej się przez chwilę. – Jamie, odbyłem męską rozmowę z twoim ojcem.

Powiedział mi, e chcą zabrać Liv na północ, z dala od tego wszystkiego.

Zacięła usta.

– A ty podzielasz ich zdanie?

– Przykro mi, kochanie, ale tak. Podzielał. Tutaj smród będzie się ciągnął Bóg wie jak długo. Mo e i ty powinnaś 41

wyjechać. – Wziął ją za rękę, splótł palce z jej palcami.

– Przecie wiesz, e nie mogę. Muszę się stawić w sądzie.

Muszę doprowadzić tę sprawę do końca. Nie tylko dla Julie, lecz równie dla siebie – Jamie ścisnęła mu machinalnie rękę. –

Chciałabym teraz porozmawiać z Liv.

Weszła powoli na górę. Ale to boli, pomyślała. Ka dy stopień sprawiał jej ból. Doprawdy, coś niesłychanego, ile bólu mo e znieść ludzkie serce. Otworzyła drzwi do ślicznego pokoju, który urządziła specjalnie z myślą o wizytach swojej siostrzenicy. Liv bawiła się na podłodze wymyślnym plastikowym zamkiem z dziesiątkami ludzików w środku.

– Co to takiego?

– Wujek David kupił mi zamek – Olivia nie posiadała się z radości. – Jest tu król i królowa, i księ niczka, i smok, i wszystko.

– Przepiękny. Czy to królowa?

– Ehe. Nazywa się Magnificencja. Jamie usiadła na podłodze.

– Liv, pamiętasz dom babci w lesie? Ten wśród wysokich drzew, strumieni i kwiatów?

– Byłam wtedy malutka, więc nie pamiętam.

– Chciałabyś tam zamieszkać z babcią? Na pewno mogłabyś dostać ten sam pokój, który zajmowała twoja mama, kiedy była mała. Wszędzie pełno tam drzew, które przy najl ejszym powiewie wiatru wzdychają, mruczą i przyśpiewują. Zobaczysz ró ne miejsca, w których twoja mama i ja bawiłyśmy się w dzieciństwie. Dziadkowie będą się tobą opiekowali.

– A czy to jest bardzo daleko?

– Nie tak bardzo. Będę cię odwiedzała – przyciągnęła Olivię do siebie. – Będziemy sobie chodziły po lesie i brodziły po strumieniach, dopóki babcia nie zawoła nas na ciasteczka z gorącą czekoladą.

Olivia odwróciła się do Jamie.

– A czy potwór mnie tam nie znajdzie?

– Nie – Jamie objęła dziewczynkę mocniej. – Obiecuję ci, e będziesz tam bezpieczna.

Ale nie wszystkie obietnice mo na spełnić.

Rozdział trzeci

Puszcza Olimpijska, 1987

W dwunastej wiosnie ycia Olivia była wysoką, szczupłą dziewczynką

z nieokiełznaną

burzą

włosów

koloru

ciemnozłotego miodu. Oczy miała podobnej barwy, ocienione długimi

rzęsami,

wyzierające

spod

ciemnych,

mocno

zarysowanych brwi. Puszcza, pełna zielonych światłocieni, pachnąca wilgocią, stanowiła cały jej świat. Najczęściej dziewczynka włóczyła się po niej sama, ale nigdy nie czuła się samotna. Babcia nauczyła ją tropić łosie i jelenie, podchodzić je z aparatem fotograficznym, siedzieć godzinami bez ruchu, obserwując dostojny krok samców albo wdziek łani i młodych.

Lubiła te wraz z babcią łowić w milczeniu ryby, i właśnie przy wędce nauczyła się cierpliwości.

Wzięła na siebie sporo 43

obowiązków

w River's

End,

ośrodka

wypoczynkowym

z pensjonatem

i polem

kempingowym,

który

rodzina

MacBride'ów prowadziła w Puszczy Olimpijskiej od dwóch pokoleń. Tam te Liv nauczyła się odpowiedzialności. Mogła uganiać się do woli po lesie, brodzić w strumieniach, chodzić po górach. Ale nie wolno jej było ruszać się samej poza obręb posiadłości.

Z domu w Beverly Hills zachowała jedynie mgliste wspomnienia wysokich sufitów i jaskrawej kolorystyki wnętrza.

Przez pierwsze miesiące pobytu w domu dziadków dopytywała się, kiedy przyjedzie mama i gdzie jest tata. Ale babcia zaciskała wtedy mocno usta, a oczy jej pochmurniały.

Dlatego Olivia nauczyła się czekać. A potem zapomniała.

Tego dnia zrobiła ju w ośrodku, co trzeba, i ruszyła ścieką do domu. Popołudnie miała wolne dla siebie. Wyszła na polanę, na której od pokoleń stał dom MacBride'ów. W blasku dnia migotały okruchy miki w starych kamieniach. Okna te mieniły się w słońcu. Był to dwupiętrowy budynek z tarasami ze wszystkich stron. W zaniedbanym trochę ogrodzie dziadka rósł gąszcz kwiatów, paproci i dzikich rododendronów.

Olivia w podskokach przebyła kamienną ściekę, otworzyła frontowe drzwi. Od razu zorientowała się, że w domu nikogo nie ma. Pociągnęła nosem, miły zapach świeżych ciasteczek połaskotał jej nozdrza. Po wejściu do kuchni sięgnęła do wielkiego słoja z ciasteczkami i przeczytała liścik leżący na lodówce.

Liv musiałam pojechać do miasta. Wieczorem przyjeżdża 44

ciocia Jamie z wujkiem Davidem. Nie wychodź z domu, to mi pomożesz przy rozpakowaniu zakupów, kiedy wrócę. Posprzątaj swój pokój... je eli uda ci się go znaleźć. Nie wyjedz wszystkich ciasteczek.

Całuję, Babcia

– Te coś – Olivia z prawdziwym ałem zamknęła słoje.

Czyli musi teraz sterczeć w domu. Co ma niby robić przez cały dzień? Czując się oszukana, powlokła się na górę kuchennymi schodami. Jej pokój wcale nie był w takim złym stanie. Po prostu zawalony jej rzeczami. Ale po co wszystko odkładać za ka dym razem na miejsce, skoro zaraz się to będzie wyjmowało?

Olivia westchnęła w udręce, po czym wyciągnęła stare, nieużywane gry planszowe i układanki upchnięte na półkach.

Ju od kilku miesięcy babcia prosiła, eby je przejrziała.

Postanowiła wynieść

je

na

strych.

Weszła ostro nie

z chwiejnym ich naręczem po schodach. Otworzyła drzwi.

Kiedy błysnęło światło, rozejrzała się, gdzie by tu najlepiej położyć swoje skarby. Jeden kąt zajmowały stare lampy. Pod ścianą stały porządnie ustawione dziecięce mebelki, a obok różne pudła i komody. Na drewnianej półce siedziała rodzina lalek i pluszowych zwierzątek.

Olivia złożyła swoje pudełka na podłodze obok półki z zabawkami. Zajrzała do kilku szuflad, zamyśliła się nad ubrankami dziecięcymi owiniętymi starannie w bibułę.

Właściwie to nie powinna wchodzić na strych bez zgody dziadków.

Deszcz zaczął bębnić o dach. Rzuciła okiem na mały świetlik wychodzący na polanę i tu pod nim zobaczyła kufer.

Był z drewna wiśniowego i miał mosiężne okucia. Zawsze stał zamknięty pod spadzistym występem.

Dzisiaj nie był odsunięty w kąt, ani zamknięty na klucz.

Pewno babcia coś do niego wkładała, domyśliła się Olivia.

Uklękła przed kufrem. Co by to szkodziło otworzyć go i zajrzeć do środka? Pewnie leżą tam tylko zatęchłe starocie. Ale kiedy uniosła wieko, palce zaczęły ją świerzbieć. Najpierw uderzył ją zapach. Niby obcy, a jednocześnie znajomy. W środku zobaczyła stos taśm wideo w gładkich czarnych okładkach, trzy grube albumy ze zdjęciami i pudełka różnej wielkości.

Otworzyła jedno. Stało tam w białej piance pół tuzina ozdobnych buteleczek.

– Czarodziejskie flakoniki – szepnęła na głos. Zapach perfum mamy. Odstawiwszy pudełko, Olivia nachyliła się do kufra i wciągnęła głęboko powietrze. Poczowała zapach mamy.

Sięgnęła po pierwszy album. Pełno w nim było zdjęć mamy z dzieciństwa, a także Jamie i ich rodziców. Tylko na jednym z nich mama trzymała na ręku dziecko. – To ja – szepnęła Olivia. – Ja z mamą.

Odkładając album i wzięła następny. Tym razem nie trafiła na fotografie rodzinne, lecz na wycinki z gazet i artykuły prasowe.

Egzemplarze pism „People”, „Newsweek” i „Glamour” z mamą na okładce. Olivia obejrzała je dokładnie. Mama była piękna jak marzenie. Ale serce podskoczyło jej dopiero wtedy, kiedy kartkując, trafiła na zdjęcia mamy z przystojnym szatynem. Byli 46

razem w wielkim, rzeświście oświetlonym pokoju, na kanapie, mama siedziała mu na kolanach, z twarzą przy jego twarzy.

Sam Tanner. Mężczyzna nazywał się Sam Tanner. Olivia zaczęła czytać i ją ścisnęło w dołku. Przecież to jej tata. Jak mogła zapomnieć? Trzyma mamę za ręce. Trzyma nozyczki ociekające krwią.

Nie, to niemożliwe. To był tylko zły sen, koszmar.

Zaczęła się kołysać, zasłaniając ręką usta, kiedy zaczęły napływać obrazy – odłamki szkła migoczące na podłodze.

Sponiewierane kwiaty. Ciepła bryza wpadająca przez otwarte drzwi.

To nieprawda. Nie pozwoli, eby to była prawda.

Odło ła ten album na bok i wyjęła ostatni. Tu powinny być inne zdjęcia, powiedziała sobie w duchu. Ale znów trafiła na wycinki,

tym

razem

z wielkimi,

krzyczącymi

wprost

nagłówkami:

Julie MacBride zamordowana Sam Tanner zatrzymany.

Bajka kończy się tragedią. Znalazła tam zdjęcia ojca z błędnym wzrokiem i potarganymi włosami. I jej samej. A ją ciarki przeszły. Była wtedy bardzo mała. Miała na nich oszalałe, niewidzące oczy, a ręce przyciśnięte do uszu.

Kiwała głową z niedowierzaniem. Szybko przejrzała wszystkie pisma. Kolejna twarz obudziła jej wspomnienia.

Twarcz policjanta. Wyniósł ją z tamtego domu, w którym było tyle krwi.

Bo jej mama nie ła. Tyle wiedziała. Oczywiście, e wiedziała. Ale o tym się nie mówi, upomniała się w duchu. Nie 47

mówi się, bo wtedy babcia zaczyna płakać.

Przebiegała wzrokiem słowa i zdjęcia:

Narkotyki. Zazdrość. Obsesja. Tanner odwołuje zeznanie.

Twierdzi,

e jest niewinny Taśma wideo z przesłuchania czteroletniej córki jako głównego świadka w sprawie. Teraz przypomniało jej się wszystko. Jak siedziały w salonie cioci Jamie, a policjant wypytywał ją o tę noc, kiedy przyszedł

potwór. Babcia obiecała,

e nigdy ju nie będą jej o to

wypytywać.

Olivia kartkowała pisma dalej. I trafiła na kolejne nagłówki: Winny! Wyrok skazujący dla Tannera. Tanner skazany na dożywocie – Zabiłeś moją mamę, ty łajdaku – powiedziała to z arliwą nienawiścią młodej dziewczyny. – Mam nadzieję, że ty nie żyjesz. że zginąłeś w męczarniach.

Olivia zamknęła album, odłożyła go wraz z innymi do kufra. Zatrzasnęła wieko, zgasła światło i zeszła na tylny ganek.

Nie pojmowała, jak mogła tak głęboko wszystko stłumić.

Wiedziała, że drugi raz tego nie powtórzy. Zawsze będzie pamiętać. Dowie się wszystkiego na temat nocy śmierci swojej mamy. Nie mogła pytać rodziny, bo najbliżej była ona, ale ją za dziecko. Ale mylili się. On nigdy nie będzie dzieckiem.

Przez szum deszczu usłyszała dochodzący z podjazdu warkot opon. Zamknęła oczy i skupiła się. Wtłoczyła nienawiść, ale i gniew w najdalszy zakamarek serca. Potem wstała, żeby przywitać z uśmiechem babcię.

Ponieważ pierwszy wieczór po przyjeździe Jamie i Davida 48

ona była za wyjątkową okazję, kolację podano w jadalni, przy długim dębowym stole, z białymi świecami w srebrnych lichtarzach, na porcelanowej zastawie prababci Capelli. Olivia przyrządziła pod okiem Val spaghetti i pulpety mięsne, ulubione danie Jamie. Jedzenia nie brakowało, tematów do rozmowy także. Kolacja ciągnęła się dwie godziny, a świece zaczęły się dopalać, a słońce chować za drzewami.

– Liv, jedzenie było pyszne – Jamie pogładziła się po brzuchu. Rob puścił oko do Olivii i pociągnął ją za włosy.

– Ona ma twoją smykałkę do sosów, Val – zwrócił się do babci.

– Chyba raczej mojej mamy. Klęknę się, że przyrządzała je lepiej ode mnie.

– Krew nie woda – skwitował Rob i znów puścił oko do wnuczki. – Prędzej czy później musiała dać o sobie znać włoska krew. MacBride'owie nigdy nie zastąpili jako kucharze.

– A jako kto zastąpiliście, tato? – spytała Jamie. Roześmiał

się, zrobił figlarną minę.

– Jako kochankowie, córeczko.

Val prychnęła, klepnęła go po ręce, po czym wstała. Jamie też się podniosła.

– Nie – zaproponowała Val. – Nie musisz zaraz pierwszego wieczoru stawać do roboty. Liv te dzisiaj zwalniam.

Posprzątam sama z Robem.

– Słyszałaś, Liv? – mruknął jej David do ucha. – Kto gotuje, nie musi szorować garów. Niezły układ.

– Odtąd regularnie będę gotowała – Olivia posłała mu 49

uśmiech. – Bardziej mnie to bawi niż zmywanie. Pójdziemy jutro na szlak, wujku? Weźmiemy ten mój nowy plecak.

– Rozpieszczasz ją, Davidzie – wtrąciła się Val, składając naczynia. – Plecak miała dostać dopiero jesienią na urodziny.

– Rozpieszczam? – David dźgnął Olivie palcem pod ebra, a zachichotała. – Ale skąd. Jeszcze do czasu upłynie, zanim pieszczoty jej będą w głowie. Nie obrazicie się, że eli włączę telewizor? Na kablówce leci właśnie koncert mojego klienta.

– Proszę bardzo – zachęciła go Val. – Rozgość się w salonie.

– Masz ochotę na pogawędkę, kiedy

będę się

rozpakowywała? – spytała Jamie Olivie.

– A mogłybyśmy pójść na spacer? – Olivia czekała tylko na stosowną chwilę. – Zanim się ściemni?

– Dobra – Jamie wstała i przeciągnęła się. – Tylko skoczę po kurtkę.

Nawet latem noc tu były chłodne. Na dworze pachniało deszczem i mokrymi roślinami. Jamie wciągnęła głęboko powietrze i uśmiechnęła się na widok ogrodu ojca.

– Jak dobrze znów być w domu. Kiedy byłam w twoim wieku, sądziłam, że tu się kończy świat.

– Ale się nie kończy.

– To prawda. Ale to jeden z jego najlepszych zakątków.

Słyszałam, że bardzo pomagasz dziadkom przy prowadzeniu ośrodka. Dziadek twierdzi, że bez ciebie by sobie nie poradził.

– Lubię tę pracę – Olivia ruszyła w stronę drzew. – Przewija się tu mnóstwo ludzi. Niektórzy nie mają pojęcia o niczym. Nie 50

widzą adnej różnicy między jodłą amerykańską a świerkiem kanadyjskim, albo wybierają się w góry w drogich markowych butach, a potem dostają pęcherzy na nogach. Sporo gości przyjeżdża z Los Angeles.

– Oho, trafiłaś w dziesiątkę – rozbawiona Jamie położyła rękę w okolicy serca. – Los Angeles jednak te ma swoje uroki.

Piękne domy, wspaniałe palmy, sklepy, restauracje, galerie sztuki.

– Czy dlatego mama tam pojechała? eby robić zakupy, chodzić po restauracjach i mieć piękny dom?

Jamie stanęła jak wryta.

– Ja... Ona... Julie chciała być aktorką. Nic dziwnego, e wybrała to miasto.

– Nie zginęłaby, gdyby została w domu.

– Och, Liv – Jamie wyciągnęła ręce do siostrzenicy, lecz ta się uchylila.

– Musisz mi obiecać, e nikomu nie powiesz. Ani babci, ani dziadkowi, ani wujkowi Davidowi. Musisz obiecać.

– W porządku, maleńka.

– Nie jestem wcale maleńka – tym razem dała się jednak objąć. – Nikt o niej nie wspomina, a wszystkie zdjęcia przede mną schowano. Muszę się bardzo starać, eby ją sobie w ogóle przypomnieć. I wszystko mi się miesza.

– Nie chcieliśmy, ebyś za bardzo to prze ywała. Byłaś taka mała, kiedy mama zginęła.

– Kiedy ją zabił – Olivia cofnęła się, a jej oczy rozbłysły w nikłym świetle. – Kiedy ojciec ją zabił. Powiedz to głośno.

– Kiedy Sam Tanner ją zabił – ból wrócił, obrzydliwie świeży. Jamie usiadła przy pniu. – To, e o niej nie

wspominamy, Liv, nie znaczy, e jej nie kochamy. Mo e kochaliśmy ją za bardzo.

– Myślisz czasem o niej?

– Często. Byłyśmy sobie bardzo bliskie. Codziennie mi jej brakuje.

Olivia usiadła obok niej.

– A o nim?

Jamie zamknęła oczy.

– Próbuję nie myśleć. On siedzi w więzieniu.

– Opowiadał mi bajki. Nosił mnie na barana. Długo tego nie pamiętałam, ale teraz wszystko mi się przypomniało. A potem zachorował i wyjechał. Tak mi to przedstawiła mama, ale naprawdę chodziło o narkotyki.

– Skąd o tym wszystkim wiesz?

– Ale to prawda? Ciociu, chcę wiedzieć, co jest prawdą.

– Tak, to prawda. Bardzo mi przykro, e cię to spotkało. e spotkało Julie.

– I dlatego nie mogę do ciebie jeździć? Dlatego babcia mnie uczy, a nie chodzę do szkoły tak jak inne dzieci? Dlatego noszę nazwisko MacBride, a nie Tanner?

Jamie westchnęła.

– Uznaliśmy,

e najlepiej nie narać cię na rozgłos i ciekawość wścibskich. Chcieliśmy ci tego wszystkiego oszczędzić, dać szansę na bezpieczne, szczęśliwe dzieciństwo.

– Babcia schowała przede mną wszystkie pamiątki.

– Liv, jej te było bardzo cię ko. Straciła córkę. Wydawało jej się, e musi cię przede wszystkim chronić. Trudno ją za to winić.

– Wcale jej nie winię. Ale to nie fair kazać mi wszystko zapomnieć. Nie mogę rozmawiać ani z nią, ani z dziadkiem –

oczy piekły ją okropnie od powstrzymywanych łez. – A ja chcę pamiętać mamę. Bo jak inaczej dowiem się, kim jestem?

– Masz rację. Masz rację – Jamie objęła ramieniem Olivię i przytuliła. – Mo esz rozmawiać ze mną. Nikomu nie powiem.

I obie będziemy pamiętać.

Zadowolona, Olivia zło yła głowę na ramieniu Jamie.

– Ciociu, masz jakieś filmy wideo z moją mamą?

– Oczywiście.

– Kiedyś chciałabym je obejrzeć – wstała i spojrzała z powagą na Jamie. – Wracajmy ju . Ale najpierw chcę cię o coś prosić. Zdobądź mi adres tamtego policjanta, który mnie tamtej nocy zawiózł do ciebie. Chciałabym do niego napisać.

– Ale po co, Liv? Nie powie ci niczego więcej ni ja.

– Nawet je eli będę mogła mu tylko napisać, e pamiętam, ile okazał mi dobroci, to poczuję się lepiej. No i był wtedy u nas w domu, ciociu. Chciałabym z nim porozmawiać. Powiem mu, e dziadkowie nie wiedzą o moim liście. Nie będę kłamała.

Pamiętam tylko, e miał na imię Frank.

Jamie ścisnęło się serce.

– Tak, nazywał się Frank Brady.

Frank Brady obracał kopertę w rękach. Olivia MacBride.

Mała Liv Tanner, zamyślił się, maleńki duch przeszłości.

Osiem lat. Sprawa, której właściwie nigdy nie zamknął.

Chocia próbował nie raz. Wypełnił swoje obowiązki, sprawiedliwość dokonała dzieła, a kochająca rodzina zabrała dziewczynkę.

Sprawa definitywnie zakończona. Mimo rónych głosów, które raz na jakiś czas odzywały się to tu, to tam, klamka zapadła. Piękna Julie MacBride zawsze będzie miała trzydzieści dwa lata, a jej morderca jeszcze co najmniej dziesięć lat spędzi za kratkami.

Frank nie mógł się nadziwić, czego ta mała może od niego chcieć po tak długim czasie. Obok brzęczały telefony, przez jego kłitkę przewijał się rój policjantów, a on wytrzeszczał tylko oczy na kopertę. Po dłuższej chwili rozerwał ją i przeczytał: Szanowny Panie Inspektorze,

Mam nadzieję, że Pan mnie pamięta. Moją mamą była Julie MacBride, a kiedy została zamordowana, Pan mnie zawiózł do domu mojej cioci. Bardzo mi Pan wtedy pomógł, bo przy Panu czułam się bezpieczna. Mam nadzieję, że pomoże mi Pan i dzisiaj.

Poprosiłam ciocię Jamie, aby odszukała Pana adres. Nie mówiłam o tym dziadkom, bo to ich tylko smuci. Nigdy nie rozmawiamy o mojej mamie ani o tym, co zrobił mój tata.

Chodzą mi po głowie pytania, na które tylko Pan mógłby odpowiedzieć. Czy zgodziłby się Pan ze mną porozmawiać?

Mógłby Pan przyjechać do nas na urlop. W naszym ośrodku jest naprawdę bardzo ładny basen. Można na niego chodzić na ryby, robić

piesze wędrówki albo pływać łódką. Proszę, niech Pan przyjedzie. Nie mam z kim porozmawiać.

Bardzo Pana pozdrawiam, Olivia

Przez cały dzień Frank nosił przy sobie list, a w głowie obraz tamtej dziewczynki. Uznał, że odpisze jej ciepło. Napisze, że jesienią Noah zaczyna studia i że w turnieju koszykówki zdobył tytuł Najlepszego Gracza. Ale po co miałby jechać do stanu Waszyngton? Tylko by wszystkich zdenerwował. Przecie jest policjantem, napomniał się w duchu w drodze powrotnej do domu, a nie pracownikiem społecznym.

Na podjeździe zaparkował za jaskrawoniebieską hondą civic oblepioną naklejkami. Wokół domu rosło pełno kwiatów. Bóg raczy wiedzieć, po kim Noah odziedziczył zamiłowanie do kwiatów, pomyślał Frank, wysiadając z samochodu. Kiedy wyjedzie na studia, Celia w ciągu miesiąca zmarnuje te kwiaty.

Od progu przywitały go dźwięki zespołu Fleetwood Mac.

A go coś chwyciło za serce. Celia lubi gotować przy tej muzyce. Stała przy kuchni i mieszała coś zapamiętałe w garnku.

Na stole leżał bochenek świeżo upieczonego chleba z chrupiącą skórką.

Ale ona pięknie wygląda, pomyślał, kiedy ma te rude włosy związane z tyłu w koński ogon. Wyglądała tak niewinnie, ale nie było rzeczy, której nie zdołałaby przeprowadzić. Zaszedł ją od tyłu i mocno uściskał.

– Kocham cię, Celio.

Odwróciła się do niego i cmoknęła w policzek.

– Ale i tak będziesz musiał zjeść czarną fasolę z dynią. Bo 55 to samo zdrowie.

Uznał, że przez jej... na szczęście w zamrażalniku miał schowane ulubione mini pizze.

– A ja i tak cię kocham. Gdzie jest Noah?

– Ćwiczy rzuty do kosza z Mikiem. A potem wychodzi na randkę.

– Znowu? – Frank nawet nie westchnął, tylko wziął lekkie piwo, które podała mu ona. – Celio, pamiętasz sprawę

MacBride?

– Julie MacBride? – Celia uniosła brwi. – Oczywiście. Do dziś smutniejesz, kiedy w telewizji puszczają z nią film.

A dlaczego pytasz?

– Z powodu tamtej małej.

– Pamiętam, omal ci serce nie pękło – Celia pogłaskała męża. – Pora zapomnieć.

– Dziadkowie wzięli ją pod opiekę i zabrali do stanu Waszyngton.

Mają

tam

dom,

a właściwie

ośrodek

wypoczynkowy z pensjonatem i polem kempingowym na Półwyspie Olimpijskim. Tu obok parku narodowego.

– Olimpijskiego parku narodowego? – Celi i a rozbłysły oczy.

– To piękna okolica. Byłam tam na wakacjach pod namiotem. Wyjął z kieszeni list.

– Przeczytaj i powiedz, co o tym sądzisz.

Po przeczytaniu kilku linijek Celia szepnęła:

– Ale ta mała jest smutna. I jaka dzielna. Wiesz, Frank, wspólne wakacje przed wyjazdem Noaha na studia dobrze by

nam wszystkim zrobiły. Ostatnio mieszkaliśmy pod namiotem, kiedy skończył trzy latka, ale wtedy tyś poprzysiągł, e ju nigdy nie będziesz spał na ziemi.

Cię ar częściowo spadł Frankowi z serca.

– Naprawdę cię kocham, Celio.

Olivia starała się za wszelką cenę zachowywać normalnie.

Musiała kryć się przed dziadkami z nowiną i z podnieceniem, eby niczego nie zauważyli. Ale nie posiadała się z radości.

Lada chwila mieli przyjechać państwo Brady.

Ucieszyła się, kiedy po obiedzie wezwano dziadka na kemping w jakiejś sprawie. Bez trudu wymówiła się, eby tam z nim nie iść, ale miała skrupuły z powodu tego niewinnego kłamstewka.

Przez te skrupuły przykładała się teraz podwójnie do roboty.

Podlewała gorliwie nasturcje przed jadalnią pensjonatu, chocia jednym okiem wciąż zerkąła na recepcję.

W

końcu

zobaczyła

wielkiego

starego

buicka

podskakującego na podjeździe, ale za kierownicą siedział młody człowiek. Na głowie miał czapkę, a na nosie okulary przeciwsłoneczne. Jego falujące szatynowe włosy były rozjaśnione słońcem. Na miejscu pasa era siedziała piękna kobieta. Pewno jego matka, domyśliła się Olivia, chociaż wcale nie wyglądała staro. Dopiero wtedy dostrzegła jeszcze jednego pasa era z tyłu.

Podniosła się, gdy samochód objechał podjazd i zaparkował.

Kiedy wysiadł Frank, od razu go poznała. Nogi miała jak 57

z waty, ale podeszła i zmusiła się do uśmiechu.

– Jestem Olivia – przedstawiła się głuchym głosem. –

Dziękuję, e pan przyjechał, panie inspektorze. – Wyciągnęła do niego rękę.

Ile jeszcze razy, zastanowił się Frank, na widok tej dziewczynki omal nie pęknie mi serce? Stała dystygowanie z powa ną miną i układnym uśmiechem. Ale głos jej dr ał.

– Jak to miło znów cię widzieć, Olivio – przytrzymał jej rękę w swojej. – Liv. Ju tak na ciebie nie mówią?

– Mówią – jej uśmiech nieco się ocieplił. – Dobrą mieli państwo podróż ?

– Bardzo. Postanowiliśmy przyjechać samochodem, ale musieliśmy wziąć wóz syna. To jedyny wygodny samochód na tak długą podróż . To moja ona Celia.

– Witaj, Liv. Pięknie tutaj. Kiedyś mieszkałam tu pod namiotem na waszym kempingu. – Celia się uśmiechnęła. –

Noah, poznaj Liv MacBride.

Rzucił na nią okiem, skinął głową.

– Hej – przywitał się. Ale zza ciemnych okularów obejrzał

ją sobie bardzo dokładnie.

– Ostatnio nasz syn jest oszczędny w słowach –

skomentowała chłodno Celia, chociaż w oczach jej igrał

uśmiech. – Pamiętam, jak fotografowałam przed laty ten pensjonat. Zupełnie jakby wrósł w pejzaż , niczym te drzewa.

Rzeczywiście, był wielki, stary i majestatyczny – miał trzy kondygnacje, przy czym główną część pokrywał stromy dach.

Z okien roztaczał się niezwykle widok. Młodszy las zdążył już 58

zbrązowieć i zdawał się przynależać do tej puszczy tak samo, jak olbrzymie, górujące nad nim drzewa. A dokoła ciągnęły się dzikie ostępy.

– Zbudował go mój pradziadek. I nadał mu nazwę. River's End wcale nie oznacza końca rzeki. To taka metafora. Coś w rodzaju kresu drogi.

– Jeśli ktoś szuka schronienia i odpoczynku po podróży –

podsunęła Celia, a Olivia się uśmiechnęła.

– O właśnie. Niegdyś stała tu gospoda. A dzisiaj stoi pensjonat. Ale staramy się zachować ten sam swobodny nastrój, no i zadbać o tutejsze środowisko.

– Mówisz jak moja ona – Frank puścił oko. – Celia jest zagorzałą konserwatystką.

– Jak ka dy z odrobiną oleju w głowie – odparła spontanicznie Olivia.

– Na pewno się dogadamy – Celia się uśmiechnęła. – Może niech nasi duzi, silni panowie zajmą się bagami?

Olivia obejrzała się na Franka, kiedy Celia odciągnęła ją na bok. Wprawdzie z erała ją niecierpliwość, ale posłuchała i otworzyła jedno skrzydło podwójnych drzwi.

Celia rozejrzała się po holu wejściowym. Zachwyciły ją posadzki i boazeria na ścianach w sośnie i jodle, a także wielki kamienny kominek. Fotele i kanapy w ciepłych kolorach ziemi stały przytulnie zgrupowane, a na nich rozsiadło się grono gości przy kawie i winie. Podłogę zdobiły indiańskie chodniki i mosiężne wiadra z olbrzymimi bukietami kwiatów.

– Ale tu pięknie – Celia westchnęła z uznaniem.

Za kontuarem czekało usłu nie dwóch recepcjonistów w wykrochmalonych białych koszulach i zielonych myśliwskich kamizelkach. Na starej dachówce widniał wypisany rozkład dziennych zajęć. Kiedy Celia się meldowała, nadeszli Frank i Noah z walizką i plecakami.

Olivia ofiarowała się zaprowadzić państwa Bradych do ich pokoi. Ruszyła korytarzem, skręciła w prawo. Otworzywszy drzwi do ich apartamentu, usunęła się na bok.

Celia a krzyknęła z zachwytu.

– Jak tu ślicznie! Po prostu pięknie! Spójrz, Frank, co za widok. Jesteśmy w samym środku deszczowego lasu – podeszła do drzwi na taras, otworzyła je na oście . – Dlaczego my w ogóle mieszkamy w mieście?

– Chyba ze względu na pracę – mruknął cierpko Frank.

– Tutaj jest główna sypialnia, a tutaj druga – powiedziała Olivia. – Proszę się rozgościć, rozpakować.

Noah ruszył do siebie.

– Zostawię swoje manele.

– Gdyby państwo czegoś potrzebowali albo mieli jakieś pytania... Są tu krótkie, łatwe trasy do wycieczek pieszych.

– Frank, nie zabawiłbyś się w skauta? – Celia uśmiechnęła się na widok błagalnego spojrzenia w oczach Olivii. – Noah i ja pobyczymy się trochę nad basenem. Liv oprowadzi cię po terenie, a przy okazji rozprostujesz nogi. – Świetny pomysł. Co ty na to, Liv?

– Bardzo chętnie. Mo emy wyjść nawet tędy – wskazała drzwi na taras.

Frank ucałował Celię.

– No to na razie.

– Nie śpieszcie się.

Odprowadziła ich do drzwi i patrzyła w ślad za wysoką młodą dziewczyną, która prowadziła jej męża do lasu.

– Mamo, dlaczegoś mi nie powiedziała? Odwróciła się.

– Czego, Noah?

– To córka Julie MacBride, prawda? – Noah stał w drzwiach swojego pokoju. Wyczytała rozdrganie w jego oczach.

– Tak. A dlaczego pytasz?

– Bo nie przyjechaliśmy tu do lasu ani na ryby. Tata nie znosi wędkowania, a urlop najchętniej przeleżałby w hamaku za domem.

Omal nie parsknęła śmiechem. To była prawda.

– Ale o co ci chodzi?

– Przyjechał dla tej dziewczyny. Czy to znaczy, że coś nowego wynikło w sprawie zabójstwa jej matki?

Celia wzruszyła ramionami.

– Olivia ma jakieś pytania. Nie sądzę, że dziadkowie powiedzieli jej zbyt wiele. I chyba nie wiedzą, że napisała do twojego ojca. Dajmy więc tym dwojgu odrobinę swobody.

– Nie ma sprawy – Noah zapatrzył się w las. – Tak tylko pytałem.

Drzewa zamknęły się za nimi niczym potężne kraty w starym więzieniu. Frank nastawił się na otwarte przestrzenie i piękno, a tymczasem brnął teraz przez ten dziwny świat, 61

w którym światło przybierało upiorną zieloną barwę, a przyroda dziwaczne, prymitywne kształty. Powietrze a się lepilo od wilgoci. Z pewnością lepiej by się czuł w ciemnym zaułku we wschodniej dzielnicy Los Angeles.

– Nigdy się tu nie zgubiłaś? – spytał Olivie.

– Nie, ale turyści czasem się gubią. W mieście te się mo na zgubić, prawda?

– To prawda.

Spojrzała w bok, zwolniła kroku.

– Bardzo jestem panu wdzięczna za przyjazd. Nie byłam nawet pewna, czy pan mnie pamięta.

– Jak najbardziej, Liv – dotknął lekko jej ręki. – Nieraz o tobie myślałem. Zastanawiałem się, jak sobie radzisz.

– Mam kapitałnych dziadków. Uwielbiam tę okolicę. Ludzie wracają z wakacji do domów, a ja tu mieszkam przez cały czas –

wyrzuciła to szybko z siebie, a potem skręciła w bok. – Miłą ma pan rodzinę.

– Dziękuję. Chyba nie będę jej zmieniał.

– Ja te mam miłą rodzinę. Chocia ... To jest cenny pień –

wskazała ręką zwykły pniak. – Kiedy wali się drzewo albo obrywa gałąź, las robi z nich u ytek. Nic tu się nie marnuje. To jodła amerykańska. Widać, e wyrastają z niej pędy świerku kanadyjskiego, a tak e puszczają się mech, paprocie i grzyby.

Kiedy coś tu ginie, daje szansę ycia czemuś innemu. –

Podniosła na niego oczy. Lśniła w nich mgiełka łez. – Dlaczego moja mama zginęła?

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie, Liv. Nigdy nie 62

wiadomo, dlaczego. I to jest najtrudniejsza część mojej pracy.

– To takie marnotrawstwo, prawda? Dobra i piękna.

– O tak. Twoja matka była dobra i piękna.

Olivia odezwała się dopiero wtedy, kiedy była pewna, e opanowała łzy.

– Ale ojciec nie był. Nie mógł być dobry i piękny. A ona mimo to w nim się zakochała i za niego wyszła.

– Twój ojciec miał problemy.

– Narkotyki – powiedziała bez krztyny emocji. – Czytałam w gazetach, które babcia schowała na strychu. Brał narkotyki i ją zabił – nasro yła się. – On twierdzi, e tego nie zrobił. Ale to na pewno on. Widziałam go. Mnie te by zabił, gdybym nie uciekła.

– Tego nie wiem. – Jak mógłby odpowiedzieć „tak” temu dziecku o spokojnym głosie i oczach

całkiem dojrzałej osoby? –

Niewykluczone.

– Pan z nim potem rozmawiał. Czy on jest obłąkany? Frank westchnął ciężko.

– Posłuchaj, Liv, moim zdaniem twój ojciec był słabym człowiekiem, a narkotyki tylko pogłębiły jego słabość. Kazały mu wierzyć w nieprawdę i postępować niegodziwie. Twoja mama doprowadziła do separacji, eby cię chronić.

– Skoro z nami nie mieszkał, to dlaczego znalazł się wtedy w środku nocy w domu?

– Dowody wskazywały na to, e go wpuściła.

– Bo nadal go kochała – Olivia pokręciła głową. – Czy będzie siedział w więzieniu do końca życia?

– Dostał do ywocie z zawieszeniem na dwadzieścia lat, w tym piętnaście lat pozbawienia praw obywatelskich.

– Czy to znaczy, e za siedem lat mo e wyjść sobie na wolność?

– Niekoniecznie. Będzie musiał stanąć przed komisją, przejść coś w rodzaju egzaminu.

– Przecie ci ludzie niczego nie będą wiedzieli. Bo ich przy tym nie było. Co ich to będzie obchodziło?

– Będzie. Choćby ja się tam stawię. – I tak zrobię, postanowił w duchu, eby przemówić w imieniu tego dziecka. –

Mam prawo zwrócić się do komisji, bo byłem wtedy na miejscu.

– Dziękuję panu – łzy znów zbierały się w kącikach oczu, więc wyciągnęła do niego rękę, eby je rozproszyć. – Dziękuję za tę rozmowę. Tak się cieszę, e pan przyjechał. Mam nadzieję, e dobrze tu państwo wypoczną. Gdyby pan miał ochotę, mogłabym wpisać pana na wycieczkę z przewodnikiem.

Frank się uśmiechnął.

– Chętnie, ale pod warunkiem, e ty nas poprowadzisz.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Podniebny Szlak ma tylko pięćdziesiąt kilometrów. –

A kiedy szczęka mu dosłownie opadła, uśmiechnęła się. –

Przecie artuję. Znam fajną trasę na jeden dzień. Tylko kilka kilometrów. Mo na tam spotkać bobry i rybołowy.

– Piszę się. To mo e jutro?

– Zapytam jeszcze dziadka, ale chyba się zgodzi. Przyjdę po państwa pół do dwunastej.

Olivia zjawiała się w pensjonacie punktualnie. Miała w plecaku kompas, nóż, wodę w butelce i apteczkę. Nadeszła od strony patio przy apartamencie państwa Bradych i zobaczyła Noaha rozpartego na leżaku. W uszach miał słuchawki. Nogi w dżinsach i w butach do kostek wyciągnął skrzyżowane przed siebie. Oczy zasłaniały mu ciemne okulary. Włosy, mokre po prysznicu albo kąpieli w basenie, odrzucił do tyłu i suszył teraz na słońcu.

Wydawało jej się, że wygląda jak gwiazda rocka. Musiała przemóc własną nieśmiałość, żeby powiedzieć mu: – Cześć.

Drgnął.

– A, cześć – ściszył kasetę, której dźwięki dudniły mu w uszach. – Pójdę po resztę wojska.

Kiedy wstał, musiała ją odchylić głowę do tyłu, żeby nie stracić go z pola widzenia.

– Kąpałeś się już w basenie?

– Aha – uśmiechnął się i tym uśmiechem zawojował serce kobiety jeszcze drzemiącej w piersi dziecka. – Ale woda jest zimna – otworzył drzwi. – Hej, przewodniczka przyszła –

w odpowiedzi rozległy się jakieś pomruki. Odwrócił się do Olivii: – Wiesz co, lepiej siadaj. Mama nigdy nie zdążyła na czas.

Przycupnęła na kamiennym tarasie i zamilkła.

Noah wpatrywał się w jej profil. Zaintrygowała go z powodu powiązania z jego ojcem, z Julie MacBride, no i z morderstwem. Morderstwo go fascynowało.

Chętnie by ją wypytał, ale wiedział, że rodzice obdarliby go za to ze skóry. Zresztą sam pamiętał małą zapłakaną

dziewczynkę zakrywającą rękami uszy.

– No a w ogóle... co tu robisz? Przeniosła na niego wzrok.

– Różne rzeczy – a zapłonęły jej policzki, jakby poniewczasie oparzyła ją banalność własnej odpowiedzi.

– Aha. – Różne rzeczy. My w Kalifornii tego nie robimy.

– No wiesz, pomagam dziadkom. Poza tym chodzę po szlakach i łowię ryby. Uczę się historii tej okolicy, fauny i flory, i tym podobnych rzeczy.

– A gdzie chodzisz do szkoły?

– Babcia uczy mnie w domu.

– W domu? A niech mnie!

– Jest bardzo surową nauczycielką – wybąkała Olivia, po czym zerwała się z ulgą, bo Frank i Celia właśnie wyszli. –

Dzień dobry. Jeśli państwo są gotowi, to mo emy ruszać. Proszę mi dać znać, je eli będą państwo chcieli popstrykać zdjęcia, odpocząć albo o coś spytać – powiedziała, kiedy ruszyli.

Wymieniała nazwy mijanych drzew, ale stwierdziła, e tylko Celię to interesuje. Jednak kiedy dotarli nad rzekę, a okolica nieco się przejaśniła, humory wróciły wszystkim trojgu.

– To rzeka Quinault – powiedziała Olivia. – Wpada do oceanu. Góry Olimpijskie otaczają pierścieniem puszcę.

– Pięknie tu, a dech zapiera – Celia podniosła aparat fotograficzny. – Patrzcie, jak góry odcinają się na tle nieba.

Olivia usiłowała przypomnieć sobie jak najwięcej wiadomości o tych górach.

– Góra Olympus ma tylko niecałe dwa i pół tysiąca metrów, 66

ale wyrasta z puszczy niemal na poziomie morza i dlatego wydaje się wy sza. Ma bodaj e sześć lodowców.

Poprowadziła ich wzdłu rzeki, pokazując nitkowate łody ki kanianki, białe środki kaczeńców. Na szlaku powoli mijali innych piechurów.

Kiedy udało jej się złapać czerwono nogą abę, Celia zaczęła robić zdjęcia, śmiejąc się do rozpuku z jej poskrzekiwań. Potem Liv wypuściła abę i wybrała ocienioną polankę z dala od szlaku, eby mogli posiedzieć i popatrzeć na wodę. Było ciepło, niebo przejrzyste, wprost idealny letni dzień na półwyspie.

– Przejdę się jeszcze trochę – powiedziała Olivia. –

Spróbuję wytropić bobry. Je eli mi się uda, wrócę po was.

– Biedne dziecko – szepnęła Celia, kiedy Olivia ruszyła przed siebie. – Chyba nawet nie wie, jak bardzo jest samotna.

– Jej dziadkowie, Celio, to dobrzy ludzie.

– O, na pewno. Ale gdzie są inne dzieci? Rówieśnicy, z którymi powinna się bawić w taki piękny dzień.

– Nawet nie chodzi do szkoły – wtrącił Noah. – Powiedziała mi, e babcia uczy ją w domu.

– Chowają ją pod kloszem. Nie brak jej ptasiego mleka –

dodała Celia – ale to więzienie.

Noah rozejrzał się.

– Chyba te się przejdę. Nigdy nie widziałem bobra.

– Nasz syn ma dobre serce – skomentowała Celia z uśmiechem, gdy ju się oddalił.

– Owszem, i ciekawość świata. Mam nadzieję, e nie będzie próbował jej dopaść.

- Frank, zaufaj mu trochę.
- Gdybym mu nie ufał, to te bym poszedł szukać bobrów.
- Z tymi słowy wyciągnął się wygodnie i zło ył głowę na kolanach ukochanej ony.

Noah znalazł Olivię siedzącą nieruchomo na brzegu rzeki.

Przypominała tamtą Liv, którą zapamiętał sprzed lat, a zarazem bardzo się od niej różniła.

Odwróciła się na szelest jego kroków. Utkwiła te swoje piękne, poważne oczy w jego twarzy. Usiadł.

– Ludzie im nie przeszkadzają – powiedziała cicho. – Ale lepiej przy nich nie hałasować.

– Pewno spędzasz tu mnóstwo czasu.

– Zawsze tu jest coś do roboty albo do oglądania. – Dziwnie się przy nim czuła, tyle że nie mogła się zdecydować, czy to uczucie jest miłe, czy nie. Serce tłukło jej się w piersi. – Ale daleko nam do Los Angeles.

– ebyś wiedziała. Chociaż tu jest w porządku. Bo mój kontakt z naturą sprowadza się do gry w kosza w parku miejskim.

– Pewno nigdy nie byłeś nawet na rybach.

– Niby po co? – uśmiechnął się krzywo. – Mogę sobie kupić rybnego burgera u McDonald'sa.

– Czy w mieście nie drażni cię wieczny ścisk, hałas, ruch uliczny?

– Ja to właśnie lubię. e zawsze coś się dzieje.

– Tu te zawsze coś się dzieje. Patrz.

Para bobrów płynęła radośnie w górę rzeki. Ich mokre łebki

pruły powierzchnię wody. Po chwili jak we śnie na drugim brzegu wzbiła się do góry czapla z dostojnym łopotem skrzydeł.

– Zało ę się, e nie widziałeś czegoś takiego w mieście.

– Raczej nie – uznał, e bobry są naprawdę fajne.

– Wiesz o mojej mamie.

Noah obejrzał się gwałtownie. Cisnęło mu się na usta mnóstwo pytań, ale zrozumiał, e nie potrafi ich

zadać.

– Aha. To straszne.

– Widziałeś jakieś filmy z nią?

– Pewnie. Mnóstwo.

– I rzeczywiście była taka wspaniała?

– A tyś adnego nie widziała? – Kiedy Olivia potrząsnęła głową, podniósł się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. – Naprawdę była świetna. Najbardziej lubię kino akcji, ale ona naprawdę, kurczę, była piękna.

– Nie chodzi mi o wygląd. Czy była dobrą aktorką?

– Aha. Doskonałą. Była bardzo przekonująca. Olivia pokiwała głową.

– Wyjechała stąd, bo chciała grać. Po prostu chciałam się dowiedzieć, czy była dobra. „Była bardzo przekonująca” –

powtórzyła Olivia, pragnąc zapamiętać to sformułowanie. –

Twój ojciec przyjechał tu na moją prośbę. Jest wspaniałym człowiekiem. Powinieneś to wiedzieć. Twoi rodzice mają serce dla rónych spraw, rónych ludzi. Docień to – wstała. – Pójdę po nich, eby te zobaczyli bobry.

Noah nie ruszył się. Nie zadał jej adnego pytania, ale ona i tak odpowiedziała mu na jedno. Jak to jest być córką sławnej 69

osoby, która zginęła śmiercią tragiczną?

Koszmarne. Po prostu koszmarne.

Rozdział czwarty

Uniwersytet Stanu Washington, 1993

Noah sprawdził adres zgrabnej piętrowej kamieniczki.

Zaparkował wynajęty samochód przy krawę niku, przeczesał

włosy palcami. Nawet miał zamiar podstrzyc się przed przyjazdem tutaj, ale co tam, właściwie to był na urlopie.

Dwa tygodnie wytchnienia od redakcji gazety, w której jego walka o wyrobienie sobie nazwiska jako reportera spraw kryminalnych nie przyniosła mu takiego uznania, jakiego by sobie yczył. Polityka,

ograniczona objętość tekstów, redaktorzy i reklamy przeszkadzały mu pisać tak, jak by chciał. Dlatego właśnie przyjechał tutaj, aby opisać historię, której nigdy nie zapomni, i to w sposób, jaki jemu będzie odpowiadał... historię zabójstwa Julie MacBride.

W tym domu, poza obrębem miasteczka uniwersyteckiego, i w innych podobnych, mieszkali studenci, którym nie w głowie były balangi ani inne przejawy burzliwego życia towarzyskiego.

On

natomiast

uwielbiał

lata

spędzone

w akademiku

Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles, na którym zrobił

dyplom z dziennikarstwa.

I chociaż w ciągu trzech lat przekonał się, że właściwie nie ma duszy reportera, to praca szła mu całkiem nieźle. Zebrał

materiały. Wiedział,

że Olivia MacBride studiuje ochronę

środowiska naturalnego i że ma bardzo wysoką średnią ocen.

Wiedział też,

że nie należała do

popularnych klubów ani

stowarzyszeń. Ale pewnych obszarów jej życia nie zdołał

złębic – nie znał marzeń ani pragnień tej dziewczyny, jej stosunku do własnych rodziców.

Żeby się tego wszystkiego dowiedzieć, musiałby ją poznać.

Chcąc napisać książkę, która nie dawała mu spokoju, musiałby przeniknąć myśli Olivii na wylot.

Najbardziej wrył mu się w pamięć jej obraz jako małej dziewczynki z zapłakaną twarzą i powądnymi oczami. Po wejściu do tego domu zastanawiał się, co zobaczy teraz.

Wszedł po schodach, zauważył tabliczkę z numerem mieszkania 2-B.

Żadnego nazwiska. MacBride'owie nadal

strzegli własnej prywatności. – No, to do dzieła – mruknął

i nacisnął dzwonek.

Przygotował kilka wariantów powitania, żeby zostawić sobie pole manewru, dopóki nie opanuje sytuacji. Kiedy drzwi się otworzyły, wszystkie jego plany wzięły w łeb.

Nie była piękna, w każdym razie w porównaniu ze swoją olśniewającą matką. Ale trudno było nie pokusić się o porównanie na widok jej oczu – złocisto-piwnych, ocienionych ukośnymi – ciemnymi brwiami. Była wysoka i smukła, a przy tym miała przęsną sylwetkę, która wyjątkowo go pociągała. Długie włosy trochę jej ściemniały, ale i tak były odrobinę jaśniejsze od oczu. Miała na sobie dżinsy, bluzę Uniwersytetu Stanu Washington i była bosonoga. Zrobiła zdziwioną

minę. Gapił się na nią jak idiota, uśmiechając się przy tym głupio.

Uniosła jedną z tych swoich zabójczych brwi. Na ten widok, poza zwykłą przyjemnością, odczuł dreszcz po gwałtanu.

- Je eli szukasz Lindy, to mieszka po drugiej stronie korytarza, pod 2-A.
- Nie szukam Lindy. Szukam ciebie. A w ogóle to nieźle mnie uraziłaś tym, e mnie nie pamiętasz.
- A niby skąd miałabym pamiętać... – teraz wbiła w niego te swoje niesamowite oczy, bo przedtem nawet nie raczyła mu się przyjrzeć, kiedy wzięła go za intruza, których hordy dobijały się do jej sąsiadki z przeciwka. Obrzuciła go łaskawszym okiem.
- A, jesteś Noah Brady, syn Franka. Czy on...?
- Nie, to ja sam. Masz chwilę?
- Aha. Mam. Wejdz. – Nieco speszona, wpuściła go do środka. Ślęczała właśnie nad referatem na temat symbiozy korzeniowej grzybów. Teraz cofnęła się gwałtownie w czasie, wróciła do wspomnień. Przypomniała sobie, jak zadurzyła się w nim, kiedy miała dwanaście lat.
- Mogę ci zrobić kawy. Mo e te mam coś zimnego.
- Co wolisz – Noah obrzucił wzrokiem przytulny pokoik, schludne biurko z szumiącym komputerem, jasne kremowe ściany, granatową kanapę. – Miłe gniazdko.
- Aha, ja te je lubię – Olivia stała wpatrzona w niego, jakby nie wiedziała, od czego zacząć. – Poczekaj chwilę.
- Nie ma pośpiechu – poszedł za nią do kuchni.
- Coli czy kawy? – spytała, otwierając lodówkę.

- Mo e być cola. Dzięki – wziął puszkę.
- Co robisz tak daleko na północy, w stanie Waszyngton?
- Jestem na urlopie – uśmiechnął się do niej, a ona znów poczuła w piersi ów łomot serca, który pamiętała sprzed sześciu lat, jakby nigdy nie ustał. – Pracuję w „Los Angeles Times”.
- Jesteś dziennikarzem.
- Zawsze chciałem pisać – wyczuł natychmiast jej rezerwę, dlatego uznał, e nie wyjawi od razu celu swojej wizyty. –

Koledze, z którym miałem wyrwać się razem nad morze, coś wypadło. No więc postanowiłem wybrać się na północ.

- Czyli jesteś tu słu bowo.
- Nie – starał się nie minąć z prawdą – przyjechałem tu z własnej woli. Postanowiłem cię odszukać, bo jesteś jedyną znajomą osobą w całym stanie Waszyngton. Jak ci się podoba na studiach?
- Bardzo – Olivia wprowadziła Noaha z powrotem do pokoju.
- Tęsknię za domem, ale w nawale zajęć nie mam zbyt wiele czasu na tęsknotę.

Usiadła na kanapie. Usiadł obok niej, wyciągnął nogi.

- Nad czym teraz pracujesz? – machnął głową w stronę migającego komputera.
- Nad grzybami – roześmiała się. Miło było na niego patrzeć – rozwiane szatynowe włosy, lekko spłowiałe od słońca, ciemnozielone oczy, zmysłowy uśmiech. – Piszę magisterkę z bogactw naturalnych przyrody.

Chciał jej powiedzieć, e wie, ale ugryzł się w język.

- Pasuje.
- Jak ulał – przyznała. – A jak twoi rodzice?
- Znakomicie. Kiedyś kazałaś mi ich docenić. No więc doceniam – ich spojrzenia się spotkały. – Chyba nawet bardziej teraz, kiedy poszedłem na swoje. A ty nadal pracujesz w ośrodku?
- Tak. W lecie i w czasie ferii. Ja... Nauczyłeś się łowić ryby?
- Nie – uśmiechnął się. – Nadal wolę zjeść rybnego burgera u McDonald'sa. Ale zdarza mi się mierzyć wy ej. Pójdiesz ze mną na kolację?
- Na kolację? – Powinna skończyć referat. I zakuwać do egzaminu. Ale on ma takie piękne zielone oczy. – Chętnie.
- Fajnie. To wpadnę po ciebie o siódmej – wstał, a kiedy podniosła się, eby odprowadzić go do drzwi, na po egnanie uściskał jej od niechcienia rękę. Na odchodnym uśmiechnął się rozbrajająco.

Olivia zamknęła drzwi i oparła się o nie od środka. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zaprzętnęła ją nader frywolna myśl: co by tu na siebie wło yć?

Przy kolacji wspomni o planowanej ksią ce. Tylko delikatnie, napominał się w duchu. eby miała czas wszystko przemyśleć, zrozumieć jego zamysł. Całe przedsięwzięcie nie wypali bez jej współpracy. Bez jej rodziny, pomyślał, znów idąc po schodach do jej mieszkania. Kiedy Olivia zrozumie jego pobudki, jego cele, chyba nie odmówi. Bo to nie będzie ksią ka 74

tylko o zabójstwie, lecz o ludziach. Ludzki aspekt. Pobudki, błędy. Porywy serca, pomyślał.

Nacisnął dzwonek do drzwi 2-B. Otworzyły się. Zapomniał

o ksią ce. Omal nie zapomniał, jak się nazywa.

Olivia stała na progu w niebieskiej sukience. Rozpuściła włosy, spływające jej teraz na ramiona jak deszcz, zza którego błyskały tylko złote refleksy w uszach.

– Ślicznie wyglądasz.

Trzymał ją za rękę przez całą drogę do samochodu. A kiedy wsiadała, przebiegł palcami po jej włosach i odgarnął je do tyłu.

Serce dosłownie w niej zamarło, po czym runęło do jego stóp.

Noah znalazł w okolicy włoską knajpkę na tyle skromną, eby nie onieśmielać dziewczyny. Na obrusach w łososiowym kolorze migotały płomyki białych świec.

Sympatycznie się z nim gadało. Był pierwszym męczyzną poza członkami jej rodziny, z którym Olivia wyszła na kolację, a przy tym chyba szczerze interesował się jej studiami i planami na przyszłość. Zagadnęła go o jego matkę.

– Czy twoja mama nadal zajmuje się problemami społecznymi?

– Jest na ty z kongresmanami ze swojego okręgu. Walczy teraz bodaj e o los mustangów. Dasz mi skosztować?

– Czego? – właśnie nabrała na widelec porcję grzybków portobello. – A, jasne.

Wziął ją za przegub, nakierował jej rękę do swoich ust, nie 75

spuszczając z niej oka.

– Mmm, pycha.

– W puszczy jest pełno ró nych jadalnych grzybów.

– Aha. Wybierzmy się tam któregoś dnia, to mi poka esz.

– Wiesz... Kiedyś mam nadzieję zało yć w ośrodku dziadków

centrum

przyrodnicze.

Będą

tam

wykłady

i pogadanki, między innymi o tym, jak rozpoznawać grzyby jadalne.

– Grzyby jadalne... nie wiedziałem, e mo na jeść jakieś inne grzyby poza pieczarkami.

– Właściwie to są owocnie grzybów.

– Naprawdę?

– Taki prawdziwek wyrasta z grzybni rok po roku i... –

zorientowała się, e jej nie słucha. – W ogóle cię to nie obchodzi.

– Lubię wiedzieć, co jem.

Kiedy kelner nakładał główne danie, Olivia odprę yła się i uśmiechnęła.

Skosztowała

makaronu

z krewetkami

i pomidorami.

– Zawsze dają więcej, niż człowiek może zjeść.

– Kto tak twierdzi? – Noah wbił widelec w manicotti, z którego spływał ser.

Zdumiała ją, że chłopak nie tylko zmiotł swój talerz do czysta, ale też wtrząchnął sporą część jej porcji, a potem miał

jeszcze miejsce na deser i na cappuccino.

– Jak możesz tyle jeść i nie ważyć stu pięćdziesięciu kilo? –

nie mogła się nadziwić.

– Mam dobrą przemianę materii – nabrał ły eczkę kremu z musem czekoladowym na talerz. – Spróbuj.

– Nie, ju nie mogę... – ale on ju przytknął ły eczkę do jej ust, no więc rozchyliła je machinalnie. – Mhm, owszem, dobre.

Musiał się szybko cofnąć. Te na wpół przymknięte oczy, rozchylone usta uzmysłowiły mu, jak bardzo ich po ąda.

– Przejdźmy się. – Podpisał rachunek z uwzględnieniem napiwku, schował kartę kredytową. Czuł, e musi się trochę przewietrzyć, by wybić sobie te fantazje z głowy. Ale nie zdołał

się ich pozbyć przez całą drogę do domu, a do jej drzwi.

Widziała

to

wyraźnie

w jego

oczach:

po ądanie,

oczekiwanie na pierwszy pocałunek. A przeszył ją dreszcz.

– Miło było. Dziękuję – po egnąła się.

– Co robisz jutro wieczorem?

– Jutro? – zaskoczył ją. – Mam... – miała mnóstwo nauki, kolejny referat, dodatkową pracę w laboratorium – ...nic.

– To świetnie. Czyli o siódmej. Teraz, pomyślała. Teraz ją pocałuje.

– No to na razie.

– Dobranoc, Liv – dotknął tylko jej ręki i odszedł.

U McDonald'sa zaśmiewała się do rozpuku. Zakochała się w nim pierwszą, najcudowniejszą miłością przy rybnych burgerach z frytkami, w jaskrawym blasku jarzeniówek.

Zdradziła mu swoje plany na przyszłość, opowiedziała o swoim wymarzonym centrum

przyrodniczym, o którym nie mówiła jeszcze nikomu poza rodziną. Słuchał. Ciekawiły go jej 77

sprawy.

Tak go zafascynowała, że odłożył na bok pracę – wstępny szkic książki, plany wywiadów – i po prostu się nią napawał.

Rozmawiali o muzyce, o książkach. Doznał wstrząsu, kiedy się dowiedział, że Olivia nigdy nie była na meczu koszykówki ani nie widziała nawet takiego meczu w telewizji. – Liv, natychmiast przysyłaj mi kopie swoich nagrań Lakersów. –

W drodze do samochodu trzymał ją za rękę.

– A kto to jest? Drużyna koszykarska?

– Nie, Olivio, to bogowie. No, dobrze – usiadł za kółkiem. –

Jakoś udało mi się wprowadzić cię w świat barowego jedzenia.

Niedługo zapoznam cię z jedynym sportem godnym tego miana.

No, więc co teraz?

Zabrał ją do dyskoteki.

W klubie panował ścisk i gwar, nie mogło być lepiej. Bo Noah już zrozumiał, że jeśli zostanie z nią sam na sam, to jak nie rzuci się na nią. Już pierwszego wieczoru zorientował się, że jest tak samo samotna jak wtedy. I absolutnie nietknięta. Ale chyba jeszcze niegotowa na kipiące w nim żądze. Prawdę mówiąc, nie miał pewności, czy sam jest na nie gotów.

Patrzył na jej zaskoczoną, podejrzliwą minę, kiedy przedzierał się przez tłum. Rozbawiony, skomentował: –

Masowy rytuał ludzki. Mogłabyś napisać referat.

– Jestem przyrodniczką.

– To też część przyrody. – Znalazł dla nich stolik, nachylił

się nad nią, przekrzykując ogłuszającą muzykę. – Pierwotne zwyczaje godowe.

Spojrzała na wyświecony parkiet, na którym miały się dziesiątki par.

– Moim zdaniem, to zachowanie nie zasługuje na miano godów. Jednak e z ciekawością się przyglądała. Muzyka była głośna, ale dobrze współbrzmiała z dudnieniem w sercu Olivii.

Uśmiechnęła się. Noah pociągnął ją za rękę. Próbowwała mu ją wyrwać.

– Nie umiem tańczyć.

– Ka dy umie.

– Nieprawda. Nie znam kroków. Obleciał ją strach.

Stali na skraju parkietu, Noah poło ył ręce na jej biodrach.

Przysunął blisko twarz.

– Po prostu rytmicznie się poruszaj – i sam zaczął kołysać się obok niej, a wtedy jej strach przeobraził się w jakiś inny, głębszy, znacznie bardziej intymny lęk – niewa ne, jak.

Poło yła dłonie na jego ramionach. Twarz miała rozplómięnięną, ciemne wielkie oczy wbite w niego. W tym morzu zapachów – rozmaitych perfum, potu, rozlanego piwa –

czuł tylko jej zapach. Świe y i spokojny. Zapach łąki.

Musi jej dotknąć, choćby tylko przez chwilę. Objął ją mocno w pasie. Poczuł, jak szybko nabrała powietrza i jak zaczęła dr eć na całym cieie. Zawahał się, przeciągając tę chwilę, ten ból, to oczekiwanie, a oboje się w nim zatracili.

I wtedy spadł jak jastrzęb na jej miękkie i gładkie usta.

Muzyka dudniła wokół, a Olivia płynęła, unosiła się, szybowała. Noah oderwał od niej usta, ale wtulił jej głowę w zagłębienie swojego ramienia. Kiedy kołysali się razem 79

w tym huku, Noah myślał gorączkowo, co, do licha, powinien teraz zrobić.

Po raz drugi pocałował ją pod drzwiami do jej mieszkania.

A potem zamknął je i stał jak słup soli przed solidną drewnianą taflą.

Olivia przycisnęła rękę do serca. Biło jak oszalałe. Czy to nie cudowne? Czyli tak się czuje zakochana dziewczyna.

Noah pracował przez cały ranek. Z tuzin razy miał ochotę zadzwonić do Olivii. W końcu zatrzaskał

laptop i przebrał się w szorty. Mordercza gimnastyka, jakiej poddawał się codziennie w hotelowej siłowni, pomagała mu częściowo wyzbyć się poczucia winy i frustracji.

Nie powinien był posunąć się tak daleko z Olivią, łajał się w duchu, kończąc trzecią rundę ćwiczeń z ciężarkami. Nie powinien jej dotykać. Dziewczyna miała za sobą koszmarne przeżycia,

a potem

przez

osiemnaście

lat

mieszkała

w kompletnym odosobnieniu. Był od niej dużo starszy. Nie powinien był wykorzystywać tej przewagi.

Kiedy zmienił ciężarki na hantle, pomyślał trzeźwo, że Olivia jest tak i bystra, silna i niegłupia. A przy tym ambitna i ma oczy jak starożytna bogini. Te cechy pociągały go tak samo jak nieśmiałość, którą tak bardzo starała się ukryć.

Odstawił hantle, przetarł twarz ręcznikiem. Zadzwoi do niej, kiedy tylko znajdzie się w swoim pokoju i weźmie prysznic. Zaprosi ją na kawę. I wtedy opowie jej o księżce.

Wyjaśni,

że miał zamiar skontaktować się ze wszystkimi 80

osobami zamieszkanymi w sprawie. Czyli zrobi to, co powinien był zrobić pierwszego dnia, kiedy mu otworzyła drzwi.

Pokrzepiony na ciele i duchu, minął windę, ruszył

schodami. Ale stanął jak wryty, kiedy zobaczył ją stojącą pod jego drzwiami. Przetrzęsała ogromną torbę.

– Liv?

– Właśnie miałam ci zostawić liścik – przywitała go z uśmiechem. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Jak ona świeżo wyglądała w dżinsach i w czarnej kurtce.

– Ale skąd. To ja przepraszam. Po prostu się nie spodziewałem.

Wracam

z siłowni

–

wyciągnął

kartę

magnetyczną z kieszeni, otworzył nią drzwi. – Wejdz, proszę.

– Mam oczko między zajęciami. Chciałam cię zaprosić na kolację.

– Tak? – usiłował zebrać myśli. W jej mieszkaniu będzie im się lepiej rozmawiało. Przede wszystkim ona będzie się czuła swobodniej. Bo tutaj, w tym jego zagraconym pokoju hotelowym, najwyraźniej była speszona.

– Tylko muszę jeszcze coś dokupić – powiedziała.

– Wiesz co? Poczekaj, wezmę tylko prysznic i skoczmy razem do sklepu. Chętnie się poprzyglądam, jak gotujesz.

– No dobrze.

Złapał d insy i koszulę, potem wygrzebał z szuflady bieliznę i skarpetki.

– Daj mi dziesięć minut.

– Nie śpiesz się.

Kiedy zamknęły się drzwi łazienki, Olivia przysiadła na 81

skraju łó ka. Kolana jej się trzęsły. Jak ona to wytrzyma, eby nie wyjść na idiotkę? A jeśli źle odczytała wczoraj wyraz jego oczu? Odetchnęła głęboko i zaczęła chodzić po pokoju.

Podeszła do biurka, na którym stał komputer Noaha i le ały stosy notatek i fiszek. Jakoś nie rozmawiali dotąd o jego pracy.

Pytała go tylko, co człowiek czuje, widząc swoje teksty w druku i wiedząc,

e ktoś je czyta. Uznała,

e to cudowne,

i uśmiechnęła się, wyrównując bezładny stos kartek.

Wtem jej wzrok padł na nazwisko MacBride nagryzmołone czarnym atramentem. achnęła się.

Podniosła kartkę. W jednej chwili krew w niej zastygła. Olivia zaczęła przeglądać jego notatki, nawet się nie zastanawiając nad cudzym prawem do prywatności.

Noah wytarł ręcznikiem włosy i przygotował dokładnie w głowie, co powie Olivii. Kiedy ju dojdą do porozumienia na gruncie

profesjonalnym,

z pewnością

dogadają

się

na

prywatnym. Chętnie pojedzie z nią do River's End na całe lato.

Będzie tam oczywiście robił wywiady. Ale będzie z nią. Nie znał dotąd dziewczyny, z którą tak bardzo chciałby być.

Wyszedł z łazienki... i cały świat mu się zawalił. Przy biurku stała Olivia z jego notatkami w ręce. Z bursztynowych oczu biła lodowata furia.

– Ty obłudny, wyrachowany łajdaku – powiedziała cicho. –

Przyjechałeś tu słu bowo. eby napisać reporta .

– Nie – uskoczył w bok, eby zagrozić jej wyjście. –

Poczekaj. Nie przysłała mnie tu redakcja.

Zmieniła jego notatki i rzuciła mu w twarz.

– Masz mnie za idiotkę?

– Nie – chwycił ją za rękę. Sądził, e będzie się szamotała.

Tymczasem ona zastygła.

– Posłuchaj, to nie dla gazety. Chcę napisać książkę.

Powiniennem ci od razu powiedzieć. Nosilem się z tym zamiarem. Ale... Liv, na twój widok wszystko mi wirowało w głowie. Za ka dym razem, kiedy cię widziałem, nie mogłem się pozbierać.

– Wykorzystałeś mnie.

– Bardzo cię przepraszam. Moje uczucia do ciebie nie pozwoliły mi się zachować przyzwoicie.

– Przespałbyś się ze mną, eby zdobyć informacje do książki.

– Nie! To, co się stało między nami, nie miało nic wspólnego z książką. Zapragnąłem cię, Liv, od chwili, w której otworzyłaś mi wtedy drzwi, ale nie dotknąłbym cię, dopóki bym ci wszystkiego nie wyjaśnił. Dziś miałem ci to powiedzieć.

– Coś takiego? Łatwa wymówka, Noah – oczy Olivii pały bursztynowym złotem. – Bo to moje ycie, a nie twoje. I tylko, i wyłącznie moja sprawa. Nie mam zamiaru pomóc ci przy tej cholernej książce – odepchnęła go. – Nie zbli aj się do mnie.

– Skrzywdziłem cię – powiedział. – Przepraszam. Nie przewidziałem,

e zawładnie mną takie uczucie. Nie

planowałem tego, co się stało tutaj, między nami.

– Je eli o mnie chodzi, nic między nami nie zaszło.

Nienawidzę cię. Trzymaj się ode mnie z daleka – porwała torbę, 83

wypadła za drzwi. – Kiedyś powiedziałam ci, e twój ojciec jest wielkim człowiekiem. Bo jest. A ty przy nim, Noah, jesteś bardzo mały.

Nawet nie zadała sobie trudu, eby trzasnąć drzwiami.

Zamknęła je za sobą cicho i precyzyjnie.

Rozdział piąty

Venice, Kalifornia, 1999

Noah Brady uwa ał, e prowadzi ycie bliskie ideału.

Dzięki sukcesowi, jaki odniosła jego ksią ka, zarówno wśród krytyków, jak i czytelników, mógł sobie kupić piękny bungalow na pla y i yć bez większych ograniczeń.

Bardzo lubił swoją pracę – czerpał siłę i podniecie z opisywania prawdziwych przestępstw wymagających od niego grzebania w sercach i umysłach ludzi, którzy w pewnym momencie ycia wybrali morderstwo. Sprawiało mu to znacznie więcej przyjemności ni poprzednie cztery lata pracy dziennikarskiej. I oczywiście jako pisarz zarabiał lepiej, pomyślał, kończąc swój codzienny pięciokilometrowy bieg po pla y. Teraz, kiedy jego druga ksią ka trafiła właśnie do księgarń, a recenzje i wpływy ze sprzeda y utrzymywały się na dobrym poziomie, uznał, e nie mogłoby być lepiej.

Był młody, zdrowy, robił karierę, i na szczęście był wolny, bo ostatnio wywinął się z męczącego związku. Kto by pomyślał, e Caryn, która sama uwa ała się za dziewczynę imprezową 84

i chciała zostać aktorką, owinie się wokół niego jak powój i będzie się dąsała za ka dym razem, kiedy on zechce sam spędzić wieczór?

Problem zwietrył wtedy, kiedy coraz więcej jej ciuchów zaczęło trafiać na stałe do jego szafy. Jego zapatrzenie przeszło w rutynę. Jakie tam zapatrzenie! Niedopatrzenie, poprawił się w duchu, bo tak był zajęty szukaniem materiałów i pisaniem kolejnej ksią ki, e w porę się nie spostrzegł.

Caryn zareagowała na jego decyzję awanturą i szlochem.

Wykrzykiwała, e jest wstrętnym egoistą, wrzucając swoje rzeczy do torby wielkości stanu Kansas. Przed wyjściem rozbiła jeszcze dwie lampy, z czego jedną niemal e na jego głowie.

Mimo to nie przestała później nagrywać na jego sekretarkę wiadomości, a to łzawych, a to pełnych furii. Co z nią było nie tak? Była urzekająco piękną dziewczyną w mieście, w którym ubóstwia się piękne kobiety. Ani chwili nie powinna zostać sama.

Noahowi nigdy nie przyszło do głowy, e Caryn mogła sobie wmówić miłość do niego. Jego matka powiedziałyby:

„cały Noah”. Przenikał na wylot umysły obcych ludzi, ofiar zbrodni, świadków. Ale w związkach osobistych ślizgał się po powierzchni. Raz spróbował zanurzyć się głębiej i skutki okazały się katastrofalne. Zarówno dla niego, jak i dla Olivii.

Potem przez wiele miesięcy lizał rany po tych trzech dniach spędzonych z Olivią. W porę zdołał przekonać sam siebie, e chodziło mu o ksią kę, e nade wszystko ambicje kazały mu przekształcić uczucie do niej w coś, czego omal nie wziął za 85

miłość. Myślał o niej z alem, z poczuciem winy, a niekiedy snuł fantazje, czym się te ich spotkanie mogło zakończyć.

Dlatego wolał o niej nie myśleć.

Dobiegł

do

eleganckiego,

piętrowego,

kremowego

bungalowu. W jego czerwonych dachówkach lśniło słońce.

Tonące w morzu kolorów klomby stanowiły obiekt zazdrości sąsiadów.

Wyjął pocztę ze skrzynki, wszedł do środka, rzucił listy na stół. Zerknął na sekretarkę automatyczną, zobaczył, że są cztery wiadomości. W obawie, że przynajmniej jedna będzie od Caryn, postanowił zaparzyć sobie kawy, zanim je odsłucha.

Czekając na kawę, usiadł przy blacie i przejrzał rachunki oraz reklamy. Był to miły sercu pakiet listów od czytelników przekazany przez wydawcę, najnowszy numer miesięcznika

„Więzienne życie” oraz biała koperta zaadresowana odręcznie.

Adres zwrotny opiewał na więzienie San Quentin.

A się wzdrygnął. Wprawdzie dostawał regularnie pocztę od więźniów, ale nigdy na domowy adres. Otworzył list i doznał

wstrząsu.

Szanowny Panie. Nazywam się Sam Tanner. Chyba Pan wie, kim jestem. Moje Pan natomiast wie, kim jest albo nie, że Pański ojciec uczestniczył we wszystkich przesłuchaniach w sprawie mojego ewentualnego zwolnienia warunkowego. Moje Pan na by rzecz, że mam z nim stały kontakt.

Przeczytałem Pańską książkę Łowy nocą. Pana wnikliwe, beznamienne spojrzenie na psychikę i metody Jamesa Trolly'ego sprawiły, że jego zbiorowe zabójstwo w West Hollywood wydało 86

mi się bardziej mroć krew w żyłach i realistyczne niż we wszystkich innych relacjach w mediach.

Wyrobiłem sobie przekonanie, że interesuje Pana prawda, prawdziwi ludzie i fakty. Bardzo to ciekawe, że cały mój powiązanie z Pańskim ojcem. Zupełnie, jakby los mi Pana zesłał. W ciągu lat spędzonych w więzieniu zacząłem wierzyć w przeznaczenie. Chciałbym opowiedzieć Panu swoją historię.

Chciałbym, żeby Pan ją opisał, jeżeli jest Pan jej ciekaw.

Z powa aniem, Sam Tanner

– No, no – Noah przeczytał list ponownie. – ebyś wiedział, Sam, e jestem ciekaw. Interesuję się tobą od dwudziestu lat.

Miał całe stosy materiałów na temat Sama Tannera, Julie MacBride i morderstwa w Beverly Hills. Odłó ył sprawę ksią ki, ale nie własne zainteresowanie. Odłó ył ją na sześć lat, bo za ka dym razem, kiedy próbował do niej wrócić, widział

wyrzut w oczach Olivii stojącej z plikiem jego notatek przy biurku w tamtym pokoju hotelowym. Tym razem odsunął od siebie ten obraz.

Musi zrobić wykaz wszystkich zamieszanych w to osób –

krewnych,

znajomych,

personelu,

kolegów

po

fachu.

Protokolantów sądowych. Sprawozdania policyjne.

I wtedy się zawahał. Jego ojciec. Nie miał pewności, czy ten pomysł przypadnie ojcu do gustu.

Z upływem lat dom państwa Bradych niewiele się zmienił.

Nadal zdobiła go ta sama bladoro owa sztukateria, a od frontu miał elegancko przystrzy ony trawnik i kwiaty walczące ze 87

śmiercią. Frank Brady, odkąd rok temu przeszedł na emeryturę, poświęcił się pracy społecznej w miejscowym ośrodku dla młodzie y. Spędzał tam całe popołudnia, trenując młodzie ową dru ynę koszykówki. Rano natomiast przesiadywał we własnym ogródku za domem, czytając powieści kryminalne, od których się dosłownie uzale nił, kiedy ju nie musiał na co dzień zajmować się zabójstwami.

Tam właśnie znalazł go Noah, wyciągniętego w d insach i adidasach na le aku. Burza jego włosów dawno ju posiwiiała.

– Wiesz, jak trudno jest uśmiercić geranium? – Noah rzucił

okiem na przywiedłe ró owe kwiaty walczące o ycie na tarasie.

– To musi być naprawdę zabójstwo z premedytacją – odkręcił

wą , włączył wodę, darowując dychawicznym kwiatom kolejny zastrzyk ycia.

Ucieszony widokiem syna, Frank odło ył najnowszą powieść Johna Sandforda.

– Nie spodziewałem się ciebie przed niedzielą. Pójdiesz z nami na kolację w urodziny matki?

– Jak najbardziej.

– Je eli chcesz, mo esz przyprowadzić tę swoją sympatię.

– Caryn? Właśnie się z nią rozstaję.

– No, to jeszcze lepiej. Bo mama jej nie lubiła. Twierdziła, e jest „płytką” i „wścibska”.

– Wkurza mnie to, e ona zawsze ma rację – Noah zakręcił

wodę i starannie zwinął wą na kole. Frank milczał przez chwilę.

– Wiesz, byłem kiedyś niezłym detektywem. Chyba nie 88

przyszedłeś tu po to, eby mi podlać kwiaty.

– Dostałem dzisiaj list. Pewien gość z San Quentin chce mi opowiedzieć swoją historię.

– Oo? – Frank uniósł brwi.

– Ciekawi mnie ta sprawa. I to od dłu szego czasu – Noah spojrzał ojcu w oczy. – To Sam Tanner, tato.

Serce zabiło Frankowi nieco ywiej.

– Rozumiem. A właściwie nie rozumiem – dodał

natychmiast i wstał z le aka. – Odrącam jego prośbę, a on zwraca się do ciebie? Chce porozmawiać z synem człowieka, który pomógł wsadzić go za kraty i dopilnował, eby odsiedział

swoje dwadzieścia lat?

– Dlaczego chodziłeś na wszystkie rozprawy dotyczące jego ewentualnego przedterminowego zwolnienia?

– Pewnych rzeczy się nie zapomina. I dlatego trzeba doprowadzać sprawy do końca. – Poza tym przecie obiecał to pewnej młodej dziewczynie z oczyma zranionej łani z lasu.

– Tato, on mi nic nie mo e zrobić.

– Wyobraź sobie, że w nocy Julie MacBride myślała tak samo. Noah, trzymaj się od niego z daleka. Zostaw tę sprawę.

– Tyś nie zostawił. Pamiętam, jak wieczorami chodziłeś po pokoju albo przychodziłeś tutaj i siedziałeś po ciemku. Adna sprawa nie dręczyła cię tak, nawet po powrocie z pracy, jak ta.

No więc i ja jej nie zapominałem. Może na powiedzieć, że i mnie dręczy.

– Zastanawiałeś się nad tym, co taka księżka może oznaczać 89

dla pozostałych ofiar Tannera – rodziców Julie, siostry, córki?

– Zastanawiałem się. Dlatego tu przyszedłem. Chciałem cię uprzedzić o swoich zamiarach.

– Popelniasz błąd.

– Może, ale na tym polega teraz moje życie i moja praca.

– Sądzisz, że zwróciliby się do ciebie, gdybyś nie był moim synem? – oczy Franka pałały strachem i gniewem. – Ten sukinsyn całymi latami odmawiał udzielania wszelkich publicznych wywiadów. A zapraszały go do swoich programów takie sławy, jak Tom Brokaw, Barbara Walters, Oprah Winfrey.

Nie puszczał pary z ust. A teraz chce ci podać wszystko na talerzu. Niech mnie piorun trzaśnie, synu, jeśli to ma coś wspólnego z twoją pracą. Raczej z moją.

– Może – Noah przybrał chłodniejszy ton. – A może i z twoją, i z moją. Ale niezależnie od tego, czy szanujesz moją pracę, czy nie, zamierzam się zająć tą sprawą.

– Nigdy nie powiedziałem, że nie szanuję twojej pracy.

– Owszem, ale ty nigdy nie powiedziałaś, że szanujesz –

dopiero teraz Noah zrozumiał, że z tego powodu urazę do ojca. – No, to do niedzieli.

Frank zaczął coś mówić, ale Noah już skierował się do wyjścia.

W tym parszywym nastroju wrócił do domu. Zły nastrój nie odstępował go na krok, był irytującym pasażerem jego szarego BMW. Najbardziej zabolalo Noaha odkrycie, że ma ojcu za złe, i nigdy nie wykonał indiańskiego tańca radości nad sukcesem 90

jego księżki. Zabójstwo to doskonały materiał na powieść. Ale ojciec nie pojmował, jak może na tak drobiazgowo odsłaniać wnętrza prawdziwych zabójców przed społeczeństwem.

Kiedy dotarł do domu, dosłownie kipiała w nim ółć.

A widok samochodu Caryn zaparkowanego przed jego domem przelał kielich goryczy. Zastał ją siedzącą w ogródku za domem.

Oczy miała pełne łez.

– Och, Noah. Bardzo cię przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Taka jestem nieszczęśliwa bez ciebie – wstała i podeszła do niego.

– Caryn, powiedzmy sobie szczerze, e dobrze było, ale się skończyło.

– Nie mówisz chyba powa nie.

– Jak najpowa niej – pomyślał, e musi ją stąd wywalić. –

Lepiej więc uwierz.

– Masz kogoś, tak? Ty łajdaku. Na pewno mnie zdradzałeś, jeszcze kiedy mieszkaliśmy razem. Wzięłeś sobie inną kobietę do naszego łó ka – wbiegła za nim do domu.

– Nie, nikogo nie mam. I to nie jest wcale nasze łó ko, tylko moje – był bardziej zmęczony ni zły, dopóki nie wszedł do sypialni i nie zobaczył, e dziewczyna drze jego pościel. –

Oszalałaś? Przestań!

Chwyciła lampkę nocną i zamachnęła się w jego stronę.

Przytrzymał ją w porę, bo w przeciwnym razie dostałby podstawką między oczy. Dźwięk tłuczonego szkła rozjuszył go jeszcze bardziej.

– No dobra, dość ju tego! – warknął. – Wynocha stąd.

Wynoś się, do cholery, z mojego domu i nawet się do mnie nie zbli aj!

– Nigdy cię nie obchodziłam. Nigdy nie liczyłeś się z moimi uczuciami.

– Masz absolutnie rację. – Podskoczył do niej, kiedy wyciągnęła rękę po jego cenny puchar, trofeum za mecz koszykówki.

– Nienawidzę cię! – wrzasnęła. – Wolałabym, ebyś nie ył!

– No to wyobra aj sobie, e nie yję. A ja odpłacę ci pięknym za nadobne – wypchnął ją na dwór, zamknął drzwi i oparł się o nie od środka.

San Quentin na pierwszy rzut oka przypominało Noahowi starą twierdzę, w której utworzono pensjonat połączony z muzeum. Coś w rodzaju Disneylandu dla zbirów. Piaskowe gmaszysko z wie ami i wie yczkami wznosiło się nad zatoką San Francisco w lekko egzotycznej aurze.

Postanowił dotrzeć promem z San Francisco do okręgu Marin. Stał teraz przy burcie, patrząc, jak prują po targanych wiatrem falach. W ciągu niespełna kilku godzin załatwił sobie pozwolenie na wizytę. eby odświe yć sobie pamięć, przeczytał

wszystkie akta ze swojego archiwum dotyczące zabójstwa MacBride. Człowieka, z którym za chwilę miał się spotkać, znał

jak mało kto.

A w ka dym razie wiedział, kim ten człowiek był niegdyś.

Utalentowanym aktorem z imponującą liczbą filmów na koncie jeszcze przed poznaniem Julie MacBride, która zagrała z nim 92

w Letniej burzy. Miał te na swoim koncie nie mniej imponującą liczbę kobiet, przede wszystkim powa ny związek z Lydią Loring, rozchwytywaną w latach siedemdziesiątych. Cieszył się sławą, majątkiem, kobietami. Pierwsze dwa atuty nie opuszczały go i po ślubie. Ale od czasu Julie nie miał ju adnej innej kobiety.

Albo,

co

wydawało

się

Noahowi

bardziej

prawdopodobne, facet był nadzwyczaj dyskretny.

Ludzie z branży uważali go za człowieka trudnego, ale kiedy dwa jego kolejne filmy nie zyskały uznania publiczności, zaczął

mówić

o „wybuchowym

temperamencie”

i „zawysonych oczekiwaniach”.

W 1975 roku Sam Tanner był najbardziej kasowym aktorem w całej Ameryce. A w roku 1980 trafił do San Quentin. Odbył

daleką drogę w bardzo krótkim czasie.

Co może czuć człowiek, któremu przeleciały przez palce olśniewające bogactwo i sława, środowisko najpiękniejszych kobiet świata, aplauz wielbicieli? Wystarczy do tego dodać arogancję i egotyzm zaprawione kokainą, a tak e zazdrością o rywala kinowego, Lucasa Manninga, i tragedia gotowa.

Prom przybił do brzegu. Noah podjechał samochodem pod gmach więzienia, zaparkował. Na wartowni przy wejściu dla odwiedzających wylegitymował się i wypełnił stosowne formularze, a następnie wprowadzono go do ponurej klatki, w której stał stół i dwa krzesła. Drzwi były grube, a w oknie wzmocniona szyba.

Tam Noah po raz pierwszy zobaczył to, co zostało z Sama Tannera. Znikł gdzieś ubóstwiany idol ekranu o uśmiechu, który 93

podbił niemal cały świat. Stał przed nim twardziel – może na to było wyczytać zarówno z twarzy, jak i sylwetki. Usiadł, z jedną ręką przykutą kajdankami, w worowatym, pomarańczowym drelichu więziennym. Włosy miał krótko ostrzycone, już szpakowate. Z powodu bruzd na twarzy wyglądał znacznie starsze niż na swoje pięćdziesiąt osiem lat.

– Cieszę się, że pan przyjechał, panie Brady.

Noah usiadł. Drzwi się zamknęły, trzasnęła zasuwka.

– Skąd pan zdobył mój domowy adres, panie Tanner?

– Ma się jeszcze te znajomości. Jak tam pański ojciec?

– Dziękuję, dobrze. Nie mogę powiedzieć, że przekazuje panu pozdrowienia.

Sam uśmiechnął się słabo.

– No tak, Frank Brady, prawy gliniarz. Czasem widuję jego i Jamie. Ma pan mo e szlugi?

Noah uniósł brew. Na ogół radził sobie z więzienną gwarą.

– Przykro mi. Nie palę.

– Cholerna Kalifornia – wolną ręką Sam sięgnął za pazuchę, oderwał delikatnie taśmę, którą przylepił sobie papierosa i zapalną do piersi. – Wprowadzili ustawę zakazującą palenia w zakładach karnych. Komu strzelił do głowy taki pomysł? –

Zapalił. – Dawniej miałem ich do woli. A teraz w najlepszym razie dostaję karton na miesiąc.

– Okropnie traktują ostatnio morderców.

W chłodnych niebieskich oczach ledwie mignął błysk. Sam wydmuchał cuchnący dym.

– Wie pan, miałem sporo czasu, eby to przemyśleć. Du o 94

te czytam dla zabicia czasu. Dawniej czytałem powieści, wybierałem bohatera i wyobra ałem sobie, e gram tę rolę po wyjściu. Uwielbiałem grać. Musiało upłynąć du o czasu, zanim pojąłem, e ten rozdział ycia mam ju za sobą.

– Tak? A jaką rolę gra pan tutaj, panie Tanner?

Sam nachylił się gwałtownie do przodu, a jego oczy po raz pierwszy zapalały namiętnością i yciem.

– To wszystko, co mam. Czy pan uwa a, e jak gość tu przychodzi i gada, to rozumie od razu ycie w więzieniu? Pan mo e sobie wstać i wyjść, kiedy się panu ywnie podoba. Nigdy pan nie zrozumie.

– Niewiele powstrzymuje mnie przed tym, eby wstać i wyjść – odciął się Noah. – Czego pan chce?

– Chciałbym panu wszystko opowiedzieć, wszystko przelać na papier. Opowiedzieć prawdziwą wersję wydarzeń. Dlaczego dwoje ludzi, którzy mieli wszystko, wszystko utraciło.

– I pan mi to opowie?

– Tak – Sam odchylił się w krzesło, pociągając ostatni dymek.

– Z najdrobniejszymi szczegółami. A pan ju wytropi resztę.

– Ale dlaczego? Dlaczego ja? Dlaczego teraz?

– Bo spodobała mi się pańska ksią ka. A ironiczne powiązanie z pańskim ojcem przyjąłem niemal jak znak. Ale wierzę w przeznaczenie, wierzę te ,

e na wszystko jest

odpowiednia pora.

– Chce pan widzieć we mnie narzędzie przeznaczenia?

Proszę bardzo. Ale pora?

– Jestem bliski śmierci – Sam zdeptał papierosa na podłodze. Noah omiół twarz Sama spojrzeniem.

– Tak na oko nic panu nie dolega.

– Mam guza mózgu – postukał się palcem w głowę. – Nie da się operować. Lekarze dają mi najwyżej rok życia, czyli przy odrobinie szczęścia umrę na wolności, a nie tutaj. Mój adwokat już czyni starania. Wygląda na to, że system zadowolony jest odsiedzianym już przez mnie wyrokiem dwudziestu lat, skoro i tak jestem chodzącym trupem – wyraźnie go to rozbawiło, bo się roześmiał.

– No, więc jeśli to pana ciekawi, musi się pan pośpieszyć.

Noah postukał palcem w blat stołu.

– Zastanowię się – i wstał.

– Brady – odezwał się Sam, kiedy Noah ruszył do drzwi. –

Nawet nie zapytał pan, czy zabiłem onę.

Noah starł się z nim spojrzeniem.

– A niby czemu miałbym pytać?

Noah siedział w gabinecie George'a Ditermana, dyrektora więzienia. Diterman, z rzadną tonsurą na czubku głowy, w okularach w czarnych oprawkach, wyglądał zupełnie jak księgowy średniego szczebla w niedużej firmie, a nie dyrektor jednego z najważniejszych więzień w kraju.

Przywitał

Noaha

dziarskim

podaniem

ręki

i nadspodziewanie ujmującym uśmiechem.

– Podobała mi się pańska pierwsza książka – odezwał się, siadając za biurkiem. – A teraz podoba mi się druga.

– Dziękuję.

– Rozumiem, e zbiera pan materiały do następnej?

– Właśnie odbyłem rozmowę z Samem Tannerem.

– Tak, wiem. Tanner pozwolił mi udostępnić panu swoje akta i opowiedzieć o nim szczerze. Sądząc ze sprawozdań, na początku miał tu spore kłopoty z przystosowaniem. Wciąż wdawał się w jakieś sprzeczki z innymi więźniami. W roku 1980 osadzony Tanner spędzał większość czasu w szpitalu więziennym, gdzie leczono jego obrażenia.

– Brał udział w bójkach?

– Bez przerwy. Był wyjątkowo agresywnym więźniem.

Przez pierwsze pięć lat niejednokrotnie trafiał do karceru. Był

ponadto uzależniony od kokainy, a miał swoje tajne kanały, którymi nawet tu mu ją dostarczano. Ale w ciągu ostatnich kilku lat

ustatkował

się,

wyraźnie

wyciszył.

Najwyraźniej

satysfakcjonuje go praca w bibliotece.

– Powiedział mi, e ma śmiertelny, nieoperowalny guz mózgu.

– Na początku roku uskarżał się na ostre, nawracające migreny. Twierdził, e widzi podwójnie. Wykryto guz. Po stosownych badaniach lekarze zgodnie orzekli, e niestety został

mu niecały rok życia.

– Gdybym zdecydował się zabrać do tej sprawy, muszę mieć zagwarantowaną pańską współpracę, a nie tylko jego. Będą mi potrzebne nazwiska, daty, fakty. A nawet opinie.

– Postaram się w miarę mojej możliwości panu pomóc. Szczerze mówiąc, sam chętnie poznam tę historię. Bo niegdyś kochałem 97

się bez pamięci w Julie MacBride.

– A kto się nie kochał? – mruknął Noah.

Kiedy ju rozgościł się w pokoju hotelowym z widokiem na zatokę San Francisco, zamówił obiad i zainstalował laptop.

Następnie połączył się z Internetem i zaczął szukać informacji na temat Sama Tannera.

Jak na człowieka, który spędził dwadzieścia lat za kratkami, nie udzieliwszy ani jednego wywiadu, i tak istniała o nim kopalnia informacji: streszczenia filmów, wykaz ról, głosy krytyczne. Napisano całe tomy na temat tej sprawy, w tym nieautoryzowane biografie Sama i Julie, artykuły na temat sprawy sądowej, przeważnie odgrzewane kluchy. W sumie nie znalazł nic frapującego.

Kiedy przyniesiono obiad, Noah w jednej ręce trzymał

burgera, a drugą stukał w klawiaturę, ściągając wszystkie informacje.

Te zdjęcia widział ju wcześniej – zdjęcie niewiarygodnie przystojnego Sama i olśniewającej Julie. Oboje uśmiechali się promiennie, spoglądając wprost do obiektywu. I znów zdjęcie Sama, kiedy wyprowadzano go z sądu podczas procesu.

Wyglądał jakby był oszołomiony, schorowany.

W tym zdystansowanym, chłodno kalkulującym więźniu kryli się obaj ci męczyźni. Ciekawe, ilu ich tam jeszcze znajdzie? Ta perspektywa bardzo go pociągała. Kto się kryje za tymi oczami? Co takiego może opętać człowieka, aby

zamordował kobietę, którą niby kochał, i zniszczył wszystko, co 98

podobno liczyło się dla niego najbardziej?

Noah zaczął teraz szukać w sieci wiadomości na temat Julie MacBride, ale coś go podkusiło, aby przełączyć na ośrodek River's End. Na ich stronie internetowej znalazł piękne artystyczne zdjęcie pensjonatu i kempingu, dwa zdjęcia wnętrza.

Dołączono do nich zwięzłą, lecz barwną notkę o historii i pięknie tamtejszego rezerwatu narodowego.

Kolejne kliknięcie odsłoniło przed nim miejscowe rozrywki

– łowienie ryb, pływanie kanu, piesze wędrówki, centrum przyrodnicze. Zatrzymał obraz. Czyli udało jej się. Stworzyła wymarzony ośrodek. Brawo, Liv.

Cofnął się do początku strony. Właścicielami byli Robert i Valerie MacBride. Nigdzie nie znalazł nazwiska Olivii.

Wciąż tam mieszkasz, Liv? – zastanowił się w duchu. Na pewno... w środku puszczy, wśród rzek. A myślisz czasem o mnie?

Tak go ta myśl zbiła z tropu, więc wstał od biurka i włączył

telewizor, ot, żeby rozproszyć własne rozważania. I aż roześmiał

się na głos, bo ekran wypełniła młoda, urzekająca, nowocześniejsza, Julie MacBride. Kiedy zbiegała z długich schodów wprost w ramiona Sama Tannera, w jej niesłychanych bursztynowych oczach lśniła miłość.

Letnia burza, zadumał się Noah. Ostatnia scena. Bez dialogu. Muzyka narasta... Patrzył, słuchał kaskady skrzypiec wibrujących podczas uścisku tej pary, kiedy Sam porwał Julie w ramiona i krążył, krążył na cześć odnalezionej miłości.

Przypadek czy przeznaczenie? – pomyślał Noah.

Ten sam strażnik zaprowadził Noaha do tego samego pokoju widzeń. Tym razem Brady przyniósł ze sobą notatnik i magnetofon. Położył je na stole. Sam rzucił okiem i nie skomentował, chociaż Noah dojrzał w jego oku błysk satysfakcji. A może ulgi... Noah usiadł, włączył magnetofon.

–

No,

to

wróćmy

do

roku

tysiąc

dziewięćset

siedemdziesiątego trzeciego.

– Gorączka miała premierę w maju i okazała się największym przebojem kasowym tamtego lata. Dostałem za nią nominację do Oscara. Nieoficjalnie mieszkalem wtedy z Lydią, z którą łączył mnie wspaniały seks i horrendalne awantury.

Marycha poszła w odstawkę. Nastąpiła koka. Zawsze gdzieś było przyjęcie. I wtedy poznałem Julie MacBride – przerwał. –

Wszystko, co się zdarzyło przedtem, zbladło.

– W tym samym roku wzięliście ślub.

– adne z nas nie grzeszyło rozważą ani cierpliwością –

powędrował wzrokiem gdzieś w przestrzeń. – Bardzo szybko zorientowaliśmy się, że pragniemy siebie nawzajem. Przez jakiś czas nam to wystarczało.

– Opowiedz o tym – poprosił zwyczajnie Noah i czekał, a Sam wyjmie przemyconego papierosa i zapali.

– Poznaliśmy się w gabinecie Hanki Midlera. Weszła w dżinsach i granatowym swetrze. Włosy miała ściągnięte do tyłu. Była najpiękniejszą istotą, jaką widziałem w życiu – wbił

wzrok w oczy Noaha. – Nie przesadzam. Znałem ju wtedy sporo kobiet. Wystarczył mi jeden rzut oka i uznałem, e ta 100

będzie w moim yciu pierwsza. Chyba te od razu wiedziałem, e będzie zarazem ostatnia. Pewnie tego nie zrozumiesz.

– Jak najbardziej rozumiem – Noahowi stanęła w oczach scena, w której córka tego człowieka otworzyła drzwi swojego mieszkania i spojrzała na niego spłoszona.

– Później powiedziała mi, e czuła dokładnie to samo.

Rozmawialiśmy

o scenariuszu,

zachowywaliśmy

się

profesjonalnie, a w środku ka de z nas prze ywało katusze.

Potem zaprosiłem ją na kolację. Po powrocie do domu oznajmiłem Lydii, e między nami koniec. Powiedziałem to łagodnie, bez zbędnej brutalności. Po prostu ta kobieta przestała dla mnie istnieć. Myślałem tylko o tym, e o siódmej zobaczę się znów z Julie.

– Czy Julie z kimś się wtedy spotykała?

– Owszem, z Michaelem Fordem. Prasa rozdmuchała całą sprawę, ale to nie było nic powa nego. Dwa tygodnie po pierwszym spotkaniu zamieszkaliśmy razem.

– Czy nie przeszkadzało ci,

e łączono wtedy Julie

z wieloma mę czyznami? Ford był tylko jednym z nich.

– W ogóle o tym wówczas nie myślałem – Sam wyjął z ust niedopalek, zgniótł go z ledwie hamowaną wściekłością. –

A potem, kiedy sytuacja wymknęła się spod kontroli, myślałem tylko o tym. I do kogo się zwróciła, kiedy mnie odepchnęła? Do Lucasa Manninga. Wiedziałem, e coś ich łączyło.

– A więc zabiłeś, eby ją przy sobie zatrzymać. Oczy Sama zmętniały.

– Tak głosi jedna teoria.

Noah uśmiechnął się pobła liwie.

– O teoriach porozmawiamy kiedy indziej. Jak się z nią pracowało?

Sam wolną ręką poskrobał się po twarzy.

– Była dobra. Niezawodna. Miała wrodzony talent. Nie musiała harować tak ciężko jak ja. Po prostu kierowała się intuicją.

– Przeszkadzało ci to, czy była lepsza od ciebie?

– Nie powiedziałem, czy była lepsza ode mnie – posłał mu chłopszczące spojrzenie.

– Julie otrzymała Nagrodę Nowojorskich Krytyków Filmowych za rolę Sary w Letniej burzy. Ty miałeś nominację, ale nagrody nie otrzymałeś. Nie spowodowało to między wami niesnasek?

– Bardzo się cieszyłem jej nagrodą. Była jej bardziej potrzebna niż mnie. Byliśmy wówczas niecały rok po ślubie.

Kochaliśmy się, byliśmy szczęśliwi, płynęliśmy na fali.

– A rok później, kiedy ją nominowano do Oscara za rolę najlepszej aktorki w filmie O świcie, twój film

miał

kontrowersyjne recenzje. Jak to wpłynęło na wasz związek?

– Julie była w ciąży. Skupiliśmy się wyłącznie na tym. Julie bardziej zależało,

aby urodzić zdrowe dziecko, anieli

otrzymać statuetkę.

– A tobie? Na czym tobie zależało? Sam uśmiechnął się blado.

– Na wszystkim. I przez jakiś czas na niczym mi nie zbywało.

Noah wrócił do Los Angeles, gdzie umówił się z Jamie Melbourne w jej okazałym domu. Wiedział, że agencja

reklamowa Jamie, jedna z najbardziej prestiżowych w branży rozrywkowej, ma swoje filie w Los Angeles oraz w Nowym Jorku i że reprezentuje największe gwiazdy. Wiedział również, że do czasu śmierci swojej siostry Jamie reprezentowała tylko Julie i że pracowała przede wszystkim w domu.

Minął bramę ekstrawaganckiej rezydencji w Holmby Hills.

Główny budynek miał trzy kondygnacje, pysznił się bielą tortu weselnego, a z jego frontonu spływał długi ganek. Po obu stronach

ciągnęły

się

pokoje

przeszklone

szerokimi

połyskliwymi taflami z widokiem na kwitnące ogrody. Przez trawnik skoczyły dwa złociste psy myśliwskie, aby go

przywitać.

– Cześć, pieski – otworzył drzwi samochodu i wyciągnął

ręce, aby podrapać je rozkosznie za uszami, kiedy podeszła Jamie.

– Wabią się Łaska i Nadzieja – powiedziała, trzymając w wysłuchaną piłkę tenisową w ręce. Oba psy jak na komendę usiadły, wybałuszając rozbiegane ślepia. Rzuciła im piłkę.

– Niezły zamach – pochwalił Noah.

– Staram się trzymać formę – odwróciła się. – Przejdźmy się. Miała pięćdziesiąt dwa lata, ale wyglądała najwyżej na czterdzieści. Patrzyła na niego ciemnymi, inteligentnymi oczami, z kamiennym spokojem. Była jasną szatynką, z dobrze przyciętą fryzurą, uwydatniającą jej rysy.

- Jak się czuje pański ojciec? – spytała po chwili.
- Dziękuję, dobrze. W zeszłym roku przeszedł na emeryturę. Jamie znów się przelotnie uśmiechnęła.
- Nie brakuje mu pracy?
- Chyba brakowało, dopóki nie zaangażował się w miejscowy ośrodek dla młodzieży. Uwielbia pracować z młodymi ludźmi.
- No tak, Frank ma świetny kontakt z dziećmi. Bardzo go podziwiam. To ze względu na niego zgodziłam się dziś pana przyjąć.
- Doceniam to, że zechciała mi pani poświęcić trochę czasu, pani Melbourne.

Nie westchnęła głośno, ale zobaczyła, że drgnęły jej ramiona.

- Mów mi Jamie. Twój ojciec pomógł mi przeżyć olbrzymią stratę, dopilnował, żeby sprawiedliwości stało się zadość. To wyjątkowy człowiek.

Noah pokiwał głową.

- Te tak sądzę.

Obchodzili wielki basen w kształcie wachlarza. W oddali widać było trawiaste korty tenisowe.

- Nie pochwalam twojej pracy – wypaliła nagle Jamie. –

Twój ojciec poświęcił

życie

na osadzanie zabójców

w więzieniach. A ty poświęcasz się gloryfikowaniu tego, co zrobili.

- Czytałaś moje książki?

- Nie.

- Gdybyś czytała, to wiedziałabyś, że wcale nie gloryfikuję 104

tych ludzi. Opisywanie obna i podszewkę różnych rzeczy –

sprostował Noah. – Ludzi, ich czynów, pobudek, powodów. Jak i kiedy, to jeszcze nie wszystko. Nie chcesz się dowiedzieć, Jamie, dlaczego twoja siostra zginęła?

– Ja to wiem. Zginęła, bo Sam Tanner, opętany zazdrością i nienawiścią, nie chciał, eby była.

– Przecie kochali się tak bardzo, e pobrali się i spłodzili dziecko. Tak bardzo, e nawet kiedy przechodzili najwyraźniej powa ny kryzys mał ęński, to ona otworzyła mu drzwi.

– I w tym ostatnim akcie miłości ją zabił.

– Mo esz mi opowiedzieć o niej tak, jak nikt inny. O tym, co czuła, co obróciło jej ycie w koszmar. – A jej prawo do prywatności?

– Przecie i tak jej nigdy nie miała – przypomniał delikatnie Noah. – Przyrzekam pisać tylko prawdę.

– Prawda ma niejedno oblicze – Jamie spojrziała na swojego rozmówcę znu onym wzrokiem. – Dlaczego on chce z tobą rozmawiać po tylu latach?

– Bo umiera – odparł zwięźle Noah i patrzył na jej twarz.

Coś przez nią przemknęło, zapłonęło w oczach i zgasło.

– To dobrze. Ile mu jeszcze zostało?

– W styczniu odkryto raka mózgu. Lekarze dają mu rok.

– Czyli chce jeszcze prze yć chwilę chwały w słońcu, zanim pójdzie do piekła.

– Mo e – odparł pojednawczo Noah. – Ale tę ksią kę piszę ja, a nie on.

– Napiszesz ją i z moją współpracą, i bez niej.

– Ale przy twojej pomocy napiszę lepszą.

Uwierzyła mu. Miał takie same przejrzyste, opanowane oczy jak jego ojciec.

– Mo e i tak. Po twoim telefonie poradziłam się mę a.

Zaskoczył mnie. Twierdzi, e powinniśmy z tobą rozmawiać.

eby nie pozostawić plugawych świadectw Sama bez odpowiedzi. No, więc chyba zgodzę się na tę rozmowę.

Rozdział szósty

Sam Tanner i ja ostro piliśmy, ostro graliśmy, ostro pracowaliśmy.

Strasznie

się

kłóciliśmy.

I łączył

nas

niesamowity seks – Lydia Loring popijała wodę mineralną z sokiem

limonowym

z wysokiej,

smukłej

kryształowej

szklanki. Roześmiała się. Jej oczy w kolorze zniewalającego błękitu flirtowały z taką wprawą, a Noah musiał się uśmiechnąć.

– A narkotyki?

– Ju rzuciłam – odparła. – Moje ciało jest teraz świątynią, i to cholernie niezłą. Zało yła zalotnie nogę na nogę, a naprawdę były imponujące.

– Nie przeczę – mruknął Noah, a zamruczała z zadowolenia. – Ale kiedyś za ywaliście narkotyki.

– Wiedz, kotku, e w tamtych czasach były pod ręką tak jak łakocie. adne przyjęcie nie obyło się bez koki. Ale kiedy Sam zakochał się w Julie, poło yła im kres.

– A co pani do niej czuła?

– Nienawidziłam jej – Lydia powiedziała to wesoło, bez cienia skrępowań. – Nie tylko dostała to, czego chciała, ale wyglądała świeżo jak niewinna panienka, a ja jak przechodzona była kochanka. Czulałam satysfakcję, kiedy ich małżeństwo trafiło na rafy, kiedy Sam znów zaczął się szlajać po klubach i przyjęciach – spojrzała jakby w głąb siebie. – Na jakimś przyjęciu oświadczył,

e jego

ona sypia z Lucasem

Manningiem. Twierdził, że ukróci ich romans i że ona jej zapłaci za niewierność – Lydia westchnęła. – Dwa dni później nie była. Zapłaciła.

– Czy kiedykolwiek panią uderzył?

– O tak – znów figlarność zaigrała w jej oczach. –

Wymierzaliśmy sobie razy nawzajem. To należało do naszego rytuału erotycznego. Oboje to lubiliśmy.

– Do tego lata, w którym Julie zginęła, nie było jednak żadnych wzmianek na temat przemocy bądź nadużycia siły w ich małżeństwie. Co pani o tym sądzi?

– Chyba udało jej się go na jakiś czas zmienić. Albo sam się zmienił. Naprawdę chciał być dla niej idealnym partnerem. Ale był tylko słabym człowiekiem, który chciał być silny. Był

dobrym aktorem, który chciał być wielki. Może jednak był

skazany na nieuchronną porażkę.

– I jeszcze jedno. Czy Julie naprawdę miała romans z Lucasem Manningiem?

– Nie mam pojęcia. Wtedy istniały dwa obozy.

– Jakie dwa obozy? – zapytał.

– Jedni wierzyli w ich romans, drudzy nie.

– A do którego obozu należała pani?

– Oczywiście do pierwszego. Ale później, po latach, kiedy Lucas i ja odbyliśmy obowiązkowy romans... – uniosła brwi, kiedy Noahowi zwęziły się oczy. – Rozumiem, nie dokopałeś się do tego. No więc tak, Lucas i ja spędziliśmy kilka miłych miesięcy razem. Ale nigdy mi nie powiedział, czy z nią spał.

Sam natomiast w to wierzył, czyli prawda nie ma tu większego znaczenia.

Owszem, ma, pomyślał Noah. Ka dy drobiazg ma znaczenie.

Noah wrócił do domu, zaparkował samochód i szedł chodnikiem, bawiąc się kluczykami. Drzwi zastał uchylone.

Otworzył szerzej.

I stanął jak wryty na widok spustoszenia w środku. Zupełnie jakby sfora oszalałych demonów odtańczyła taniec dzikich na wszystkich sprzętach, podarła wszystkie tkaniny na strzępy, rozbiła wszystkie szklane przedmioty. Skoczył dalej i poczuł

pewną ulgę na widok nietkniętego sprzętu stereo.

Czyli to nie włamanie, pomyślał, słysząc, jak krew uderza mu do głowy, kiedy przedzierał się przez to pobojowisko.

Wszędzie poniewierały się stosy papierów, pod nogami chrzęściło szkło. W łazience leżał rozszarpany materac.

Szuflady wybebeszone, rozbite o ścianę. Kiedy znalazł swoje ulubione dżinsy pocięte na kawałki, dostał furii.

– Oszalała. Zupełnie jej odbiło! – po chwili miejsce gniewu zajęła zgroza. – Nie, tylko nie to – syknął pod nosem i pomknął

do swojego gabinetu.

Puchar za mistrzostwa koszykówki był wbity w monitor komputera. A do jego podstawy przyklejona karteczka z wiadomością: „Nie przestanę, dopóki ty nie przestaniesz”.

Ogarnęła go niespotykana wściekłość. Rozejrzył się za telefonem, ale okazało się, e słuchawka jest roztrzaskana. –

W porządku, Caryn, chciałaś wojny, to masz wojnę. – Wybiegł

do salonu po teczkę, którą tam zostawił, i sięgnął po swój telefon komórkowy.

Jedno męczące zeznanie goniło drugie. Najpierw musiał

wszystko opowiedzieć ojcu, następnie policji. Później zadzwonił

do towarzystwa ubezpieczeniowego, a ju po wszystkim zamknął się w domu na cztery spusty i zastanowił, od czego by tu zacząć.

Zamówił pizzę, wyjął piwo z lodówki i oszacował spokojnie salon. Zastanawiał się, czy nie byłoby najlepiej wynająć brygadę z łopatami, eby uprzątnęła to wszystko, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

– Ej, Noah, ju nawet nie oddzwoniasz do ludzi? Byłem...

O rany, ale balanga. Dlaczegoś mnie nie zaprosił? – Noah przyjaźnił się z Mikiem Elmo od podstawówki.

– To było przyjęcie-niespodzianka.

– Najwyraźniej. Ktoś cię załatwił?

– Caryn troszkę się zdenerwowała, e ją rzuciłem.

– O raju. I tak sobie pohulała? Musi być zdrowo szurnięta –

Mike pokręcił głową. Z jego orzechowych oczu wyzierał

smutek. – Mówiłem ci.

Noah się achnął.

– Mówiłeś, e to kobieta twoich marzeń.

– No więc troszkę jej odbiło. Co zamierzasz zrobić?

– Zjeść pizzę i zabrać się do sprzątanania.

– A jaką pizzę?

– Pepperoni z pieczarkami.

– No, to chętnie ci pomogę – Mike zwałił się opasłym cielskiem na podartą poduchę. – Cholera, tu wszystko wylazło.

Noah jęknął.

– Rozwaliła mi puchar.

– Chyba nie ten za mistrzostwa w osiemdziesiątym szóstym?

– Właśnie ten. Wbiła go w ekran monitora.

– Ta rąbnięta, wredna zdzira rozwaliła ci komputer? – Mike wstał, eby przedrzeć się przez zagracony salon do gabinetu Noaha.

Komputery były niekłamaną miłością Mike’a. Kobiety przychodziły i odchodziły... najczęściej zresztą odchodziły, a dobry sprzęt elektroniczny stanowił element stały w jego yciu. A jęknął na widok zniszczenia.

– Rozwaliła. Trzeba by tej suce łeb ukreć.

– Wezwałem gliny. Sądysz, e dałbyś radę odzyskać cokolwiek z twardego dysku? Rozchrzaniła mi wszyscyutkie dyskietki.

Mike pokręcił smętnie głową.

– Zobaczą, co się da zrobić, stary, ale nie obiecuj sobie 110

wiele.

Noah musiał przede wszystkim zainwestować teraz w nowy komputer. Z pomocą Mike’a kupił sprzęt, z powodu którego przyjaciel

a

zzieloniał

z zazdrości.

Urządził

dom

sprowadzanymi z zagranicy meblami, a zamawiał wprost z katalogu. Po dwóch tygodniach mógł już chodzić po domu, nie klnąc pod nosem. No, i udało mu się odnaleźć Lucasa Manninga.

Spotkał się z nim w jego biurze w wytwórni Century City.

Zawsze odczuwał pewne rozczarowanie,

e aktorzy mają

wielkie pluszowe gabinety. Zupełnie jakby byli dyrektorami firm.

Manning przywitał Noaha uśmiechem i wskazał mu fotel.

Z biegiem lat jego włosy koloru złotych dukatów przybrały odcień wypolerowanej cyny.

– Dziękuję, e zechciał mi pan poświęcić trochę czasu.

– Julie była niespotykaną kobietą, panie Brady, tote mimo upływu czasu nie jest mi łatwo mówić o tym, co się z nią stało.

Noah wyjął magnetofon.

– Pracowali państwo razem.

– To był jeden z najszcześniejszych okresów w moim życiu.

Miała wrodzony talent, była czarującą kobietą i dobrą przyjaciółką.

– Wiele osób twierdziło, i nadal twierdzi, e łączyło

państwa coś więcej ni przyjaźń.

– Mo e i tak – Manning usiadł wygodniej w fotelu. – Gdyby 111

nie kochała tak swojego męża. Bo coś nas do siebie ciągnęło.

– Sam Tanner uważał, e pan to wykorzystał.

– Sam Tanner nie doceniał tego, co miał – głos Manninga a stę ał. – Był zazdrosny, zaborczy, zaczął uciekać się do przemocy.

– Czy Julie się panu zwierzała? – spytał Noah.

– Poniekąd. Wiedziałem, e coś ją trapi. Najpierw go usprawiedliwiała. Ale potem zwierzyła mi się, e wniosła o rozwód, eby zmusić go do szukania pomocy.

– Dlaczego wcześniej nikomu pan o tym nie powiedział? Od śmierci Julie odmawia pan mówienia o niej w wywiadach.

– Zło yłem w sądzie zeznanie pod przysięgą. Ale dziennikarze i publiczność nigdy nie mają dosyć. Skandal, zdrada podniecają ich nie mniej ni morderstwo. Nie chciałem takimi wspomnieniami kalać jej pamięci.

Mo e, zastanowił się Noah. A mo e cała ta tajemnica, brachu, dała tylko kopa twojej karierze.

– A teraz?

– Teraz pan pisze ksią kę. Podobno ma w niej być zawarte ostatnie słowo. No więc odpowiem na pytanie, na które nie odpowiadałem przez dwadzieścia lat. Julie i ja nigdy nie byliśmy kochankami. Szczerze mówiąc, bardzo bym sobie tego yczył. Dzień, w którym dowiedziałem się, co się z nią stało, był

najgorszym dniem w moim yciu.

– A w jaki sposób się pan dowiedział?

– Zadzwonił do mnie David Melbourne. Rodzina Julie chciała jak najbardziej odgrodzić się od prasy, a David wiedział, 112

e gdy tylko dziennikarze zwietrzą sensację, zaczną się do mnie dobijać o komentarz.

– Czy pan ją kochał, panie Manning?

– Do szaleństwa.

Manning poświęcił mu bite dwie godziny. Noah nagrał

kilometry taśmy, zapisał mnóstwo stron. Uwa ał, e wywiad Manninga jest po trosze zaplanowany,

e jest wynikiem

chłodnej kalkulacji. Ale zawierał te ziarno prawdy. A prawda zawsze posuwa sprawę naprzód. Postanowił więc uczcić to z Mike'em w barze o wymownej nazwie „Plotki”.

– Ale ona na mnie patrzy – mruknął Mike znad pilsnera.

– Kto taki?

– No, ta blondynka w mini.

Noah wbił wzrok w zamówione do piwa nacho.

– Tu jest sto blondynek w mini. I wszystkie patrzą.

– Jeden, dwa stoliki w lewo. Tylko się teraz nie oglądaj.

– Dobra – Noah wzruszył ramionami. – Za dwa dni znów jadę do San Francisco.

– Po co?

– W związku z moją ksiązką. Pamiętasz?

– A tak, tak. Mówię ci, e ona się na mnie gapi.

– No, to się rusz. Będziesz jadł te nacho?

– Tylko najpierw pogadam z tą blondynką. Bo nie chcę cuchnąć meksykańską kuchnią. No dobra, minęło pięć sekund pełnego kontaktu wzrokowego. Wchodzę.

Kiedy Mike ruszył w stronę dziewczyny, Noah skupił się na piwie. Wtem zobaczył Caryn, która przemierzała parkiet w jego 113

kierunku. Miała na sobie skórzaną sukienkę w niebieskim kolorze.

– Nasłałeś na mnie gliny – oparła się obiema rękami o jego stół. – e te masz czelność napuszczać tatusia, który nasyła na mnie swoich kole ków z gestapo.

– A tobie się zdaje, e mo esz rozwalić mi bezkarnie dom i cały dobytek? Radzę ci, trzymaj się ode mnie z daleka.

– Bo co? Znów wezwiesz tatusia? – Caryn podniosła głos. –

Nie tknęłam adnych twoich skarbów. Nie zni yłabym się do tego, eby wrócić do ciebie po tym, jak mnie tam potraktowałeś.

Gdybym pofatygowała się do twojego domu, to ju prędzej bym go spaliła... ale przedtem upewniłabym się, e jesteś w środku.

– Odbiło ci – odsuwał krzesło od stolika, kiedy wymierzyła mu policzek. W oczach mu pociemniało, zerwał się na równe nogi.

– Jest jakiś problem?

Noah zobaczył przed sobą ochroniarza. Facet miał bary szerokie jak kanion. Zanim Noah zdą ył

otworzyć usta, Caryn oparła się o rozło ystą klatę tamtego.

– Nie dawał mi spokoju. Złapał mnie.

– Ona kłamie! – te słowa padły z ust Mike’a, który podskoczył do Noaha. – To wariatka, w zeszłym tygodniu zdemolowała mu dom.

– Nie wiem, o czym on mówi – łzy potoczyły się wdzięcznie po policzkach Caryn. – On mnie skrzywdził.

– Widziałam, jak było – podeszła do nich brunetka o wesołych oczach. – Ten facet pił sobie spokojnie piwo. Wtedy 114

ta podeszła i zaczęła go wyzywać. A potem spoliczkowała.

Caryn a zatrzęsa się z oburzenia. Zamierzyła się na brunetkę, ale zupełnie chybiła, a wówczas osiłek chwycił ją w pól. Wyprowadzenie kopiającej i rozwrzeszczanej damulki spowodowało nie lada sensację.

– Dzięki – zwrócił się do brunetki Noah. Dziewczyna uśmiechnęła się serdecznie.

– Nie ma za co.

– Przyniosę ci świe e piwo. Usiądź i odprę się – Mike troszczył się o niego jak rodzona matka.

– Masz uroczonego kolegę – dziewczyna podała Noahowi rękę.

– Jestem Dory.

– Noah.

– Wiem ju od Mike’a. Wpadła mu w oko moja kole anka –

machnęła ręką w kierunku stolika, przy którym siedziała tamta blondynka. – A on jej. Mo e się do nas przysiadziesz?

Miała jedwabisty głos i taką samą cerę, a w oczach błysk inteligencji i yczliwy uśmiech. Ale on był zanadto zmęczony, eby zaczynać teraz podboje.

– Dzięki, ale się zmywam. Jestem zobowiązany. Powiedz Mike’owi, e zgłoszę się później.

Nerwy wiły się pod skórą Sama jak oszalałe wę e. Aby nad nimi zapanować, recytował poezję – Sandburga, Yeatsa, Frosta.

Nauczył się tej sztuczki na początku kariery zawodowej, kiedy z erała go straszliwa trema, a potem odnowił tę umiejętność 115

w więzieniu, gdzie większość czasu upływała mu na czekaniu, nerwach i rozpacz.

Kiedy pierwszy raz starał się o przedterminowe zwolnienie, naprawdę wierzył, że go wypuszczą. W system sprawiedliwości w osobach swoich przedstawicieli natychmiast dojrzał człowieka, który zapłacił za wszystko najlepszymi latami swojego życia. Wtedy te się bał, ale pod strachem kryła się zwyczajna nadzieja.

Kiedy jednak zobaczył Jamie i Franka Brady'ego, zrozumiał, że przyszli dopilnować, aby drzwi więzienia pozostały dla niego zamknięte.

Jamie mówiła o Julie, o jej urodzie i talencie, o poświęceniu rodzinie. O tym, jak jeden człowiek zniszczył to wszystko z zazdrości i zawiści. Jak przeraził rodzoną córkę.

Zwracała się ze łzami do ławy przysięgłych, wspominał

Sam. A potem głos zabrał Frank – zapalony gliniarz oddany sprawiedliwości. Opisał scenę zabójstwa, ułożenie ciała w beznamiętnym, formalnym

argumencie policyjnym. Dopiero

kiedy mówił o Olivii, jakieś uczucie zabrzmiało w jego głosie.

Pod brzemieniem wzroku Franka Sam wiedział, że nie zwolnią go przed upływem terminu. Wiedział, że ta sama scena będzie się powtarzała rok w rok. W swoim gniewie uchwycił się więc niczym orędo cytatu z Roberta Frosta: „Lecz ja obietnic mam dotrzymać i wiele mil przejść, zanim zasnę”.

Ju od pięciu lat formułował i odnawiał te obietnice. A teraz syn męczy, który niegdyś zniszczył jego nadzieje, miał mu pomóc je dotrzymać. To się nazywa sprawiedliwość.

Od pierwszej wizyty Noaha minął przeszło miesiąc. Sam zaczął się ju martwić, e więcej nie przyjdzie, e w gruzach legną obietnice, które trzymały go jeszcze przy yciu i zdrowych zmysłach. Ale wrócił, i właśnie teraz wprowadzano go do tej ałosnej klatki.

Rozległ się trzask odsuwanych rygli. Wszedł Noah, zbli ył

się do stołu. Wyjął z teczki magnetofon, notes i ołówki, a kiedy zamknęły się za nim drzwi, rzucił Samowi pod nos paczkę marlboro i zapalki. – Nie wiedziałem, jakie palisz.

Sam się uśmiechnął.

– Wszystkie są śmiertelną trucizną, ale nikt nie yje

wiecznie.

– Większość z nas nie wie, kiedy i jak skończy. Co czuje człowiek, który wie?

– Ta świadomość dodaje siły, a w ka dym razie dodawałaby, gdybym był na wolności.

– ałujesz czegoś?

Sam otworzył paczkę z papierosami.

– ałuję, e po upływie najbliższej godziny nie będę miał tej samej szansy, co ty. ałuję, e nie mogę zjeść dzisiaj średnio wysma onego befsztyka z kieliszkiem dobrego wina, a potem popić mocną czarną kawą. Piłeś kiedyś więzienną kawę?

– Aha. Gorsza ni na policji. Czego jeszcze ałujesz?

– ałuję, e kiedy wreszcie będę mógł zamówić coś z karty, choćby ten befsztyk, to nie zostanie mi zbyt wiele czasu, eby się nim podelektować – wysunął papierosa z paczki, otworzył

kartonik zapalek, zapalił i zaciągnął się głęboko tytoniem 117

z Wirginii. – Potrzebne mi są pieniądze. Po odsiedzeniu dwudziestu lat wychodzę. Mój adwokat ju tego dopilnował. Na wolności po yję mo e z pół roku, ale z tym, co mam, nie byłoby mnie stać nawet na ten befsztyk.

– Ile? – spytał Noah.

– Dwadzieścia tysięcy... po jednym za ka dy spędzony tutaj rok. To nie było zaskakujące ądanie, uznał Noah, ani zbyt wygórowana suma.

– Mój agent sporządził ju umowę. Czy po wyjściu zamierzasz zostać w San Francisco?

– Chyba ju dość długo tkwię w tej okolicy.

– Czyli Los Angeles?

– Nic mnie tam nie ciągnie. Marzą mi się słońce i samotność.

– Rozmawiałem z Jamie Melbourne. Sam wetknął sobie papierosa do ust.

– I?

– Jeszcze z nią będę rozmawiał – dodał Noah.

– Rozmawiałaś ze swoim ojcem?

– Najpierw przygotowuję tło – Noah przekrzywił głowę, świdrując rozmówcę wzrokiem. – Nie będziesz miał nic do powiedzenia w sprawie osób, z którymi będę przeprowadzał

wywiady, ani materiałów wykorzystanych w książce. Musisz podpisać zrzeczenie się tych praw. Przykro mi, Sam, ale to moja książka.

– Beze mnie by nie powstała.

– Owszem, powstałaby. Co najwyżej byłaby inna – Noah

odchylił się w krześle. – Chcesz mieć możliwość wyboru? Oto twój pierwszy wybór. Je eli to podpiszesz, zgarniasz dwadzieścia tysięcy, a ja piszę tę książkę, jak mi się podoba.

Je eli nie, odchodzisz z kwitkiem, a ja te ją piszę, jak mi się podoba.

W tym chłopaku było więcej z jego ojca, niż Sam z początku sądził. Pod maską pla owego przystojniaczka kryła się nieustępliwość.

– I tak nie do yję chwili, kiedy ta książka trafi do druku.

Podpiszę, Brady – oczy mu się zmroziły. – Tylko mnie nie obsmaruj.

Noah zamówił średnio wysmiony befszyk i butelkę Cote d'Or. Jedząc, patrzył na miriady świateł nad zatoką San Francisco i usiłował sobie wyobrazić, jak by się czuł, jedząc go po raz pierwszy od dwudziestu lat. Czyby się nim delektował, czy te po arł go jak wilk zgłodniały po zimie?

Uznał, że Sam będzie się rozkoszował kęs za kęsem, łyk za łykiem. Bo tak dobrze panował teraz nad sobą.

Ile zostało w nim z dawnego buńczucznego konformisty i furiata? I tylko czekało, eby odsłonił swe prawdziwe oblicze?

Lepiej chyba widzieć w Samie dwóch mężczyzn – tego dawnego oraz tego dzisiejszego. Pewnie

zawsze tkwiła w nim dusza ich obu. Mógł więc teraz siedzieć i wyobrazić sobie, jak ten człowiek delectowałby się dzisiaj befsztykiem i kieliszkiem przedniego wina. A przecie niegdyś było go stać na znacznie, ale to znacznie więcej.

Kiedy Noah skończył jeść, wyciągnął laptop, wstał, eby zgasić telewizor, a po drodze przystanął przy telefonie. A tam, do diabła, pomyślał, i wystukał numer do River's End. Zrobił rezerwację na następny tydzień.

Sam Tanner nie wspominał jeszcze o córce. Ciekawe, czy ona będzie chciała mówić o nim.

Pracował do drugiej. Przed pójściem spać miał do załatwienia jeszcze jedną sprawę, i chociaż wiedział, e nie powinien z nią czekać do północy, wystukał numer Mike'a w Los Angeles.

Po pięciu dzwonekach senna chryпка w głosie przyjaciela dała Noahowi pewną satysfakcję.

– Czołem, czy bym cię obudził?

– Co? Noah? Skąd dzwonisz?

– Z San Francisco. Nie pamiętasz?

– Co? Nie... Jak przez mgłę. Jest druga nad ranem.

Noah usłyszał w tle przyciszony głos drugiej osoby, bez wątpienia nale ący do kobiety.

– Moje gratulacje. To tamta blondynka z klubu?

– Aha.

– No dobra, nie ma co teraz się w to wdawać. Nie będzie mnie jeszcze co najmniej tydzień. Zajmij się moimi kwiatkami.

– W porządku. Daj mi numer, pod którym mogę cię... Oj, przestań.

Rozległ się niski śmiech kobiety, a Noah uniósł brew.

– Później ci podam. A jak mi zmarnujesz kwiaty, to 120 dostaniesz kopa w tyłek.

W odpowiedzi usłyszał ostry świst powietrza i szepty.

Postawił oczy w słup, a kiedy odkładał słuchawkę, rozległ się w niej głośny wybuch śmiechu.

Noah był zdziwiony, e wszystko pamięta tak dokładnie, z najdrobniejszymi szczegółami. Jechał tędy ju przedtem, ale miał wtedy zaledwie osiemnaście lat. Czuł się, jakby wracał

z wakacji do domu, jakby budził się ze snu. Chocia zebrał

materiały i przejrzał zdjęcia, w głębi duszy wiedział, że nie przygotuje go na ten dostojny, milczący las, w którym rządzą majestatyczne drzewa.

Przyjechał do ośrodka o trzeciej po południu. Dotarł tam tą samą wyboistą drogą, najpierw zobaczył kamień i drewno, bajkowe dachy, błysk szkła pensjonatu. A potem mniejszy budynek z drewna i kamienia ukryty wśród drzew.

Napis na drewnianej tabliczce nad drzwiami głosił Centrum Ochrony Przyrody River's End. Z pensjonatu prowadziła do niego ścieżka. Wokół rosły niby to bezładnie dzikie kwiaty, ale oko ogrodnika wytropiło ślad ludzkiej ręki. Olivia tak wszystko zmyślnie zaprojektowała, że zdawało się, że natura rządzi tu sama.

Noah zaparkował samochód. Zrzucił plecak na ramię, wyjął walizkę i ruszył do pensjonatu. W recepcji nie zauważył

większych zmian. Obsługa była sprawna i miła. Zapewnił

recepjonistę, że sam sobie poradzi z bagażem.

Miał zamówiony apartament. Stała tam kanapa, solidne

biurko. Na ścianach wisiły naprawdę niezłe akwarele, przedstawiające miejscową florę. Do telefonu udało się podłączyć modem.

Rzucił walizkę w nogach drewnianego łóżka.

W przyległej łazience czekał prysznic. Noah od szóstej rano siedział w samochodzie.

Rozebrał się, pokręcił kurkami. Słuszna decyzja, Brady, pomyślał, kiedy struga gorącej wody zmyła mu głowę. Wypije piwo w barze na dole i rozejrzy się po terenie.

Najchętniej poszedłby zaraz do centrum, odszukał Olivię.

Chyba choć przez chwilę na nią popatrzeć. Ale postanowił

odłożyć to do rana.

Wytarł się, wciągnął dżinsy. Rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Złapał koszulę i podszedł do drzwi.

Poznał ją od razu, chociaż się zmieniła.

Twarz

miała

szczuplejszą.

Usta

bardziej

zacięte.

Z pewnością zorientowałyby się,

ale to nie jest serdeczne

powitanie, gdyby nie przeszedł go idiotyczny, całkiem nieoczekiwany dreszcz radości.

Włosy jej ściemniały, miały teraz odcień karmelu. No, i ścięła je na krótko. Ścięła te wspaniałe
lśniące włosy. Chociaż w tej fryzurze wyglądała może nawet lepiej. Przypominała chochlika.
Aczkolwiek wrażeń temu przeczyła jej wysoka, sprężysta sylwetka.

Głupi uśmiech wykwitł mu na twarzy.

– Cześć.

– Witamy w ośrodku River's End – wręczyła mu kamionkową misę z owocami.

– Dziękuję.

Jednym susem znalazła się w pokoju, a musiał się cofnąć.

– Ale masz tupet, e tak się tu zakradasz.

No dobrze, stwierdził w duchu, nie czeka go serdeczne powitanie.

– Rzeczywiście. Naprawdę nie wiem, po co dzwoniłem zawczasu z rezerwacją, a teraz zameldowałem się w recepcji pod własnym nazwiskiem.

– Kazałam ci się trzymać ode mnie z daleka.

– Przecie cię, do licha, usłuchałem. – Błyskawice w jej oczach kazały mu zmrużyć swoje. – A teraz usiądźmy i omówmy to jak dwoje dorosłych ludzi. Nie musimy tak stać i warczeć na siebie.

– Nie będę z tobą niczego omawiała. Wyjedź stąd i zostaw nas w spokoju.

– Co to, to nie – Noah usiadł. – O wyjeździe nie ma mowy.

Olivio, porozmawiaj ze mną.

– Mam prawo do swojej prywatności.

– Owszem. Dlatego nie mów mi niczego, czego nie chcesz.

Zacznij od tego, co robiłaś przez ostatnie sześć lat.

Sprytny, bezczelny palant, pomyślała Olivia. Była wściekła, e nic się nie zmienił – te same spłowiałe od słońca włosy, te same pełne usta.

– Gdybyś chociaż w połowie był podobny do ojca, to uszanowałbyś pamięć mojej matki.

Ten docinek zabrzmiał mu znajomo.

– Ju raz porównywałaś mnie do ojca – przypomniał jej. –

Nie rób tego ponownie,

– Forsa. Zarobisz krocie na tej książce, co? A potem będziesz mógł biegać po wszystkich programach telewizyjnych i raczyć publiczność swoimi cennymi uwagami, dlaczego mój ojciec zamordował moją matkę.

– A ty nie chcesz wiedzieć, dlaczego? – spytał cicho.

– Wiem. Zresztą to niczego nie zmieni. Jedź stąd, Noah.

Wróć do domu i zajmij się czyjąś inną tragedią.

– Nie, Liv – zawołał za nią, gdy ju zawróciła w stronę drzwi. – Tym razem nie wyjadę.

Nie zatrzymała się, nie obejrzała, ale trzasnęła drzwiami tak, że zadzwoniły obrazy na ścianach.

Jedzenie było pyszne. Noah wróciwszy po dokładkę do lady śniadaniowej, dał w myślach MacBride'om najwyższą ocenę za kuchnię. Łóżko było wygodne, a gdyby miał taką potrzebę, bez trudu wybrałby coś dla siebie z całkiem niezłej listy filmów wypożyczanych do pokoju.

Poświęcił się jednak pracy, a teraz czuł, że powinien dla higieny psychicznej zmitrężyć cały ranek. Sęk w tym – zadumał

się, wyglądając przez okno jadalni na lejący miarowo deszcz –

że pogoda odstawała od reszty oferty.

Ju

miał

za

sobą

wizytę

w siłowni,

znacznie

zmodernizowanej od jego ostatniego tu pobytu. Mógł zatem wziąć masa . Albo zacząć wreszcie zasięgać języka, bo po to tu przyjechał. Czyli odszukać Olivię i znów się z nią pokłócić.

Tubalny męski śmiech kazał mu zwrócić wzrok na 124

mę czynę we flanelowej koszuli i roboczych spodniach, z grzywą siwych włosów. Ów mę czyną krą ył po jadalni, przystając obok gości, którzy podobnie jak Noah siedzieli przy ostatniej kawie.

Rob MacBride, pomyślał Noah, czekając, a starszy pan do niego podejdzie. Nie musiał długo czekać.

– Piękny dzień, nie ma co.

– Zwłaszcza dla kaczek – odparł Noah. W nagrodę dostał

salwę tubalnego śmiechu.

– Deszcz utrzymuje nas przy yciu. Mam nadzieję, e dobrze pan u nas wypoczywa.

– Bardzo. To piękne miejsce. Trochę się tu zmieniło od mojej ostatniej wizyty, ale charakter ośrodka pozostał ten sam –

Noah wyciągnął rękę. – Noah Brady, panie MacBride.

– Witamy ponownie. Najwyraźniej starszy pan go nie poznał.

– Dziękuję. Byłem tu z rodzicami chyba dwanaście lat temu.

Z Frankiem i Celią Brady.

– Zawsze miło nam powitać... – dopiero teraz jakby go oświeciło. Błysk przypomniaenia, chyba te smutku. – Frank Brady to pański ojciec?

– Tak.

– Od dawna o nim nie myślałem – Rob usiadł i spojrział na Noaha. – Pana ojciec dobrze się miewa?

– Dziękuję. Ostatnio przeszedł na emeryturę.

– A pan wstąpił do policji? Śladem ojca?

– Nie, jestem pisarzem.

– Coś takiego – Robowi rozjaśniła się twarz. – Nie ma to jak dobra ksią ka. A co pan pisze?

– Książki kryminalne. Tyle e opisuję prawdziwe zbrodnie

– dostrzegł czujność na twarzy Roba. – Teraz piszę książkę o tym, co się stało z pańską córką. Kilka tygodni temu zwrócił

się do mnie Sam Tanner.

– Tanner. Dlaczego nie zostawi jej w spokoju? I pan sądzi, e on powie panu prawdę? – gorycz trzaskała w głosie Roba niczym pękający lód.

– Nie wiem, ale na pewno nie będzie to wyłącznie jego wersja

wydarzeń.

Rozmawiam

ze

wszystkimi

zainteresowanymi. Dlatego tu jestem, panie MacBride. eby zrozumieć i włączyć państwa punkt widzenia.

Rob potarł w zamyśleniu twarz.

– Chłopcze, czy ty masz pojęcie, ile razy nagabywano nas po śmierci Julie? Z prośbą o udzielenie wywiadów, pomoc w u yczaniu materiałów do książek, filmów, programów telewizyjnych?

– Wyobra am sobie. I wiem,

e państwo wszystkim

odmawiali.

– Wszystkim – potwierdził Rob. – Proponowano nam bająnskie

sumy,

obiecivano,

gro ono.

Odmawialiśmy

wszystkim bez wyjątku. Dlaczego więc uważasz, że miałbym się teraz, po tylu latach, zgodzić?

– Bo ja nie przychodzę z pieniędzmi ani z pogroźkami.

A obiecać mogę tylko jedno: że zadośćuczynię pamięci pana córki.

– Mo e i tak – odezwał się Rob po chwili. – Wierzę, e spróbujesz. Ale Julie nie ma, a ja muszę myśleć o pozostałych członkach rodziny. Ta rana nadal boli – westchnął. – Przyznaję, e poniekąd nie chcę zapomnieć o tym, co się stało.

– I ja nie zapomniałem. Dlatego proszę mi opowiedzieć to, co pan chciałby, eby zapamiętano.

Centrum Ochrony Przyrody było wypieszczonym dzieckiem Olivii. Zaprojektowała je od początku do końca sama.

Nadzorowała ka dy etap budowy, od poło enia kamienia węgielnego a po rozmieszczenie foteli w niewielkiej sali kinowej, w której goście

mogli obejrzeć krótki

film

dokumentalny na temat miejscowej fauny i flory. Nie posiadała się z radości, kiedy otwierała jego podwoje.

Jednak e tego ranka nie miała serca do pracy, kiedy wzięła grupę na prelekcję poświęconą miejscowym ssakom. – Łoś Roosevelta, zwany te łosiem olimpijskim, to największy przedstawiciel podgatunku wapiti. Właśnie jemu zawdzięczamy w lwiej mierze zachowanie tutejszej okolicy, bo po to, by chronić jego tereny godowe i tereny letniego wypasu prezydent Theodore Roosevelt wydał ustawę, dzięki której powstał Park Narodowy Góry Olympus.

Spojrzała w stronę otwierających się drzwi i omal jej nie puściły nerwy.

Noah skinął jej lekko głową, po czym zaczął chodzić po głównej sali. Olivia wzięła sobie za punkt honoru, eby nie przerywać pogadanki, tylko przeszła od łosia Roosevelta do 127

jelenia wielkouchego, potem do kuny, a następnie dała znak komuś z personelu, eby poprowadził wycieczkę dalej.

Najchętniej zamknęłaby się w gabinecie, ale wiedziała, e wyszłaby wtedy na tchórza. Podeszła więc do Noaha, który wpatrywał

się

z niby

to ogromnym

zainteresowaniem

w powiększony slajd.

– Czyli to jest ryjówka.

– Ryjówka aksamitna, dość pospolita na tych terenach.

Z rodziny ryjkowatych mamy tu równie rzęsorki i sorki.

– Ja znam tylko ryjówki miejskie, które ryją pod innymi.

– Kiepski dowcip.

– Mo e, ale od czegoś trzeba zacząć. Odwaliłaś tu kawał

wspaniałej roboty, Liv. Wiedziałem, e dopniesz swego.

– Tak? A ja nie sądziłam, e w ogóle zwracasz uwagę na moje włóczęgi po okolicy.

– Zwracałem uwagę na wszystko, co miało związek z tobą.

Zamilkła.

– Nie wracam do tamtych czasów. Ani teraz, ani nigdy.

– W porządku. No więc zostanmy przy terażniejszości.

Oprowadzisz mnie?

– Guzik obchodzi cię ochrona przyrody, po co zatem mamy sobie marnować nawzajem cenny czas?

– Wybacz, ale mówisz do człowieka wychowanego na pieśniach wielorybów i cię kim losie pelikanów.

Olivia chciała się nawet uśmiechnąć, lecz tylko westchnęła.

– Jestem zajęta.

– Wcale nie jesteś. Mo esz się wyrwać na kilka minut.

– Nie mam zamiaru omawiać z tobą spraw rodzinnych.

– Dobrze, w takim razie porozmawiajmy o czym innym. Co tu jest? – Noah wszedł przez szerokie drzwi. – Ale ekstra! – na środku sali stał model doliny Quinalt. – Z lotu ptaka –

powiedział, nachylając się. – A tu wasz ośrodek, twoje centrum

– postukał palcem w ochronną kopułę. – Tym szlakiem szliśmy wtedy wzdłuż rzeki. Ale twoi dziadkowie mają tu przecie dom.

Dlaczego go tu nie ma?

– Bo to ich prywatna własność. Przeszył ją spojrzeniem na wylot.

– A ty kryjesz się pod tą szklaną kopułą, Liv? Z dala od ludzkiego wzroku?

– Jestem dokładnie tym, kim chcę być.

– Moja ksią ka na pewno tego nie zmieni, ale mo e wyjaśnić, co się stało tamtej nocy. Sam Tanner przemówił po raz pierwszy od sprawy sądowej, a człowiek stojący nad grobem często pragnie oczyścić sumienie.

– Nad grobem?

– Ma guza mózgu – Noah patrzył z przera eniem, jak twarz jej blednie, przybierając kolor prześcieradła. – Przepraszam.

Sądziłem, e wiesz.

– Chcesz powiedzieć, e jest umierający?

– Ma raka mózgu. Zostało mu kilka miesięcy ycia. Mo e lepiej usiądź.

Wziął ją za rękę, ale mu się wyrwała.

– Nie dotykaj mnie!

Odwróciła się i wybiegła drugimi drzwiami. Klnąc pod 129

nosem, pobiegł za nią i dogonił ją dopiero na progu jej gabinetu.

– Niezatrudnionym wstęp wzbroniony – ostrzegła go. –

Zabieraj się stąd.

– Siadaj – doprowadził ją do krzesła za biurkiem.

Przykucnął, wziął ją za rękę, choć adne z nich nie zdawało sobie sprawy z tego gestu. – Przepraszam, e zwałem tak na ciebie tę wiadomość, ale sądziłem, e wiesz ju od Jamie.

– Nie – Olivia spojrzała w dół na jego palce splecione ze swoimi. Niepomierne speszona, wyszarpnęła rękę. – Wstawaj.

Jeszcze tego brakowało, eby ktoś wszedł i zobaczył cię tu na klęczkach.

– Wcale nie klęczałem – wyprostował się jednak i przysiadł

na skraju biurka. – Sam chce opowiedzieć swoją wersję zdarzeń.

Je eli tego nie robi, sprawa umrze razem z nim. Naprawdę ci na tym zale y?

– Niewa ne, na czym mi zale y. I tak zrobisz swoje –

warknęła. – A on po prostu chce się oczyścić, zanim będzie za późno. Czego on szuka? Zbawienia? Przebaczenia?

– Mo e zrozumienia. Chyba próbuje zrozumieć siebie i swoje pobudki. Chciałbym, ebyś wzięła w tym udział, Liv. Ty tu jesteś koronnym świadkiem. Twój dziadek twierdzi, e masz fotograficzną pamięć.

– Dziadek? – skoczyła na równe nogi. – Zostaw go w spokoju.

– Sam podszedł do mojego stolika po śniadaniu.

Zorientowałem się, e ma taki zwyczaj. Je eli przeszkadza ci, e ze mną rozmawia, to mu to powiedz.

– On ma siedemdziesiąt lat. Nie musisz go w to wciągać.

Cholera, czy ona zawsze musi go tak pogrążyć?

–

Pogadaliśmy

sobie.

Zgodził

się

na

wywiad

z magnetofonem w moim pokoju. A ju po wszystkim zobaczyłem, e mu wyraźnie ulżyło. Nie tylko Sam chce to z siebie wyrzucić.

– Rozmawiał z tobą? Nigdy na ten temat nie rozmawia –

przebiegła nerwowo dłonią po włosach. – Co tu się dzieje? Nie pojmuję, co tu się dzieje.

– Mo e nadeszła pora. Mo e pozwolisz, e opowiem ci coś o swoim szalonym, fascynującym yciu i podzielę się swoimi fascynującymi opiniami? Kiedy poznasz mój wdzięk, będzie ci się łatwiej ze mną rozmawiało.

– Mniej masz tego wdzięku, ni ci się wydaje.

– No to przekonaj się. Zjedzmy razem kolację. Uff, to ju przerabiali.

– Nie.

– No dobrze, w takim razie muszę wynająć cię jako przewodniczkę na szlak.

– Nie ma mowy.

– Jak to? Przecie jestem tu płatnym gościem. Polecisz mi jakiś szlak czy mam wybrać na chybił trafił?

– Chcesz się wybrać na wycieczkę? – O, ju ona mu poka e, pomyślała. – W takim razie zostaw rezerwację w recepcji na jutro na siódmą.

– Na siódmą rano?

– A masz z tym jakiś problem, mieszcuchu?

– Nie. Po prostu uściślam – Noah zsunął się z biurka i znalazł się tak blisko niej, e oboje poczuli się nieswojo. Mimo składanych sobie wcześniej obietnic, spojrzął na jej usta, eby przypomnieć sobie tamtą chwilę. – No, to do zobaczenia rano.

Tu po dziewiątej wieczorem Mike wszedł do domu na pla y. Miał zamiar tam zajrzeć wcześniej, eby podlać kwiaty Noaha, zanim się ściemni, ale jakoś się to odwlekło.

A dokładniej, kolega z pracy wciągnął go w maratonową grę komputerową Mortal Kombat. Ale zwycięstwo było słodkie, pomyślał Mike. I eby jeszcze bardziej osłodzić sobie ycie, zadzwonił do swojej dziewczyny i spytał, czy nie wpadłaby do domu Noaha na miłą kąpiel w jego gorącej wannie.

Wstąpił do kuchni, eby poszukać wina, które nadawałoby się do uwodzenia w wannie. Przejrzał etykiety, wybrał

francuskie. Postawił je na ladzie, po czym otworzył lodówkę, zastanawiając się, czy Noah ma tam coś ciekawego do jedzenia.

Wahał się między serem brie a talerzem pieczonego kurczaka o smętnym wyglądzie, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

Natychmiast się wyprostował, ale w tym samym momencie poczuł straszliwy ból. Podniósł rękę, sądząc, e uderzył się głową o lodówkę. Była cała mokra od krwi. Drugi cios powalił

go na kolana. Stracił przytomność.

Rozdział siódmy

Kiedy o szóstej zadzwonił budzik Noaha, nadal padało.

Chłopak uciszył go klapnięciem, otworzył oczy na szary świat i zastanowił się, czy nie postąpić tak, jak postępuje ka dy normalny człowiek w deszczowy poranek – mianowicie go przespać. Ale kilka godzin słodkiego zapomnienia nie było wartych późniejszych drwin Olivii. Zwlókł się z łó ka, wziął prysznic, jakoś się ubrał.

Trzeba mieć nie po kolei w głowie, eby snuć się po lesie w deszczu. Rozmyślał tak przez całą drogę do holu, gdzie zastał

kilka grup ludzi w pełnym rynsztunku, którzy chętnie częstowali się darmową kawą i pączkami.

O siódmej, wzmocniony kofeiną z cukrem, poczuł się niemal człowiekiem. Porwał ostatniego pączka i wyszedł na dwór.

Stała tam Olivia z du ym ółym psem, a krople deszczu bębniły o jej traperski kapelusz. Przywitała Noaha skinieniem głowy, powiedziała mu, e labradorka wabi się Shirley.

– Gotowy?

Noah przełknął kęs. – Aha.

– Niech ci się przyjrzę – odstąpiła do tyłu. – Kiedy ostatnio wyjąłeś te buty z pudła, mistrzu?

Niecałą godzinę temu, pomyślał.

– Je eli nie szykujesz wyprawy na Matterhorn, to jestem gotów. Mo emy ruszać.

– Akurat, tę yzna z siłowni – dźgnęła go w płaski brzuch. –

Szlak to nie to samo co stepper. A gdzie masz wodę?

Ju zdrowo wkurzony, wyciągnął ręce, zło ył w miseczkę i poczekał, a deszcz zbierze się w garści. Olivia pokręciła głową: – Poczekaj chwilę – obróciła się na pięcie i skoczyła do pensjonatu.

– Czy tylko mnie tak traktuje, czy wobec wszystkich jest taką jędzą? – zwrócił się Noah do Shirley.

Olivia przybiegła z plastikową butelką.

– Zawsze trzeba brać własną wodę. Przypięła mu ją zgrabnie do pasa.

– Dzięki za usługę osobistą.

Uśmiechnęła się lekko, po czym wzięła psa na smycz.

– Idziemy.

Mgła dymiła z ziemi, pełzała wśród drzew, snuła się w liściach paproci. Deszcz barabanił. Kiedy zanurzyli się w lesie, mrok zgęstniał. Noah poczuł się nagle mały, zupełnie bezbronny.

Olivia wyjęła latarkę, poświeciła do góry.

– Górną warstwę tworzą świerk indiański, jodła amerykańska i cedr czerwony. Drzewa i ich bujne epifity przesłaniają słońce, wprowadzając ten charakterystyczny zielony półmrok.

– Co to są epifity?

– Coś w rodzaju paso ytów. Paprocie, mchy, porosty. Tyle e nie wyrządzają specjalnej krzywdy swoim gospodarzom.

Widzisz, jak się zwieszają, tworząc swoisty baldachim w najwy szej warstwie.

Zgasiała latarkę, schowała do kieszeni i ruszyła naprzód, nie przerywając swojego wywodu. Słuchał jednym uchem. Wolał

patrzeć. Mimo deszczu i mgły świat dokoła zasnuwała zielonkawa poświata. Wszystko ociekało i lśniło.

Wtem Olivia zatrzymała się i wskazała gestem, eby

schował się za potężnym pnem świerku. Po chwili usłyszał, co ją zaalarmowało, i poczuł, jak drzewo skulona między nimi suka.

Z zielonkawego mroku wyszło piętnaście olbrzymich łosi z rogami jak korony.

– A gdzie są panie? – szepnął, na co Olivia niemal e spiorunowała go wzrokiem.

Jedenłoś wydał przenikliwy zew, od którego zatrzęsły się drzewa. Na ten znak wszystkie łosie czmychnęły w cień, a zadudniła ziemia.

– Łanie – wyjaśniła Olivia – chodzą stadami z młodymi jelonkami. Bardziej dojrzałe samce, takie jak właśnie widzieliśmy, chodzą mniejszymi stadami a do schyłku lata, kiedy to zaczynają okazywać sobie wrogość, eby stworzyć swój harem.

– Harem? Nieźle brzmi – uśmiechnął się. – Czyli to były słynne łosie Roosevelta? Te, o których mówiłaś wczoraj?

– Tak. O tej porze roku mo na je często spotkać na szlaku.

Szli dalej. Olivia nie poganiała. Noah mógł się do woli rozejrzeć, popytać. Deszcz pryskał przez baldachim nad ich głowami, ale mgła zaczęła się podnosić, rzednąć, rwać na strzępy. Szlak jął się pięć w górę. Światło zmieniało się niepostrzeżenie, a przybrało postać lśniącej zielonej tafli 135

usianej

nikłymi

perełkami

słonecznych

promyków,

przedzierających się przez małe dziury w baldachimie i padających na leśne kwiaty.

– Przypomina mi to nurkowanie na granicy z Meksykiem –

powiedział Noah. – Światło jest tam dziwne, nie tak zielone jak tutaj, a słońce prześwieca pod kątem przez powierzchnię.

Wszystko przybiera miękkie, intrygujące kształty. Nurkowałeś kiedyś z aparatem?

– Nie.

– Spodobałoby ci się.

– Skąd wiesz?

– Bo człowiek odarty ze wszystkiego, wyposa ony tylko w najbardziej niezbędny ekwipunek, wkracza w nie swój świat.

I nigdy nie wie, co za chwilę zobaczy. Dwa lata temu spędziłem dwa niezwykle tygodnie ze swoim przyjacielem Mikiem, nurkując w Cozumel. A czym ty się ostatnio zabawiasz?

– Oprowadzam denerwujących mieszcuchów po lesie.

– Przecie nie zdenerwowałem cię przynajmniej od godziny.

Bo mierzę czas. O rany! Udało się.

– Co takiego? – odwróciła się zaskoczona.

– Uśmiechnęłaś się – poklepał się ręką po sercu. –

Zakochałem się. Pobierzmy się i wychowujmy małe labradorki.

Parsknęła śmiechem.

– Widzisz, znowu mnie zdenerwowałeś.

– Wcale nie. Znowu zaczynasz mnie lubić. I ju nie zdołasz mi się oprzeć, Liv. Jeździsz czasem do Los Angeles?

– Nie – Olivia nie patrzyła mu w oczy.

– A ja sądziłem, e odwiedzasz czasem ciotkę.

– Oni przyje d a ją tutaj przynajmniej dwa razy do roku.

– Wiesz, trudno mi sobie wyobrazić Jamie przedzierającą się przez te ostępy. Ale ponieważ tu się wychowała, pewnie bez trudu wraca w te strony. A jej mą ?

– Wuj David? Na tyle ją kocha, e przyje d a i daje się wyciągać babci na ryby nad jezioro. Bo w gruncie rzeczy nienawidzi wędkarstwa. Kiedyś namówiliśmy go na wypad pod namiot. I właśnie wtedy ciocia Jamie dostała naszyjnik z pereł

i brylantów. W ten sposób przekupił ją, eby ju nigdy nie kazała mu znów spać w lesie. Bez telefonu komórkowego, laptopa i obsługi hotelowej – zerknęła na niego z ukosa. – Na pewno go rozumiesz.

– Coś ty? W ka dej chwili mogę zrezygnować z komórki.

Wcale nie jestem uzależniony – zaczynało mu ju brakować tchu.

– Trochę się zdyszałeś, mistrzu. Chcesz odpocząć?

– To nie ja dyszę, ale Shirley.

Wtem świat się otworzył, ukazując dymiące szczyty i zielone doliny, a niebo przypominało wypolerowaną stal.

Deszcz ustał.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Noah.

– Przeszliśmy na Szlak Trzech Jezior.

Widział teraz, jak rzeka płynie na wskroś lasu i góry, a z wody koloru szarego kamienia wystają gdzieś strzępiaste wysepki skał. Wiatr dmuchnął mu w twarz, po czym pochłonęły go drzewa.

– Jeśli pójdziemy tym szlakiem jeszcze pięć kilometrów –
powiedziała Olivia – trafimy nad jeziora. Albo mo emy zawrócić.

– Pięć kilometrów to tyle co nic.

– No dobra.

Olivia narzucała tempo, jakby szła bulwarem Wilshire.

Starał się jej za to nie znieawidzić. Ale ju po kolejnym kilometrze nogi zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa. Jego przewodniczka nie wspomniała wcześniej, e ostatni odcinek pnie się bardzo stromo w górę. Noah usiłował nie myśleć o swoim udręczonym ciele, tylko napawać się widokiem.

Zastanawiał się te , co Olivia wzięła do jedzenia.

Przefrunął nad nimi jastrząb, rozpościerając swe królewskie skrzydła, i wydał dziki krzyk, który poniósł się niemilknącym echem. Śmignął czarny lśniący kruk, a potem zamajaczyła pierwsza spłacheć śniegu.

– No, mo emy odpocząć – Olivia zrzuciła plecak. – Nie przypuszczałam,

e tu dojdiesz. W ka dym razie bez

biadolenia.

– Kilka razy omal nie pękłem, ale było warto – patrzył na trzy jeziora w oddali, a ka de srebrzyło się matowo jak stare lustro. Na powierzchni falowały cienie odbijających się w nich gór.

– W nagrodę za to, e nie biadoliłeś, dostaniesz słynny babciny gulasz wołowy z kaszą.

– Zjadłbym konia z kopytami. Wyciągnęła z plecaka koc.

– Rozłó i siadaj. Jak zjesz, to zapomnisz o bólu nóg.

– Zabrałem trochę owoców z tej misy od ciebie – Noah uśmiechnął się i wziął od niej koc. – Na wypadek, gdybyś chciała mnie zagłodzić.

– Zagłodzić? Ju raczej wolałabym cię porzucić w lesie, eby się przekonać, czy trafisz z powrotem. Ale za bardzo lubię twoich rodziców.

– Mnie te mogłabyś polubić – pogłaskał Shirley po głowie.

– Bo twoja suka mnie lubi.

– Lubi te pić z sedesu. Nie wszystkim jej gustom mo na ufać. – Olivia wyjęła termos obiadowy, rozlała gulasz do misek.

– O raju, ale smakowicie pachnie!

– Babcia jest wyśmienitą kucharką.

– Mógłbym się wprosić na kolację?

Olivia nie odrywała oczu od termosu, zakręcając wieczko.

– Wczoraj wieczorem po powrocie do domu zastałam ją we łzach. Dziadek powiedział jej, e tu jesteś, po co przyjechałeś i e z tobą rozmawiał. Nie wiem, co sobie powiedzieli, ale wiem, e od tamtej pory prawie nie rozmawiają ze sobą.

– Bardzo mi przykro.

– Naprawdę? – spiorunowała go wzrokiem. – Przykro ci, e przywołałeś znów tragiczne wspomnienia, e wywołałeś

napięcie między dwojgiem ludzi kochających się przeszło pięćdziesiąt lat?

– Naprawdę mi przykro – nie odrywał od niej oczu.

– Ale nadal chcesz napisać swoją książkę – mieszała gulasz.

– Tak – Noah podniósł miskę. – I napiszę. Je eli się wycofam, Tanner opowie swoją wersję zdarzeń komu innemu.

Komuś, kto nie będzie miał na tyle serca do sprawy, eby poruszać się delikatnie, eby upewnić się, czy na pewno pisze prawdę. Nie będzie miał adnego powiązania z waszą rodziną i nie przejmie się waszymi uczuciami.

– Traktujesz to jak krucjatę?

– Nie. Jestem tylko pisarzem. Za to niezłym.

Czy dawniej te był taki pewien siebie? Chyba nie.

Przyglądał się dziewczynie, jak dokłada gulaszu.

– Nie będę cię poganiał. Dostosuję się do ciebie.

– Jeszcze nie wiem, czy się zgodzę – powiedziała Olivia po chwili. – Ale nie zamierzam w ogóle z tobą rozmawiać, je eli nie zostawisz w spokoju mojej babci. Ona sobie z tym nie poradzi. Obiecałam jej, e nie będziesz nachodził jej w domu z prośbą o rozmowę.

– Przrzekam – Noah a westchnął na jej podejrzliwą minę.

– No co? Mam podpisać krwią?

– Mo e. Nie sądz, e tak od razu ci zaufam.

– Raz zaufałaś. To zaufasz po raz drugi.

– Ale ty jesteś irytująco pewien siebie. Spójr, po jeziorze pływa para kaczek kamienuszek. Widać je tam, na drugim brzegu.

Spojrzał. Zdą ył się zorientować, e kiedy chciała zmienić temat, zaczynała mówić o przyrodzie.

– Zostanę tu cały tydzień – powiedział. – Je eli nie zdecydujesz się do mojego wyjazdu, będziesz mogła zadzwonić potem. Przyjadę.

– Zastanowię się. A teraz nic ju nie mów – dała Shirley psi 140

biskopt. – Jedną z największych atrakcji tego miejsca jest cisza.

Noah, usatysfakcjonowany,

zabrał się do gulaszu.

Rozwa ał, czy nie poprosić o dokładkę, kiedy na dźwięk rozdzierającego krzyku wypuścił miskę z ręki. – Zostań tu –

rzucił, zrywając się na równe nogi. – Ktoś wzywa pomocy.

Olivia te się zerwała.

– Poczekaj! – złapała Noaha za rękaw. – To świstak –

tłumiła śmiech. – Nie adna dziewczica w potrzebie, ale... Patrz.

Były dwa, miały szarobure posiwiałe futra, człapały ocię ale. Jeden stanął na tylnych łapach. Potoczył po ludziach i psie złym okiem.

– Niesamowity – Noah odwrócił się, spojrział na Olivię spod zmru onych powiek.

– Ale z ciebie rycerz. Przy tobie absolutnie nic mi nie grozi ze strony grasujących tu świstaków.

– Złośliwa bestia.

Przyło ył jej pięść do podbródka i tak zastygł. W oczach igrały jej złote błyski dobrego humoru, miękkie usta wychylały się ku niemu. Policzki pałały rumieńcami, a wiatr rozwiewał

pukle włosów.

Dostrzegł zmianę w jej oczach, tę samą gęstniejącą świadomość, którą zobaczył w nich przed laty. Nie zaplanował

tego. Zadziałał instynktownie. Kiedy przytykał ju usta do jej warg, włączył mu się rozum i dosłownie zawył: błąd! Jej wargi tchnęły ciepłem. Pogłębił pocałunek.

Najpierw chciała go powstrzymać, ale ją samą zdumiała siła emocji. Czowała zupełnie to samo, co wtedy. Mimo e oboje się 141

zmienili, to ich pragnienie pozostało takie samo. Cofnął się, eby jej się przyjrzeć.

Olivia przybrała obronną pozę.

– To się nie mo e powtórzyć.

– Liv... – powiedział cicho i powa nie. – Zrozum. To się ju powtórzyło.

Nie, powiedziała sobie w duchu. Nie ma mowy. Okręciła się na pięcie i zaczęła wrzucać wszystko z powrotem do plecaka.

Noah nie mógł zebrać myśli, ale podszedł do niej, odwrócił

ją do siebie.

– Posłuchaj...

– Ręce przy sobie – odtrąciła go. – Myślisz, e nie wiem, o co ci chodzi? Jeśli nie mo esz wziąć mnie na wdzięk, nacierasz ciałem. Tak jak zesłym razem.

– Przestań. Co ty wygadujesz – przytrzymał ją z elazną, niedocenianą przez nią siłą. – Wiesz dobrze, e nie po to lazłem tu przez cztery godziny, eby się na ciebie rzucić. Zrobiłbym to w miłym ciepłym pokoju, nie dorabiając się pęcherzy na nogach.

– Ale się rzuciłeś – sprostowała lodowato Olivia. Patrzyła na niego, a Shirley podrygiwała ze skamleniem między nimi.

– Wcale tego nie zaplanowałem. Tak wyszło – Noah ją puścił. – Jak długo ka esz mi płacić za błąd popełniony sześć lat temu? Na ile sposobów mam za niego przeproszać?

– Nie chodzi mi wcale o adne przeprosiny. Chcę o tym po prostu zapomnieć.

– Ale nie zapomniałaś. Ani ja. Chcesz wiedzieć, ile razy 142

myślałem o tobie?

– Nie – rzuciła prędko. – Nie chcę.

W drodze powrotnej Olivia znów przyjęła rolę bezosobowej przewodniczki. Kiedy zamajaczył przed nimi pensjonat, światło zmieniło kolor na perłowoszary z szalonymi maźnięciami barwy na zachodzie. Ale Noah nie miał ochoty podziwiać widoków.

Na miłość boską, przecie on ją tylko pocałował.

Przy wejściu do pensjonatu odwrócił się do niej i ju miał

pochwalić uprzejmie, acz zjadliwie jej kwalifikacje jako przewodniczki, kiedy podbiegł do niego recepcjonista.

– Panie Brady, był do pana telefon. Pańska matka twierdzi, e sprawa jest pilna.

Zamarł.

– Moja matka?

– Tak. Dzwoniła dziś rano, a potem znów o trzeciej. Prosiła, eby zadzwonił pan do niej zaraz po powrocie.

– Mo esz zadzwonić stąd – Olivia wzięła go delikatnie za rękę. Strach na jego twarzy uruchomił alarm w jej głowie.

Zaprowadziła go do biura. – Od razu wykręć. Ja ju się...

Chciała wyjść, ale przytrzymał jej ręce. Nie odezwał się słowem, wykręcając numer. Po dwóch

dzwonek usłyszał głos matki.

– Mama?

– Och, Noah, chwala Bogu. Zacisnął palce na ręce Olivii.

– Co się stało?

– Mike jest w szpitalu. Leży na oddziale intensywnej opieki.

Jest w śpiączce. Robią wszystko, co tylko... – rozpląkała się.

Noah poczuł, e wszystko się w nim wywraca.

– Ale co się stało? Miał wypadek?

– Nie, nie. Ktoś go uderzył w głowę. Dostał kilka ciosów od tyłu. To się zdarzyło wczoraj wieczorem, u ciebie.

– W moim domu na plaży? Był u mnie?

– Tak. Dowiedziałam się o tym dopiero dziś rano.

– Przyjadę jak najszybciej. Pierwszym samolotem.

– Będziemy w szpitalu. Maggie i Jim... – głos Celi się załamał, kiedy wspomniała rodziców Mike'a.

– Nie powinni być teraz sami.

– Ju jadę. Niedługo będę – Noah odłożył słuchawkę, po czym zapatrzył się w nią. – Mój przyjaciel... padł ofiarą ataku.

Jest w śpiączce. Muszę wracać do domu.

Czuła, jak drą mu palce.

– Zarezerwuję ci lot. Spakuj niezbędne rzeczy. Zawiozę cię na lotnisko.

– Tylko zarezerwuj mi miejsce. Najszybsze połączenie do Los Angeles. Będę gotowy za pięć minut.

I rzeczywiście, zanim załatwiła mu powrót, ju był

z powrotem w jej biurze. Niósł plecak i walizeczkę laptopa.

– Załatwiłam – powiedziała Olivia. – Jedziemy na prywatne lotnisko przyjaciół dziadków. Wystartują, jak tylko się zjawisz.

Wyszła z biura, podbiegła do dżipa na bocznym parkingu, otworzyła, wsiadła, a on wrzucił plecak na tylne siedzenie.

– Doceniam twój gest.

– Daj spokój. I nie martw się o resztę swoich rzeczy.

Samochodem te się zajmujemy – jechała szybko, nie odrywając rąk od kierownicy, oczu od drogi. – Przykro mi z powodu twojego przyjaciela.

Noah oparł się o zagłówek.

– Znam go od zawsze. Od drugiej klasy podstawówki. Był

wtedy

tłuscioszkiem,

kompletnym

fajtłapą.

Ale

to

najwspanialszy człowiek, jakiego znam. Lojalny i nie wadzący nikomu – zakrył rękami twarz, a potem uderzył pięścią w deskę rozdzielczą. – Cholera, a teraz jest w śpiączce! I to z mojej winy. Sam go tam wysłałem. Nie doceniłem tej zdziry.

– O kim ty mówisz?

– Przez jakiś czas spotykałem się z pewną dziewczyną. Nie traktowałem tego związku poważnie, ale jakoś to się wlokło.

Kiedy zaczęły się komplikacje, zerwałem. A wtedy ona wpadła w szal. Zdemolowała mi dom.

– Coś potwornego. Dlaczego nie kazałeś jej aresztować?

– Bo nie miałem dowodów. Wszyscy wiedzieli, e to ona, e to zemsta w jej stylu, ale nic się nie dało zrobić. Kilka dni temu znów obrzuciła mnie pogró kami, zrobiła mi kolejną scenę. A ja wyjechałem, prosząc Mike'a, eby mi podlewał

kwiaty.

Olivia czuła, jak cierpienie spływa z niego falami. Nie mogła tego znieść. Najchętniej przytuliłaby go, pocieszyła. Ale zacisnęła tylko ręce na kierownicy i dodała gazu.

Kiedy Noah wybiegł z windy na OIOM-ie, nerwy miał

dosłownie w strzępach. Na ławce w korytarzu siedzieli 145

w milczeniu jego rodzice. Poczucie winy i strach chwyciły go za gardło. Szedł w ich kierunku na sztywnych nogach.

– Och, Noah – Celia wstała, eby zarzucić mu ręce na szyję.

– Chciałbym go zobaczyć. Czy mogę...

– Stan jest taki sam – pogłaskała Noaha po plecach. –

Wchodzimy tam na zmianę. Teraz są u niego Jim i Maggie.

Zdruzgotany Noah usiadł na ławce, ukrył twarz w dłoniach.

– Ju ja dopilnuję, eby Caryn za to zapłaciła.

– To nie jest teraz najwa niejsze – zmiygował go Frank.

– Przecie wiesz, e to ona – Noah wyprostował się i spojrział na Franka z ogniem w oczach. – Przecie wiesz.

– Kiedy ją tylko znajdą, będzie przesłuchana – złapał Noaha za ramiona. – Nie mo na jej oskar yć bez dowodów. Ale jako twój ojciec i policjant nakazuję ci, ebyś trzymał się od niej z daleka. Je eli posłuchasz swoich obecnych emocji, pogorszysz tylko sprawę. Ta dziewczyna sama musi wpaść. Musimy ją złapać za rękę.

Je eli Mike umrze, pomyślał Noah, to ta zdzira nie ukryje się przede mną nawet w mysiej dziurze.

Noah siedział w szpitalu. Za ka dym wejściem do małej sali widział tylko nieruchomego, bladego Mike'a z głową obwiązaną banda ami.

Nazajutrz, około południa, narósł w nim gniew. Nie pozwoli, eby to uszło Caryn na sucho. Nic nie mógł zrobić, tylko się modlić i czuwać przy łó ku przyjaciela. Ta wariatka chciała go dopaść. Ju on jej da popalić. Podeszedł do windy 146

z nienawiścią wzbierającą w sercu.

– Noah?

– Słucham? – zobaczył przed sobą brunetkę w białym kitlu, ze stetoskopem w kieszeni. – Pani jest lekarką Mike'a Elmo?

– Nie. Jestem...

– My się chyba znamy – przerwał jej.

– Poznaliśmy się w klubie. Byłeś wtedy z Mikiem, a ja z kole anką. Jestem Dory.

– Aha, pamiętam. – Ta piękna brunetka, która wstawiła się za mną, kiedy Caryn wdarła się do klubu.
– Jesteś lekarką?

–

Z pogotowia

ratunkowego.

Mam

wolną

chwilę

i przyszedłam zajrzeć do Mike’a. Tobie te się przyda odetchnąć świeżym powietrzem. Chodź, przejdziemy się.

– Właśnie wychodziłem.

– No, to się przejdźmy – powtórzyła. Nie pierwszy raz widziała mordercze zamiary w oczach mężczyzny. – Badania Mike’a wypadły dobrze. – Nacisnęła guzik windy. – Jest w stanie krytycznym, ale to młody, zdrowy człowiek.

– Ju półtora dnia leży w śpiączce.

Dory zaprosiła Noaha gestem do windy.

– Czasem śpiączka tylko pomaga organizmowi skupić się na gojeniu. Mike, jadąc tutaj w karetce, nawet się ocknął.

Wprawdzie tylko na chwilę, ale chyba mnie poznał, co świetnie rokuje.

– Byłaś z nim?

Wyszła do głównego holu, wyprowadziła go na dwór.

– Miałam się z nim spotkać w twoim domu. Po przyjeździe 147

zastałam otwarte drzwi. Mike leżał w kuchni, twarzą do podłogi.

Dostał w głowę butelką wina. Wszędzie było pełno tłuczonego szkła. Miałam przy sobie torbę lekarską, udzieliłam mu pierwszej pomocy.

– Czy on umrze? Obróciła twarz do słońca.

– Nie wiem. Z medycznego punktu widzenia ma połowiczną szansę przeżycia, może nawet ciut większą. Ale medycyna ma swoje ograniczenia. Najwięcej zależy teraz od niego. A ja dosłownie

szaleję na jego punkcie.

– Nie artujesz?

– Nie. Wiem, e tamtej nocy startował do Steph. Ale jakoś to się między nimi rozmyło, no więc się nad nim zaczęłam litować. A jak zaczęliśmy gadać, to coś między nami zaskoczyło.

– To ty byłaś wtedy u niego, kiedy dzwoniłem? – Aha.

–

Mike

Elmo

i seksowna

lekareczka

–

pokręcił

z zadowoleniem głową. – Dla mnie bomba.

Roześmiała się.

– On uwa a, e ty potrafisz chodzić po wodzie. Nie mówię tego po to, eby cię zasmucić – dodała, kiedy w oczach Noaha zgasło światło – ale dlatego, e to wspaniały chłopak i e uwa a ciebie za kogoś wspaniałego. I chyba ma rację. No więc, kiedy zobaczyłam cię tam, na górze, widziałam, e zamierzasz

odszukać tę szurniętą Caryn i coś jej zrobić, a to niczego by nie rozwiązało.

– Chciała mnie skrzywdzić. Mike za cholereę jej nie obchodził.

– I skrzywdziła. W najboleśniejszy sposób. Wracajmy na górę. Zostało mi ju tylko kilka minut, a chciałabym go zobaczyć.

Wrócili, weszli do windy. Noah w nieco lepszym nastroju wysiadł na piętrze Mike’a. Ale na widok Maggie Elmo szlochającej w ramionach jego matki, omal mu serce nie pękło.

– Nie! – wyrwał się próbującej go zatrzymać Dory i pomknął korytarzem.

– Noah, zaczekaj! – Celia zerwała się, eby zastąpić mu drogę, zanim wbiegnie na oddział. – Maggie, powiedz mu.

– Otworzył oczy! – Maggie wyciągnęła obie ręce do Noaha.

– Spojrzał na mnie i powiedział: „Mamo” – poło yła mu głowę na ramieniu. – Obudził się, Noah. On się obudził. – Noah przytulił mocno matkę przyjaciela.

Rozdział ósmy

– Więc, kiedy zamierzałeś mi powiedzieć o pani doktor Cud Miód?

– Mówisz o niej, jakby była dzieckiem – Mike się uśmiechnął.

– Mo e i jest. Ale całkiem niegłupim. Dlaczego ona wciąż u ciebie siedzi?

– Skąd mogę wiedzieć? Chyba jej się podobam – Mike nadal szybko się męczył, a bóle głowy nawiedzały go z nu ącą regularnością. Ale doprowadzono go do niezłego stanu i przeniesiono na zwykłą salę. – Chyba się w niej... no wiesz –

dodał.

– „No wiesz” to mocna rzecz. Przecie spotykałeś się z nią bardzo krótko, zanim rozwalono ci głowę. A od dziesięciu dni tkwisz w szpitalu.

– Poprosiłem ją o rękę.

– Co?

– I mnie przyjęła – Mike wyszczerzył zęby w szczenięcym uśmiechu. – Ale ślub dopiero na wiosnę, bo jej zale y na oprawie. No wiesz, kościół, kwiaty, biała suknia.

– O rany – Noah uznał, e lepiej usiądzie, ale uprzytomnił

sobie, e przecie siedzi. – O rany. Czyli to powa na sprawa?

– Chcę z nią być. A kiedy jestem, ciągle myślę, jak mi dobrze. Naprawdę mi dobrze. Nie wiem, jak to inaczej wytłumaczyć.

– Chyba lepiej się nie da. Brawo, Mike – Noah roześmiał się i wstał. – Ślub. Z lekarką. No, no. Będzie ci mogła zakładać szwy za ka dym razem, kiedy się przewrócisz. Czy ona wie, e jesteś kompletnym niedorajdą?

– Aha. I za to mnie kocha.

– Mam nadzieję, e nie będziesz ju do mnie wpadał co drugi wieczór, eby przetrząsnąć mi lodówkę po tym, jak... –

urwał na to przykre wspomnienie.

– To nie była twoja wina. Nie wiedziałeś, e Caryn dostanie świra. Kurczę, szkoda, e niczego nie pamiętam, ale naprawdę mnie zaćmiło. Mo e ją widziałem. Gdybym przypomniał sobie, e ją widziałem, to by ją zamknęli.

– Najpierw musieliby ją znaleźć. Ale się ulotniła. Nikt z jej 150

znajomych nie wie, gdzie się podziewa, a w ka dym razie nikt nie puszcza pary z gęby. Spakowała manatki, wyjęła gotówkę na karty kredytowe i znikła. Gdyby policja zebrała dowody przeciwko niej, mogłaby zacząć jej szukać.

– No więc, skoro ju wiesz, e będę ył, a ta szalona dziwa gdzieś się ulotniła, wracaj lepiej do pracy.

Noah podszedł do okna.

– Rozważam, czy aby nie poprosić o chwilę rozmowy męża Jamie Melbourne.

– No to do dzieła.

– Czekam na swój wóz – wiedział, że to tylko pretekst –

ktoś ma go jutro przyprowadzić tu z ośrodka na północy.

Wyrzucasz mnie?

– A od czego ma się przyjaciół?

Olivia siedziała w samochodzie i patrzyła na dom Noaha.

Zupełnie inaczej go sobie wyobrażała. Był ładny, niemal kobiecy

z powodu

pastelowej

kolorystyki.

Ogród

nie

przypominał typowego wykwitującego kawalera, który chce tylko ubarwić swoją posiadłość, lecz był zadbaną, przemyślaną kompozycją.

Słusznie usłuchała własnej intuicji, która kazała jej odstawić wóz Noaha. Chociaż musiała przedtem pokonać opory dziadków. Wysiadła, mając zamiar zapukać, wręczyć mu kluczyki, wezwać taksówkę i pojechać jak najszybciej do ciotki.

Ale nie mogła się oprzeć kwiatom, powabowi werbeny, urokowi gerberów, barwom swojskich petunii.

Nie pieliał tych rabatek tak sumiennie, jak powinien, tote serce ogrodniczki kazało jej przykucnąć, eby wyrwać

pojedyncze chwasty. Ju po chwili, nucąc pod nosem, oddawała się ulubionemu zajęciu.

Noah tak się ucieszył na widok swojego samochodu na swoim miejscu, e rzucił hojny napiwek kierowcy i wyskoczył

z taksówki.

– Witaj w domu, skarbie – mruknął w stronę wozu. I wtedy zauważył Oliwię. Wyglądała tak ślicznie, klęcząc wśród jego kwiatów. Ruszył w jej stronę.

– Co za niespodzianka – przywitał ją. Poderwała na jego widok głowę, zastygła. – Nie przypuszczałem, e zastanę cię pielącą moje badyle.

– A się o to prosiły – straszliwie speszona, podniosła się powoli z kucek.

– Co ty tu robisz, Liv?

– Odstawiłam twój samochód. Prosiłam, eby cię uprzedzono.

– Nie ma adnych zastrzeżeń. Wejdz.

– Muszę cię prosić, ebyś mi wezwał taksówkę.

– Wejdz – powtórzył i otworzył drzwi. W tym celu wstukał

kod do systemu alarmowego. – Właśnie kazałem zainstalować alarm.

Liv weszła za nim.

– Nie mogę zostać.

– Aha. Należę nam po kieliszku wina, a ty się zastanów, 152

dlaczego nie moesz usiąść na kwadrans, skoro przyjechałaś taki kawał z północy.

– Ciocia i wujek na mnie czekają.

– Akurat w tej sekundzie? – zawołał z kuchni.

– Nie, ale...

- No widzisz. Masz ochotę na chrupki? Gdzieś tu powinny być.
 - Nie trzeba. Cieszę się, e twój przyjaciel wraca do siebie.
 - Przez pierwsze dwa dni jego ycie wisiało na włosku. Ale teraz ju wiadomo, e się wyli e. Miał szczęście. W ciągu zaledwie dwóch tygodni doznał uszkodzenia czaszki, zakochał się, a nawet zaręczył... niekoniecznie w tej kolejności. Wypijmy za zdrowie Mike'a.
 - Czemu nie? – Olivia trąciła się z nim kieliszkiem, pociągnęła łyk. – Pouilly-Fuisse w dzień powszedni. Co za szyk!
 - Znasz się na winach.
 - Widocznie mam w sobie włoską krew po babce.
 - A po MacBride'ach pociąg do guinnessa?
 - Przypuszczalnie tak – czuła się tu z nim a za swobodnie.
 - Mo e byś tak zadzwonił...
 - Chodźmy na taras – wziął ją za rękę, rozsunął drzwi. – Za wcześnie jeszcze na zachód słońca. Będziesz musiała tu wrócić.
- Znad oceanu powiała bryza, tchnąc jej ciepłem w twarz.
- Śmiałe niebieskie fale pluskały o brzeg.
- Piękny widok za domem.
 - To samo pomyślałem o twoim, kiedy zobaczyłem ten las –

Noah przejechał palcem po rękę Olivii, od łokcia po nadgarstek, z roztargnieniem męczyzny przywykłego do dotykania.

Odsunęła się gestem kobiety, która do dotykania nie przywykła.

– Naprawdę muszę ju iść. Dzwoniłam do wujka Davida z Santa Barbara, więc teraz ju się mnie spodziewają.

– Jak długo tu zostaniesz?

– Tylko kilka dni.

– Umówmy się na kolację.

– Będę zajęta.

– Lubię na ciebie patrzeć. Daj mi szansę, Olivio.

– Tobie chodzi o wywiad. A ja nie podjęłam jeszcze decyzji.

– Owszem. Ale nie słuchasz uwa nie. Powiedziałem, e lubię na ciebie patrzeć. Od lat nie przestaję o tobie myśleć, Olivio. Chyba nawet wolałbym nie myśleć, bo dajesz mi jasno do zrozumienia, e taka jest twoja wola.

– Moja wola nie ma tu większego znaczenia – dopiła wino, odstawiła kieliszek. – Muszę ju iść.

– W takim razie odwiozę cię.

– No dobrze.

Znów wziął ją za rękę, kiedy szli do drzwi. Niemal ju się przyzwyczaiła do tego gestu. W samochodzie zapytał: – Trafiłaś tu bez kłopotów?

– Miałam mapę. Jestem obeznana z odczytywaniem map.

A nawiasem mówiąc, to świetna bryka – pochwaliła. – Prowadzi się jak marzenie.

– Dociskałaś gaz do dechy?

Uśmiechnęła się nieznacznie. – Mo e. – A potem się 154

roześmiała, kiedy samochód przyspieszył, a wiatr dmuchnął jej w twarz. – To istna torpeda. Ile mandatów kosisz przeciętnie w ciągu roku?

Puścił do niej oko.

– Jestem synem gliniarza. Szanuję prawo.

– No dobrze, w takim razie, ile ojciec ci co roku załatwia?

– Rodzina nie rejestruje drobnych dowodów miłości.

Kiedy Noah skręcił w stronę podjazdu, Olivia uśmiechnęła się na widok posiadłości Melbourne'ów.

– Mamy ją na zdjęciach, na wideo, ale to nie oddaje w pełni rzeczywistości.

– Śliczne gniazdko dla młodych nowożeńców. Roześmiała się, a kiedy stanęli, wysiadła. Z domu wyszedł David Melbourne. A krzyknęła z radości i niemal rzuciła się, eby go uściskać.

– Witaj, podró niczko – ze śmiechem ujął jej twarz w swoje dłonie. – Niech ci się przyjrzę. Piękna jak zawsze.

Elegancko się starzeje, pomyślał Noah. Albo odkrył eliksir młodości, albo ma znakomitego chirurga plastycznego.

– Stęskniłam się za wami.

– My te – pocałował ją, a potem, objąwszy ramieniem, zwrócił do Noaha nieznacznie, lecz nieomylnie chłodniejszym tonem. – Dziękuję za odwiezienie siostrzenicy.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Wujku, to jest Noah Brady.

– Tak, wiem.

– Tylko wyjmę swoje rzeczy z bagażnika – powiedziała Olivia.

– Pozwól, e ja je wyjmę – Noah otworzył bagażnik, wyjął jej walizkę.

David wziął ją z rąk Noaha.

– Jamie wisi na telefonie. O, chyba ju skończyła. Pójdiesz tam do niej, Liv?

– Jasne. Dzięki za podwiezienie, Brady.

– Nie ma za co, MacBride – odparł. – Będziemy w kontakcie. Nie odezwała się, tylko pomknęła po schodach.

David postawił walizkę Olivii, zerknął w stronę domu.

– Chyba masz dobry kontakt z Liv.

– Niepokoi to pana? – spytał Noah.

– Sam nie wiem. Nie znamy się.

– Panie Melbourne, wydawało mi się, e popiera pan książkę, którą piszę.

– Wtedy tak. Uznałem, e minęło ju dostatecznie du o czasu, a pisarz pańskiego formatu mógłby oddać sprawiedliwość tej tragedii.

– Doceniam pańskie zaufanie. A dlaczego zmienił pan teraz zdanie?

– Nie przewidziałem, e tak bardzo zdenerwuje to Val, moją teściową – troska zasnęła mu oczy. – Czuję się po trosze odpowiedzialny, bo istotnie popierałem ten pomysł, a z całą pewnością namawiałem Jamie, eby z panem współpracowała.

Val jest jedną z najwłaśniejszych osób w moim yciu. Nie chcę, eby cierpiała.

Có za opiekuńczość, zadumał się Noah. Rodzina to zagadkowa układanka stworzona z elementów opiekuńczości i obrony.

– Ju przyrzekłem Liv, e nie poproszę jej babci o rozmowę.

– Książka i tak ją wciągnie – stwierdził David. – Ze swej strony dołożę starań, eby teściowa nie myślała o niej źle.

Potem ewentualnie odezwę się do pana. Teraz jednak musi mi pan wybaczyć – podniósł walizkę. – Nie chcę uronić ani chwili z pobytu Liv.

Tego wieczoru, kładąc się spać, Olivia dosłownie padała z nóg.

Była

zmęczona

podróżą,

wykwintną

kolacją

przygotowaną przez ciotkę i długą rozmową po okresie rozłąki.

Jeszcze przed zaśnięciem przywołała w myślach obraz Noaha, stojącego tyłem do oceanu na tarasie swojego ślicznego domu.

Frank siedział w kuchni przy piwie. Rysował w notatniku kółka, zakrętasz i krzyżki, przygotowując taktykę meczu trenowanej przez siebie drużyny koszykarskiej.

Kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, zostawił piwo i swoje gryzmoły na stole, sądząc, e to jeden z graczy.

W drzwiach stała młoda kobieta. Wysoka, o sportowej sylwetce, w sam raz nadawałaby się na boisko. Ale chyba ju wyrosła z ligi nastolatków. Po chwili obrazy, które przewinęły mu się przez głowę, kazały mu złapać ją za ręce.

– Witaj, Liv! Aleś ty wyrosła.

– Nie sądziłam, e pan mnie pozna – sam ten fakt i radość 157

w jego oczach podniosły ją na duchu. – Bo ja wszędzie bym pana poznała. Nic się pan nie zmienił.

– Nigdy nie okłamuj policjanta, nawet na emeryturze.

Chodź, siadaj.

Jakiś cię ar le ał jej na piersi.

– Chciałam najpierw zadzwonić. Ale się rozmyśliłam.

I przyszłam.

– Bardzo się cieszę. Wiedziałem, e wyrosłaś, ale zawsze, kiedy cię widzę albo kiedy czytam twoje listy, dostrzegam w tobie małą dziewczynkę.

– A ja bohatera – padła mu w ramiona, dała się uściskać.

I wtedy nerwy jej odpuściły. – Wiedziałam, e poczuję się lepiej, kiedy pana zobaczę.

– A co się stało, Liv? Chodzi o ksią kę Noaha?

– Częściowo. Chocia nie chciałam, chocia się zarzekałam, e się nie zgodzę, postanowiłam mu zaufać. Na pewno rozmowy z nim przysporzą mi cierpienia, ale wiem, e w końcu sobie poradzę.

– Mo esz mu zaufać. Nie rozumiem pracy Noaha, ale jego rozumiem.

Olivia pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Jak pan mo e nie rozumieć jego pracy? Przecie to wspaniałe ksią ki.

Teraz Frank się stropił.

– Dziwię się, e ty to mówisz. I e tak czujesz jako córka ofiary morderstwa.

– Ale zarazem córka mordercy – dokończyła. – Właśnie 158

dlatego. Przeczytałam jego pierwszą ksią kę, kiedy tylko ukazała się drukiem. Trudno powiedzieć, e mi się podobała, ale zrozumiałam, do czego w niej zmierza. Bierze na warsztat najgorsze, najbardziej niewybaczalne zbrodnie, po czym roztrząsa ich okoliczności. Kiedy czytamy o zabójstwie w gazecie, mówimy: „Straszne” i idziemy dalej. Noah nadaje temu wszystkiemu ludzki wymiar, tak rzeczywisty, e nie sposób przejść obok tego obojętnie. Obna a wnętrza wszystkich zainteresowanych

osób,

do

najbardziej

prymitywnych,

najbardziej drastycznych emocji.

Wtedy zrozumiała, czego się z jego strony boi najbardziej –

właśnie obnażenie. – Pod jego piórem czyny znów ozywają –

ciągnęła. – I nie mogą już przejść niezauważone – uśmiechnęła się leciutko, ale z jej oczu bił przeraźliwy smutek. – Czyli nabiera znaczenia wszystko to, co dzień po dniu, rok po roku robił jego ojciec. Pan stanowi dla niego wzór wszelkiej prawości i siły.

– Liv... – słowa uwięzły Frankowi w gardle. – Zawstydziałś mnie, e nigdy nie przyjrzałem mu się dostatecznie dobrze.

– Denerwuję się tą rozmową z Noahem. Jutro wracam do domu, będzie więc musiał spotkać się ze mną na moim gruncie.

Może zechciałby pan przyjechać do nas z oną na darmowe wczasy w pensjonacie. Za kilka tygodni wychodzi mój ojciec.

Uznałam, e lepiej bym się czuła, gdybym przez pierwsze kilka dni miała pana przy sobie. Dotąd o tym nie myślałam, ale ta chwila się zbliża. Zostało już tylko kilka tygodni... – coś w twarzy Franka... jakiś cień, grymas... kazało jej urwać. – Co 159

takiego?

– Chodzi o jego wyjście, Liv. Dziś rano odebrałem telefon.

Zawsze informowano mnie o wszystkim, co dotyczyło Tannera.

Ze względu na stan jego zdrowia, przeładowanie zakładów karnych, lata odsiedziane w więzieniu...

– Wypuszczą go wcześniej? Kiedy wychodzi?

Olivia patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

Frankowi przypomniawsła się mała dziewczynka przypatrująca mu się z kryjówki. Tym razem nie zrobił nic, eby złagodzić cios.

– Wyszedł dwa tygodnie temu – powiedział.

Dzwonek telefonu roztrząsał skupienie Noaha na tysiąc drobnych kawałków. Zaklął, wbił wzrok w ostatnią napisaną linijkę, próbując odnaleźć wymykający się wątek. W końcu odebrał.

– Czego, do cholery?

– Dzwonię, eby się poegnać. Do widzenia.

– Zaczekaj, Liv. Nie odkładaj. Od dwóch dni się nie odzywasz, a teraz akurat trafiłaś na niefortunny moment.

Odebrałaś moje wiadomości? – Wszystkich dziesięć tysięcy, pomyślał.

– Tak. Ale nie miałam czasu odpowiedzieć. Teraz te mam tylko minutkę. Ju wpuszczają na pokład.

– Co? Jesteś na lotnisku? Ju wyje d asz?

– Tak. Zmieniłam plany.

Jej ojciec wyszedł z więzienia. Czy ju dotarł do Los Angeles? Czy najpierw przyjechałby tutaj?
Olivia siliła się na 160

niewymuszony ton.

– Muszę wracać. Chciałam cię tylko zawiadomić. Je eli nadal chcesz odbyć ze mną tę rozmowę do ksią ki, mo esz mnie złapać w ośrodku.

– Odłó wyjazd do jutra rana. Chciałbym się z tobą zobaczyć.

– Wiesz, gdzie mnie szukać. Zastanowimy się, w jakim trybie przeprowadzić ten wywiad.

– Nie tylko ta ksią ka nas łączy. Proszę cię, przełó lot.

Przyjadę po ciebie.

– Nie chcę tu być – odparła beznamiętnie. – Wracam do domu. – Tam będzie bezpieczna. I odłó yła słuchawkę.

Olivia odprę yła się dopiero wtedy, kiedy samolot wzbił się w powietrze, a ona zapadła się w fotelu i zamknęła oczy. Je eli Noah się z nią skontaktuje, to podejmie się tego wyzwania.

Powie mu, e wspomnienia to dla niej teraz tylko słowa. Słowa, które jej nie zranią.

Potwór wyszedł na wolność. To ostrze enie wlewało jej się szeptem w uszy.

Ale w sumie było bez znaczenia. Nie dopuści do tego, eby wpłynęło na jej ycie. I chocia dopiero teraz otworzyły się drzwi jego celi, dla niej ten człowiek umarł dawno temu. Miała nadzieję, e i ona umarła dla niego. e o niej nie myślał, a jeśli tak, to e ka da myśl przysparzała mu cierpienia.

Odwróciła się od okna i ukołysała do snu.

Nie wszystkim jednak sen przychodził tak łatwo. A i to przesycony był strachem, przykrymi odgłosami i krwawymi obrazami z przeszłości.

Potwór wyszedł na wolność. Hasał we snach, wtarabaniał się bezceremonialnie w samo serce, wylewał gorzkie łzy.

Wiedział, e bez kolejnej śmierci się nie obejdzie.

Liv. Jej imię było niemy szlochem. A miłość do niej tak namacalna, jak od pierwszego momentu jej narodzin. A strach o nią tak namacalny, jak owej nocy rozlewu krwi.

Poświęci ją tylko wtedy, kiedy nie będzie innego wyjścia.

– Wyszedł? Jak to wyszedł?

– Wyszedł dwa tygodnie temu. Jego adwokat starał się o przedterminowe zwolnienie ze względu na zły stan zdrowia i przyspieszono jego wyjście. – Frank usiadł na le aku. Jego syn skorzystał z pochmurnego dnia i spokoju na pla y, eby

popracować na dworze.

Zaczął chodzić nerwowo po tarasie.

– Musiał ju o tym wiedzieć podczas mojej ostatniej wizyty.

Ale mi nie powiedział. Dokąd on, do diabła, mógł pójść?

– Szczerze mówiąc, sądziłem, e to ty raczej będziesz wiedział.

–

Nie

podał

mi

adnego

kontaktowego

adresu.

Przedterminowo zwolniony? – spojrzał na Franka. – Nie wyszedł za kaucją, więc nie musi się

meldować.

– W oczach władz jest zrehabilitowany.

– A w twoich?

- Jako kto mnie pytasz? Jako mój syn czy jako autor książki? Noah natychmiast się wycofał.
- Mniejsza o to.
- Nie uchylam się od odpowiedzi, Noah. Ale jestem ciekaw.
- To ty mnie szufladkujesz w dwóch przegródkach: prywatnej i zawodowej.
- Masz rację. Sporo o tym ostatnio myślałem – Frank westchnął, położył ręce na kolanach. – Sądziłem, że zostaniesz policjantem. Chyba zbyt długo na to liczyłem.
- Wiem, że sprawiłem ci zawód.

Już miał odruchowo zaprzeczyć, ale wstrzymał się i powiedział synowi prawdę.

- Nie miałem prawa do zawodu, ale zawsze jako mały chłopiec interesowałeś się moją pracą. Wypytywałeś mnie o różne sprawy i wszystko spisywałeś. Dlatego dałem się zwieść.
- Bo ja nie chciałem zamykać spraw, tato, lecz je analizować.
- A kiedy zacząłeś pisać książkę, grzebać w dawno umorzonych sprawach, to dopatrzyłem się w tym jakiegoś podważenia mojej pracy. Jakbyś mówił, że nie wystarczy odwalić roboty, zebrać dowodów, przeprowadzić aresztowania, wykonać wyrok. Duma nie pozwoliła mi dostrzec tego, co robisz i co to dla ciebie znaczy. Chciałbym przeprosić cię, że nie doceniłem twojej pracy i twoich osiągnięć.
- No, no... – skomentował Noah z przejęciem. – Dzień pełen niespodzianek.

– Zawsze byłem z ciebie dumny, Noah. Zawsze przysparzałeś mi radości jako syn i jako męża – Frank musiał odchrząknąć, bo ju obaj mocno się speszyli. – No więc teraz mam zamiar poświęcić więcej uwagi twojej pracy. Zgoda?

– No, owszem.

– Udzielę ci tego wywiadu, kiedy tylko znajdziesz czas.

– Teraz mam czas. Skoczę po taśmę.

Ju w swoim gabinecie Noah spisywał z magnetofonu wywiad z ojcem, kiedy zadzwonił telefon. A podskoczył

i zorientował się, że od kilku godzin nieprzerwanie ślęczy przy pracy. Podnosząc słuchawkę, zobaczył za oknem pierwsze smugi zachodzącego słońca plamiące niebo.

– Mówi Sam Tanner. Noah złapał ołówek.

– Gdzie jesteś?

– Na dworze i oglądam zachód słońca nad oceanem.

– Jesteś w San Francisco, Sam?

– W San Francisco byłem a nazbyt długo. Chciałem ju wrócić do domu.

Noahowi przyspieszyło tętno.

– Jesteś w Los Angeles?

– Wziąłem pokój w bocznej ulicy od Sunset Boulevard. Ale to nie to samo, co dawniej.

– Podaj mi adres.

– Teraz jestem gdzie indziej. Niedaleko ciebie. Oglądam zachód słońca – powiedział niemal z rozmarzeniem. – Serwują tu placki taco z piwem i z salsą, a oczy wychodzą na wierzch.

– Powiedz, gdzie jesteś. Zaraz tam będę.

Sam miał na sobie nowe spodnie khaki i wzorzystą koszulę.

Siedział przy elaznym stoliku na patio meksykańskiej knajpki i patrzył na ocean. Noah zamówił taco i po jeszcze jednym piwie dla nich obu.

– Jak się czujesz?

Sam ze zdumieniem odprowadził wzrokiem rolnarza, który śmignął obok.

– Wciąż się boję, e ktoś mnie zatrzyma, zawróci, powie, e zaszła pomyłka. Ale te po trosze czekam, e ktoś mnie rozpozna, e podejdzie po autograf.

– Chciałbyś?

– Kiedyś byłem gwiazdorem. Ka dy aktor potrzebuje uwagi, nie tylko po to, eby podnieść się na duchu, lecz równie po to, eby pogłaskać dziecko w sobie. Bo bez tego dziecka w środku nie mo na być dobrym aktorem – Sam uśmiechnął się krzywo.

Kelnerka postawiła przed nimi z brzękiem talerze i kufle.

Kiedy odeszła, Noah nachylił się do Sama.

– Przyje d ając tutaj, nara asz się na to, e w końcu cię ktoś rozpozna.

– A dokąd niby miałem jechać? Wszystko się zmieniło. Ju dwa razy się tu zgubiłem. Nowe twarze na ulicy, na afiszach.

Ludzie je d ą wielkimi d ipami. I nigdzie nie wolno palić.

Noah musiał się roześmiać, słysząc bezbrze ne zdumienie w głosie tamtego.

– Ale chyba jedzenie jest lepsze ni w San Quentin?

– Zapomniałem o istnieniu takich knajpek – Sam przyjrzał

się trzymanemu w ręce taco. – Zapomniałem, jeszcze zanim poszedłem siedzieć. Interesowało mnie tylko to, co najlepsze.

Nie chodziłem do lokali, w których nie budziłbym podziwu, zazdrości – wgrzył się w chrupiący placek. Chwilę uł

w skupieniu. – Byłem palantem.

– Czy mogę to cytować? – spytał Noah.

– Bo chyba do tego się to sprowadza. Miałem wszystko: sukces, uwielbienie, władzę, majątek. Miałem najpiękniejszą kobietę na świecie, która mnie kochała. Nie ceniłem tego i dlatego wszystko straciłem.

Noah łyknął piwa.

– Zabiłeś onę?

Z początku nie odpowiedział, tylko patrzył, jak ostatni odprysk czerwonego słońca zapada się do oceanu.

– Tak – prześwidrował Noaha wzrokiem.

– Dlaczego ją zabiłeś?

– Bo nie mogłem sprostać jej oczekiwaniom. Teraz spytaj mnie, czy tamtej nocy chwyciłem no yczki i wbiłem je w jej ciało.

– No dobrze. Chwyciłeś?

– Tego właśnie nie wiem – znów spojrzął na ocean. – Po prostu nie wiem. Pamiętam dwie wersje, obie jak najbardziej realne. W którymś momencie uznałem, e to nie ma ju adnego znaczenia. Ale wtedy powiedziano mi, e umieram. I okazało się,

e muszę wiedzieć, która z tych dwóch wersji jest 166

prawdziwa, a ty mi w tym pomo esz.

– Którą mi teraz opowiesz?

–
adnej. Przynajmniej na razie. Najpierw pieniądze.

Otworzyłem rachunek w tym banku – wyjął świstek papieru. –

To numer mojego konta. Dokonują tam elektronicznych transferów. To najszybsza droga.

– W porządku – Noah schował świstek do kieszeni. – Jutro będziesz miał pieniądze na koncie.

Nazajutrz rano Noah zadzwonił do Olivii. Złapał ją w recepcji. Uśmiechnął się na dźwięk jej zmysłowego głosu.

– Witam pannę MacBride. Stęskniłaś się za mną?

– Niespecjalnie.

– Nie wierzę. Od razu poznałaś mnie po głosie.

– A ty się dziwisz? Gadasz więcej ni dowolne trzy osoby z tych, które znam.

– A ty z kolei za mało, ale i tak twój głos dźwięczy mi w głowie. Śniłaś mi się dzisiaj w pastelowych barwach i w zwolnionym tempie. Kochaliśmy się na nabrze u rzeki.

– Ciekawe. Ale nabrze e to miejsce publiczne. Roześmiał się.

– Naprawdę zaczynam szaleć na twoim punkcie, Liv.

Podobały ci się kwiaty ode mnie?

– Ładne, ale zupełnie niepotrzebne.

– Nie masz racji. Będą ci mnie przypominały. Chciałbym, ebyś wciąż miała mnie w pamięci, Liv. Kiedy znów się zobaczymy, zaczniemy tam, gdzie przerwaliśmy.

- O tej porze roku wszystkie miejsca w pensjonacie są już dawno zarezerwowane.
- Coś wymyślę. Chciałem ci powiedzieć, e widziałem się z Tannerem. Rozmawiałem z nim. Jest tu, w Los Angeles.

Sądziłem, e cię ta wiadomość uspokoi.

- Dziękuję. Ale muszę już pędzić...
- Liv, porozmawiaj ze mną. Powiedz mi, co czujesz.
- Sama nie wiem. Wiem tylko, e nie dopuszczę, eby ten człowiek zmienił moje życie.
- Mo e przekonasz się, e nie wszystkie zmiany muszą ranić. Myśl o mnie, Olivio.

Odłożyła słuchawkę, odetchnęła głęboko.

- Marzenia nic nie kosztują – mruknęła i musnęła palcem płatki nagietka.

Nie potrafiła wystawić ich z gabinetu. Ujęła ją przebiegłość zawarta w jego geście. Noah zamówił kwiaty w tych odmianach, które hodował u siebie w ogrodzie. Tym, któremu nie potrafiła się oprzeć. Musiał wiedzieć, e patrząc na nie, będzie o nim myślała.

Skłamała, mówiąc mu, e się za nim nie stęskniła. Samą ją to zaskoczyło, jak bardzo pragnęła, eby spotkali się jako inni ludzie w zupełnie innej sytuacji. Mo e wtedy zostaliby kochankami albo nawet przyjaciółmi i na ich związku nie kładłby się aden cień.

Rozległo się pukanie do drzwi. Olivia burknęła coś w ich stronę.

- Nie dosłyszałem: proszę wejść czy idź do diabła? – spytał

dziadek, kładąc przed nią ostro nie paczuszkę.

– Dla ciebie: proszę wejść. Co to za paczka?

– Nie wiem. Przyszła pocztą kurierską z Los Angeles.

Chyba od tego samego młodzieńca, który przysłał kwiaty –

postawił paczkę na biurku. – Jak się czuje moja dziewczynka?

– Dobrze. Nie martw się o mnie, dziadku.

– Wolno mi. Mam to zagwarantowane w umowie. – Była taka napięta od czasu powrotu z Kalifornii.

– Posłuchaj mnie, Liv, to nieważne, a on wyszedł. Ja się z tym pogodziłem. Mam nadzieję, a ty też.

– Pracuję nad tym – wstała, aby uporządkować jakieś papiery. – Właśnie dzwonił Noah. Powiedział, że się z nim widział.

– Zawsze lepiej jest wiedzieć. A ten młody człowiek... – tu Rob wskazał głową kwiaty – każe ci zbyt dużo o znosić naraz. Ale dobrze mu patrzy z oczu. Chyba bym mu zaufał – ruszył do drzwi. – Nie otworzysz przesyłki?

– Nie. Bo to go tylko zachęci – uśmiechnęła się.

Po wyjściu dziadka Olivia rozcięła taśmę nosem do papieru.

Uniosła wieczko i zaczęła grzebać w styropianowych kulkach.

Szkło albo porcelana, pomyślała. Jakaś figurka. Ciekawe, czy Noahowi udało się znaleźć figurkę świstaka, zastanawiała się z rozbawieniem, kiedy ją wyciągała.

Lecz śmiech zamarł jej w gardle. Upuściła ów przedmiot, jakby był żywym wężem gotowym do ataku.

Dygocząc i chwiejąc się na nogach, wytrzeszczała oczy na porcelanową

twarzyczkę

dobrej

wróki,

Dzieweczki

o Błękitnych Włosach, na pozytywce.

– Nigdy nie chciałem być sam – męczyzna trzymał w ręku kawę, którą go poczęstował Noah i mrugał oczyma przed słońcem.

– Samotność zawsze była dla mnie karą. Pora ką. Julie nie miała z tym problemów, często wolała zostawać sama. Nie potrzebowała świateł rampy tak bardzo jak ja.

– A teraz? – spytał Noah, i na twarzy Sama wykwitł

uśmiech.

– Po separacji przerażała mnie perspektywa samotnego mieszkania – spojrzał na dom Noaha, potem na ocean. – Ty chętnie mieszkasz sam?

– Moja praca wymaga sporej porcji samotności. Sam skinął

głową i zamilkł.

Noah rozważał, czy to mądre, eby prowadzić wywiady u siebie w domu. W końcu uznał, e tak jest najwygodniej.

U niego będą mieli spokój, a jeśli zainstalują się na tarasie, Sam będzie, tak jak chciał, na dworze. Noah nie widział adnych przeciwwskazań, tym bardziej e Sam ju i tak miał jego adres.

Odczekał, a jego rozmówca zapali papierosa.

– Opowiedz mi o nocy dwudziestego ósmego sierpnia.

Pamiętasz ją w dwóch wersjach.

– Nie chciałem być wtedy sam – powtórzył Tanner. –

Pałałem gniewem do Julie. Za kogo ona się, do licha, uważała, eby wyrzucać mnie z domu, skoro to ona nawaliła? Wziąłem linijkę koki, eby się trochę pokrzepić, a potem wskoczyłem do wozu i ruszyłem w miasto.

Nie wiem, ile klubów odwiedziłem. Wyszło to na procesie, bo tamtej nocy widziano mnie w różnych lokalach. Podobno byłem w bojowym nastroju, szukałem zaczepki. Zanim ruszyłem do domu, w samochodzie wziąłem jeszcze jedną porcję. Przedtem te piłem. Rozpierały mnie energia i złość, a myślałem tylko o jednym. eby raz na zawsze załatwić, do cholery, nasze sprawy z Julie. Pamiętam zarys drzew odcinających się na tle nieba jak na obrazie. Słyszałem dudnienie serca w głowie. I odtąd zaczynają się dwie wersje.

Spojrzał przenikliwie niebieskimi oczami na Noaha.

– Brama jest zamknięta. Julie podchodzi do domofonu, ka ę jej otworzyć bramę, bo chcę z nią porozmawiać. Staram się panować nad swoim głosem. Wiem, e jeśli pozna, e coś brałem, to mnie nie wpuści. Ona mówi, e jest późno, ale nalegam. W końcu Julie ustępuje. Wje d am do środka. Stoi w oświetlonych drzwiach, ma na sobie białą jedwabną koszulę nocną, którą kupiłem jej na naszą ostatnią rocznicę. Ka e mi się streszczać, jest zmęczona, wchodzi do saloniku. Na stole stoi kieliszek wina, le ą jakieś pisma i no yczki. Podnosi kieliszek.

Poznaje, e coś brałem, zaczyna się złościć. „Dlaczego to robisz sobie? – pyta. – Dlaczego to robisz mnie i Liv?”.

Sam wbija sobie palce w kolano.

– Mówię, e to jej wina, bo wpadła w łapska Manninga, bo wybrała karierę, a nie nasze mał ęństwo. Ona na to, e z nami koniec, ebym wynosił się z jej ycia. e niedobrze jej się robi na mój widok. e się mną brzydzi – Sam jest aktorem, więc wypunktowuje te słowa pauzami i wkładaną w nie pasją.

– Mówi, e nigdy nie była szczęśliwsza ni wtedy, kiedy wywaliła mnie z domu i e nie ma zamiaru obarczać się byłym mę em narkomanem – oczy Sama robią się szkliste.

– Trzymam w ręce no yczki z długimi srebrnymi ostrzami.

Chcę ją dźgnąć. Krzyczy. Krew tryska jej z pleców. Potyka się.

Pada na podłogę. Zadaję raz po raz ciosy no yczkami. I wtedy widzę w progu Liv, która patrzy na mnie.

Sam podniósł do ust kawę roztrzęsioną ręką. Pociągnął

długi łyk. – Pamiętam te drugą wersję. Zaczyna się tak samo, od działki, szlajania się po barach, podsycania wściekłości białym proszkiem. Ale tym razem po przyjeździe zastaję otwartą bramę i drzwi do domu równie otwarte na oście . Wchodzę, z salonu dobiega muzyka.

Wszędzie krew. Podłoga usłana rozbitym szkłem. W głowie szumi mi od wódki i od koki, ale się skupiam. Było włamanie.

I wtedy ją dostrzegam. O Bo e, le y na podłodze – głos mu zadr ał i załamał się tak jak wybuch przemocy w pierwszej wersji. – Kłęczę przy niej, wołam ją po imieniu, usiłuję podnieść. Krew... wszędzie krew. Wyciągam no yczki z jej pleców. Nagle widzę Liv, która na mnie patrzy.

Zapalił kolejnego papierosa. – Policja nie kupiła tej wersji.

Ława przysięgłych te nie. Potem i ja przestałem w nią wierzyć.

– Ja tu nie jestem od tego, eby sądzić.

– Rozumiem. Ale człowiek się zastanawia, prawda?

Nazajutrz Noah postanowił wstąpić do Sama. Chciał zadać mu jeszcze kilka pytań przed wyjazdem na północ. Tym razem 172

poleci, a na miejscu wynajmie samochód. eby nie tracić czasu na przejazd. Zaparkował i ruszył Sunset Boulevard. Minął

bramę do eleganckiej niegdyś kamienicy, wszedł po schodach.

Gdzeniegdzie odłaziła farba, stopnie lepiły się od brudu.

Zapukał do mieszkania na pierwszym piętrze.

– Je eli szuka pan tego starszego gościa, to się wyniósł.

Noah obejrzał się, zobaczył kobietę człapiącą korytarzem.

– A dokąd?

– Nie szpieguję sąsiadów, złociutki. Pan jest gliniarzem?

– Nie. Mam do niego interes.

– Trochę mi pan wygląda na glinę – nie dawała za wygraną.

– A mo e jest pan kuratorem?

– Chciałem z nim tylko porozmawiać.

– Ale go tu nie ma. Wczoraj spakował manatki i się wyniósł.

Olivia długo po godzinach pracy siedziała w gabinecie.

Papierki, niestety, miały to do siebie, e lubiły się piętrzyć.

Przylapała się te na tym, e wciąż zerka na telefon i klnie pod nosem. Jakie to upokarzające, e po trosze dlatego sterczała tak długo w gabinecie, poniewa miała nadzieję, e Noah zadzwoni. A on się od dwóch dni nie odzywał.

Spojrzała w stronę magazynku. Schowała tam pozytywkę, zakopała ją głęboko w szafie. Po co on ją przysłał? W geście pojednania czy jako pogró kę?

Kiedy zadzwonił telefon, Olivia zerwała się jak idiotka, ale po chwili postawiła ze strachu oczy w słup. To musi być Noah, 173

pomyślała. Bo kto inny dzwoniłby tak późno? Odczekała trzy dzwonki. Kiedy podniosła słuchawkę, przedstawiła się krótko i węzłowato: – Centrum Ochrony Przyrody River's End.

Jakby z oddali dobiegła ją muzyka. Roześmiała się. Po chwili jednak zamarła, poznała bowiem melodię ze Śpiącej królowny Czajkowskiego. Wysokie, rzewne, targające za serce tony przypomniały jej tamtą ciepłą letnią noc i metaliczny zapach krwi.

Zdjęta trwogą, zacisnęła rękę na słuchawce. – Czego ode mnie chcesz? Wiem, e to ty! – strach rozlał jej się po wnętrznościach. Najchętniej wczołgałaby się pod biurko.

Schować się. Ukryć. – Nie boję się ciebie. Trzymaj się ode mnie z daleka. Dobrze ci radzę!

Trzasnęła słuchawką i wybiegła.

Gałka drzwi wyslizgnęła jej się z ręki, na co Olivia a jęknęła z frustracji, ale po chwili zacisnęła uchwyt. W centrum było ciemno. Omal się nie wycofała, ale telefon zadzwonił

jeszcze raz. Zdziwił ją jej własny krzyk, kiedy czmychnęła z powrotem do drzwi. Musiała się stamtąd wydostać.

Kiedy dopadła drzwi wejściowych, gałka nagle się przekręciła. Drzwi otwarły się, a w nich zamajaczyła sylwetka mężczyzny.

Wszystko zszarzało i zamazało się Olivii przed oczami. Ten ktoś złapał ją za rękę. Zachwiała się, po czym runęła w ciemność.

– Hej, hej, ocknij się.

Czuła poklepywanie na twarzy. Dopiero po chwili

zorientowała się,

leżała na podłodze, a Noah trzyma ją w ramionach jak dziecko. – Przestań mnie walić, ty idioto –

leżała bez ruchu, zawstydzona i przerażona.

– No, już lepiej. Wracasz do siebie – a odetchnął z ulgą i przypieczętował te słowa pocałunkiem. – Po raz pierwszy w życiu mi się zdarzyło, aby kobieta zemdląca u moich stóp.

Ale jakoś w tym nie zasmakowałem.

– Wcale nie zemdląca.

– W takim razie znakomicie udawałaś. Bardzo przepraszam, że cię przestraszyłem.

– Puść mnie.

– Pójdź – Noah uniósł ją trochę, aby dojrzała jego uśmiech. Na sam widok tych jej bursztynowych oczu i jasnej cery przeszył go dreszcz. – Ale ja się stęskniłem. – Przeszedł

palcami jej włosy. – Wiesz, ile czasu spędziliśmy razem? – Nie wiem.

– Za mało – szepnął i znów nachylił się do pocałunku. Tym razem usta Olivii wydały mu się miękkie i chętne. Jej ręce wyszły mu naprzeciw. Poczuli się zapada, lecz po chwili odzyskali równowagę. – Poczekaj, Liv. Zamknę tylko drzwi.

– Hmm?

Z jej rozmarzonej odpowiedzi tryskały iskry.

– Drzwi. Przecie nie będę się z tobą kochał w otwartych drzwiach.

Znowu zamruczała, próbując sama trzasnąć drzwiami.

Jednak wtedy zadzwonił telefon, na co wyszarpnęła się, chcąc się oswobodzić.

– To tylko telefon – przytrzymał ją w objęciach.

– Puść mnie! To on.

Nie spytał, kto. Tym tonem mówiła wyłącznie o swoim ojcu.

– Skąd wiesz?

W białkach jej oczu błysnęła trwoga.

– Bo ju dzwonił.

– A co mówił?

– Nic – a się skuliła ze strachu. – Nie odezwał się.

– Poczekaj. Nie ruszaj się – Noah odsunął ją i wpadł do gabinetu. Ale kiedy dobiegł do telefonu, dzwonienie ustało.

– To był on – podniosła się, podeszła do drzwi, ale cała się trzęsła. – Nie odezwał się. Tylko puścił muzykę. Tę samą, która szła ze stereo mamy tej nocy, podczas której ją zabił.

Rozdział dziewiąty

Noah zarezerwował pokój, aczkolwiek uprzedzono go, e tylko na jedną noc. Ale wszędzie dokoła były domki kempingowe. Je eli zechce tu zostać, będzie się musiał przenieść.

Z początku chciał wynająć elegancki apartament w którymś hotelu nieopodal, eby móc pracować w dobrych warunkach i uwieść Olivię z klasą. Ale po tym, czego dowiedział się na miejscu, nie chciał się od niej oddalać. Wolał mieć na nią oko, a w tym celu musiał wykazać się większym uporem ni ona.

Próbkę miał ju poprzedniej nocy. Opowiedziała mu 176

o telefonie, o pozytywce i o ył jej dawny strach. Kiedy wyrzuciła go z siebie, znów umocniła się w środku. Gdy więc zaproponował, e odwiezie ją do domu, postawiła się, e zna drogę, e się nie zgubi, e niepotrzebny jej ochroniarz. I e nikt jej nigdzie nie będzie woził.

Noah wyszedł na mały taras na parterze i spojrzał w głęboką zieleń lasu letnią porą.

Nigdy przedtem nie zdarzyło mu się zaciągnąć kobiety siłą do swojego samochodu. Zastanawiał się, czy powinien się wstydzić, e sprawiło mu to taką frajdę. Odstawił ją bezpiecznie do domu, a zanim

uraczyła go po egalnym kuksańcem, zdą ył

jeszcze

przypieczętować

swoje

zwycięstwo

wielce

satisfakcjonującym pocałunkiem.

Teraz z roztargnieniem rozcierał sobie posiniaczone ebra.

W nadziei,

e dziewczyna nieco ochłoneła, ruszył na jej poszukiwanie.

Olivia jednak nie ochłoneła. Przeciwnie, niańczyła raczej swój gniew, jak dobra matka niańczy wystraszone dziecko. Bo wołała kipieć oburzeniem na Noaha, ni dygotać ze strachu za ka dym razem, kiedy w jej gabinecie zadzwoni telefon. Dlatego tak hołubiła ten swój gniew, niemal się w nim pławiała.

Kiedy Noah wszedł do jej gabinetu, wstała powoli i zmierzyła go zimnym spojrzeniem. Potem wykonała gest strzelania z biodra, jak rewolwerowiec. – Wynoś się, łotrze, z mojego gabinetu i z posiadłości MacBride'ów. Je eli w ciągu dziesięciu minut się nie wymeldujesz, dzwonię na policję i ka ę 177

cię aresztować pod zarzutem napaści.

– W to akurat nikt ci nie uwierzy – odparł wesoło, wiedząc, e ten ton ją rozjuszy. – Bo to ja mam siniaki – zamknął za sobą drzwi. – Chcę ci coś zaproponować.

– Zaproponować? – a na niego warknęła.

– Chciałbym powłóczyć się trochę z tobą po okolicy.

Parsknęła śmiechem.

– Akurat!

– Wyrwijmy się tylko we dwoje na trzy dni. Ka de z nas będzie starało się robić to, co robi najlepiej. Zgodziłaś się na wywiad, no więc będę przeprowadzał z tobą rozmowy. A ty uwielbiasz te tereny. Chcę, ebyś mi je pokazała.

– Na u ytek ksią ki.

– Nie, na mój u ytek. Chcę pobyć z tobą sam na sam. Olivia czuła, e jej mocne postanowienie słabnie.

– Przemyślałam to, i nie jestem zainteresowana.

– Jesteś. Po prostu złościsz się na mnie za to, e wczoraj wieczorem wygrałem z tobą siłą. – Noah spojrział na jej rękę i zobaczył nieznacznego sińca nad nadgarstkiem. – O, więc nie tylko ja jestem posiniaczony – uniósł jej rękę, pocałował. –

Przepraszam.

– Daj spokój – wyrwała mu rękę. – No dobrze, zloszczę się dlatego, e widziałeś mnie w chwili słabości. Dlatego, e nie chcesz zostawić mnie w spokoju i e lubię wyrównywać rachunki z tobą, kiedy mnie irytujesz.

– Trudno, więc przez jakiś czas masz to jak w banku.

Chodź, Liv, pobawmy się lepiej w lesie.

– Nie minie doba, a zaczniesz skomleć za swoim laptopem.

– Zało ysz się?

– O sto dolarów.

– Stoi – uścisnął jej rękę.

Zgodnie z instrukcją Olivii Noah kupił cały potrzebny ekwipunek. Zdawało mu się,

e wa y co najmniej

siedemdziesiąt kilo. A po dziesięciu kilometrach będzie wa ył

tonę. Tote zamknął, z niejakim alem, telefon komórkowy i laptop w wynajętym samochodzie. –
Wróćę do was, chłopcy –

mruknął na po egnanie.

– Wygram tę stówę jeszcze przed wyjściem z ośrodka.

– To nie było skomlenie, lecz czułe po egnanie.

Odwrócił się w jej stronę. Olivia miała na sobie luźne, wytarte d insy i koszulkę reklamującą ośrodek River's End. Na nogach solidne buty. Niosła plecak, jakby nic nie wa ył.

Kiwnęła na niego palcem – No, to ruszamy.

Las bez deszczu bardziej spodobał się Noahowi. Teraz przypomniały mu się obrazy z dawnych lat –
zró nicowana kora na wybująłych drzewach, szerokie, gruzełkowate dywany mchu.

Minęli wąski strumyk, zaczęli piąć się długim szlakiem, który prowadził to w górę, to w dół z dala od cywilizacji.

– Spójrz – Olivia zatrzymała się nagle i przykucnęła, stukając palcem w nikle ślady na szlaku.

– Czy by to był...

– Trop niedźwiedzia – dokończyła i wstała. – I to dość świe y.

– Skąd wiesz? Zawsze tak mówią w filmach, e ślady są świe e – powiedział zrzędlawie. – Musiał przechodzić tędy niecałą godzinę temu. Na głowie miał czarny kapelusz, jadł

banana i gwizdał coś na swojską nutę.

Roześmiała się.

– Wszystkie znane mi niedźwiedzie gwi d ą piosenki ludowe.

– Moje gratulacje, Liv – pocałował ją. – Wreszcie zdobyłaś się na dowcip.

Spojrzała na niego spode łba.

– Na szlaku nie ma adnego całowania.

– W moim podręczniku dla turystów nie było takiego zakazu.

Ruszył za nią. Olivia wybrała ten szlak, bo był rzadko uczęszczany – długie spadki terenu prowadziły na stromizny.

Szli przez leśne ostępy, pokonując granie, nad urwiskiem, znad którego rozciągały się widoki na rzekę. Mnóstwo tam było dzikiej zwierzyny.

Przemierzyli szeroki, rwący i przejrzysty strumień. Oba brzegi były zarośnięte naparstnicą i orlikiem. Krajobraz zmienił

się drastycznie – z głębokiej butelkowej zieleni dorzecza rzeki w zapierający dech koloryt starej puszczy, w której światło pikowało z góry strzałami i rozlewało się tysiącami oczek.

Prastare drzewa prę yły się na baczność jak ołnierze, a czubki tych olbrzymów szeptały coś między sobą na wietrze, który nawet nie dolatywał do poszycia.

Noah bez słowa zrzucił plecak.

- Rozumiem, e chcesz odpocząć.
- Chcę tu chwilę posiedzieć. To przepiękne miejsce.
- Czyli nie masz ochoty na kanapkę? Uniósł ze zdziwieniem brwi.
- A kto tak powiedział?

Olivia zrzuciła plecak, rozpięła kieszeń z kanapkami i świeżymi warzywami.

- Jak często tu przychodzisz? – spytał Noah, zabierając się energicznie do jedzenia.
- Prowadzę tu grupy ze cztery, pięć razy do roku.
- Nie chodziło mi o pracę. Jak często przychodzisz tu tak jak teraz, eby posiedzieć i poleniuchować?
- Dawno ju nie byłam. – Westchnęła, oparła się na łokciach, zamknęła oczy. – Bardzo dawno.

Wyraźnie się odprężyła. Jakby wreszcie się wyciszyła.

Wystarczyło, e się lekko uniósł i ju trzymał rękę na jej dłoni.

Serce w niej zatrzepotało. Otworzyła oczy, spojrzała na niego.

- Noah, chyba zaczynasz mnie trochę martwić. Powiedz wreszcie, o co ci chodzi?
- Przecie się z tym nie kryję. Od samego początku coś do ciebie czuję.
- Uważasz, e to zdrowe, jeśli czyjeś uczucie ma początek w morderstwie? Nigdy nie zadałeś sobie tego pytania?
- Nie, ale domyślam się, e ty zadałaś.
- Sześć lat temu nie zadałam. Ale dziś zadaję. To bardzo intymna sfera mojego życia. Noszę w sobie zarówno potwora, jak i ofiarę. Musisz to przemyśleć, zanim posuniesz się... dalej.

– Liv – ujął jej twarz w dłonie, zmiażdżył usta pocałunkiem.

– To ty musisz przemyśleć. Bo w swoich uczuciach posunąłem się już najdalej, jak tylko się da, a reszta te rozwija się w zawrotnym tempie.

Wstała.

– Seks to prosta sprawa. To tylko jedna z funkcji człowieka.

Nie odrywał od niej oczu. Te wstał.

– Z najwyższą, ale to najwyższą przyjemnością udowodnię ci, jak bardzo się mylisz.

Uznała, że lepiej nie wdawać się z nim w tę rozmowę.

Słońce przygrzewało coraz mocniej, a oni piekli się coraz więcej. Przy następnej przeprawie rzeka była bardziej rwąca i kamienista, a dalej spadała ze skały dudniącym wodospadem.

– Spójrz tam – Olivia wskazała ręką, po czym wyjęła lornetkę.

– Łowi ryby.

– Kto taki? – Noah zmrużył oczy. Zobaczył ciemną sylwetkę skuloną na skalistej wysepce na środku białej kipieli. –

Czy by to... To niedźwiedź!

Chwycił podaną mu przez Olivie lornetkę i wpatrywał się w niedźwiedzia, który wpatrywał się z kolei w wodę. Wtem olbrzymia czarna łapa runęła jak błyskawica do wody i wyciągnęła stamtąd wijącą się rybę, migoczącą srebrzyście w słońcu.

– Złapał za pierwszym razem! Widziałaś?

Nie widziała. Obserwowała zaskoczenie i podniecenie w jego oczach, jego bezbrzeżną fascynację tym widokiem.

Noah pokręcił głową z dezaprobatą, kiedy niedźwiedź

wtrząchnął swoją zdobycz.

– Świetnie łowisz ryby, misiu, ale manier przy jedzeniu to ty nie masz – opuścił lornetkę i zauważył, że Olivia mu się przygląda. – Coś nie tak?

– E, nie – być może wszystko albo idzie bardzo dobrze, albo bardzo źle, pomyślała. – Musimy rozbić obóz, zanim się ściemni. Przed nami jeszcze godzina drogi w górę rzeki.

Miejsce spodobało się Noahowi. Zaszli się wśród strzelistych drzew, gdzie rzeka spadała ze stromych skał. Chwilę odpoczywali, łapiąc oddech i podziwiając ten zakątek.

– Pójdę w górę rzeki, eby złapać coś na kolację – Olivia wyjęła składaną wędkę z plecaka. – Jeśli ci się szczęście mi dopisze, najemy się dziś jak niedźwiedzie. Rozbijesz namiot, kiedy będę na rybach?

– W porządku. Idź na polowanie. Ja się zajmę urządzeniem gniazda. Nie przeszkadza mi takie odwrócenie ról.

Do namiotu nie dołączono instrukcji obsługi, co Noah uznał

za istotne niedopatrzenie. Rozbicie go zajęło mu trzy razy tyle czasu i siły, ile zajęłoby Olivii. Uznał jednak, że zachowa to dla siebie.

Minęła przeszło godzina, odkąd uznał, że namiot już się jako tako trzyma. Ponieważ nie miał nic więcej do roboty, sporządził w ręku notatki.

Skupił się teraz na Olivii. Czy byłaby bardziej otwarta, bardziej towarzyska, gdyby

była jej matka? Czy mniej

zaleałoby jej na samodzielności, gdyby wyrosła jako rozpieszczone dziecko hollywoodzkiej gwiazdy? Czy wówczas skierowałaby całą swoją inteligencję i siłę w kierunku świata rozrywki, czy i tak wróciłaby do korzeni matki i wybrała samotnicze życie?

Na pewno by tu wróciła, uznał. Mo e nie zostałaby na zawsze, ale na pewno by ją tu ciągnęło. Tak jak matkę.

Zatęskniłaby za tą okolicą, za jej zapachami i dźwiękami. Teraz te strony były jej potrzebne nie tylko ze względu na pracę i spokój. Tylko tutaj mogła odnaleźć matkę.

Zapisał te myśli, te impresje. Potem wyciągnął się na brzegu rzeki i zasnął.

Olivia złapała trzy dorosłe pstrągi. Znalazła te piękne krzaki czarnych jagód amerykańskich. Wróciła do obozu z pełną ich czapką. Uśmiechnęła się na widok Noaha, śpiącego nad rzeką. Naprawdę go dziś przegoniła, a on nie pękł. Jeden rzut oka na obóz wystarczył, eby stwierdzić, e chłopak i pod tym względem nie zawiódł. Usiadła obok, eby popatrzeć na rzekę.

Wyczuł jej obecność i zaczął o niej śnić. Przewrócił się ku niej, wyciągnął rękę. Odsunęła się i ju miała na końcu języka słowa sprzeciwu, kiedy Noah otworzył zielone, przejrzyste przenikliwe oczy. Dech jej zapało na to, co w nich zobaczyła.

– Posłuchaj, nie mam zamiaru...

Potrząsnął głową, eby ją uciszyć, po czym nie odrywając od niej wzroku, przyciągnął ją do siebie i zamknął jej usta pocałunkiem. A ją ciarki przeszły. Oderwał ręce od jej twarzy i przesuwał nimi po włosach, po ramionach, całując coraz

namiętniej.

Zaczął

narastać

w niej

strach

zmieszany

z po ądaniem, które po chwili zawładnęło nią bez reszty.

Schwyciła go za ramiona, eby go powstrzymać.

– Nie mogę dać ci tego, czego chcesz. Bo tego we mnie nie ma.

Jak mogła nie widzieć tego, co on widział? Nie czuć tego, co on czuł? Musnął wargami jej usta, drażniąc się z nią, drocząc.

– Pozwól się dotknąć. – Zamknął delikatnie palce na jej piersi. – Tu, w pełnym świetle.

Wystarczyło,

e wymówił jej imię, a dziewczyna się zatraciła. W nim, w sobie. Coś w niej pękło, ogarnęła ją dziwna błogość. Kiedy Noah wodził leniwie palcami po jej ciele, a jej się zakręciło w głowie. Doznanie przyjemności przenikało jej skórę, rozgrzewało, uwrażliwiało. Dziewczyna była smukła jak wierzba, uległa jak woda. Urzekająca linia jej szyi przyciągnęła jego usta.

Pochylił się nad nią z naprężonymi mięśniami. – Olivio –

zwrócił się do niej chrapliwie, głosem pełnym pożądania. –

Spójrz na mnie. Bo to dla mnie wa ne. Tylko ty się liczysz.

I zawsze tylko ty się liczyłaś.

I spadł na jej usta namiętym pocałunkiem.

Olivia nie mogła się ruszyć. Nie tylko dlatego, e Noah przygwoździł ją do ziemi całym ciężarem ciała zaspokojonego mężczyzny, lecz również dlatego, e sama osłabła od szturmu własnych zmysłów.

Straciła panowanie nie tylko nad własnym ciałem, lecz

również nad wolą. Musiała ją odzyskać, eby zamknąć się znów w sobie. Kiedy zaczęła się podnosić, by go zepchnąć z siebie, po prostu porwał ją w ramiona, przewrócił się wraz z nią i usidlił na sobie.

Najchętniej położyłaby mu głowę na piersi, zamknęła oczy i leżała tak wiecznie. Ta myśl przeraziła ją śmiertelnie.

– Zaraz się ściemni. Musimy rozpalić ognisko, upiec ryby.

Pogłaskał ją po głowie.

– Mamy jeszcze czas. Odsunęła go.

– Je eli nie chcesz przemarznąć i zgłodnieć, trzeba zebrać chrust. Pociągnął ją znów do siebie.

– Zaraz po niego pójde. Ale ty mi chcesz uciec, Liv. A ja cię nie puszcze. Nie tym razem. – Próbował ukryć swój ból. –

Udajesz, e to tylko porwanie namiętności w lesie, zupełnie nie związane z czymś, co zaczęło się między nami przed laty. Nie uda ci się to.

– Puść mnie, Noah.

– I wmawiasz sobie, e tamto się ju nie powtórzy – dodał
gniewnie. –

e ju nie poczujesz do mnie tego, co wtedy.

Mylisz się.

– To ty mi nie wmawiaj, co myślę i czuję.

– Mówię o tym, co widzę. Co wyczytałem w twoich oczach

– odsunął ją, wstał i poszedł po chrust.

Olivia, rozpalając ognisko i skrobiąc ryby na kolację, zachodziła w głowę, dlaczego w ogóle uwierzyła, e sobie z nim poradzi. Noah złościł się na nią za coś, czego nie umiała, ani zresztą nie chciała w sobie zmienić.

Później, kiedy ju zjedli, a w lesie zapadł zmrok i rozległy się wieczorne hałasy, sama zwróciła się do niego, poprosiła, eby ją objął, aby odgonić nękające ją złe sny i nieodłączny strach. I Noah ukołysał ją w tę noc, zlewając się z nią w jednym, pełnym słodyczy i jak e prostym rytmie.

Gdy zasnęła, wtuliła się w niego, kładąc mu głowę w zagłębieniu ramienia. Noah zaś nie spał, tylko obserwował

poświatę księ yca nad namiotem, słuchał wycia kojota.

Zastanawiał się, jak to mo liwe, e nigdy nie przestał jej kochać.

Odurzony i obolały obudził się na świergot ptaka. Wstał, wciągnął d insy. Przez ostrą woń sośniny i ziemi wciągnął

w nozdrza cudownie cywilizowany aromat kawy. Olivia rozpałiła ju ogień i nastawiła czajnik. Wystarczył mu jeden haust, eby przejrzeć na oczy.

– Dokąd idziemy dzisiaj, Liv? Zdziwiła się.

– Sądziłam, e zechcesz rozpocząć wywiad.

– Dojdziemy i do tego. Jaką trasę wybierasz stąd?

Wzruszyła ramionami.

– Jest stąd jednodniowa trasa, która prowadzi w góry.

Wspaniałe widoki, podniebne hale.

– Brzmi zachęcająco.

Olivia

przyrządziła

jajka

z proszku.

Dopili

kawę.

Z l ejszymi plecakami opuścili obóz i zaczęli się piąć w górę.

Stroma ścieka prowadziła na jeszcze bardziej strome granie. Po lewej wspinał się hen pod niebo las, a po prawej w dole przemykała rzeka. Szli tak urwistą ścieką przyprawiającą 187

o zawrót głowy, sunąc w chłodnym, rześkim powietrzu, w którym szybowwały orły.

Olivia przyglądała się z niemym rozbawieniem Noahowi, który stanął jak wryty i wybałuszył oczy, gdy za kolejnym zakrętem górskie szczyty zawładnęły niebem.

– Gdyby tutaj postawić dom – powiedział – to niczego by się nie zrobiło. Bo człowiek zatraciłby się, podziwiając widoki.

Dlaczego ten chłopak nie mógł być płytki i prosty?

– Te tereny są własnością publiczną.

– Liv, zostań tu ze mną. Postawimy tutaj dom.

Panoramyczne okna w salonie będą wychodziły na tę stronę, ebyśmy mogli codziennie podziwiać zachód słońca. A tam stanie duży kamienny kominek. Dom powinien być jak najbardziej otwarty, mieć wysokie sufity, adnych zamkniętych przestrzeni. I cztery sypialnie.

– A cztery?

– Aha. eby ka de dziecko miało swój pokój. Lepiej pięć –

poprawił się, patrząc z radością, jak zaświeciły jej się oczy. –

Jedna dla gości. No i mój gabinet. Musiałby być spory, z mnóstwem regałów i okien. A gdzie twój gabinet?

– Ja ju mam biuro.

– W domu te musiałybyś mieć. Masz swój zawód. Chyba powinien sąsiadować z moim, ale musielibyśmy przestrzegać higieny pracy. Umieścimy je na drugim piętrze – splótł palce z jej palcami. – Wyobraź sobie przez chwilę, e jesteśmy jedynymi ludźmi na Ziemi i e wylądowaliśmy właśnie tutaj.

Moglibyśmy spędzić tutaj resztę

ycia, nie posiadając się

z rozkoszy.

Błękit, biel, zieleń, srebro. Cały świat składał się z tych dominujących kolorów, uzupełnianych maźnięciami w innych odcieniach. Szczyty, kotliny i rwące nurty. Jego ciepła dłoń pasująca jak ulał do jej dłoni. I nic innego. adnego strachu, bólu, wspomnień, adnego jutra.

Zrozumiawszy, e będzie za tym tęskniła, odsunęła się od niego.

– Nie zachwyciłbyś się tak widokami w środku zimy, gdybyś odmroził sobie tyłek i nie mógł tu zamówić pizzy.

Spojrzał na nią cierpliwie, bez słów, a ogarnęła ją fala zawstydzienia.

Kiedy dotarli do celu, Noah nie posiadał się z zachwytu.

Istne morze kwiatów, kolorowe rzeki błyskające w oceanie zieleni, sunące po zalesionym zboczu góry, która dźgała swą iglicą niebo niczym zamkowa wie a. W najwy szych partiach spomiędzy skał i drzew przeświecały migotliwie śnie ne łąty.

Wokół tańczyły białe,

ólte i niebieskie motyle, flirtując

z kwiatami.

– Niesamowite. Nieprawdopodobne. To tutaj zbudujemy dom. Tym razem się roześmiała.

– Co to jest? Łubin? – spytał Noah.

– Masz dobre oko. Łubin szerokolistny – ulubiony przez pospolite tu, na zachodzie, modraszki. A to muchotrzew górski.

– I krwawnik pospolity – patrzył na płaskie białe kwiatki.

– Znasz się na kwiatach. Wcale nie jestem ci potrzebna.

– Owszem – wziął ją za rękę – jesteś. – Odwrócił się i zaskoczył ją subtelnym, lecz rozbudzającym pocałunkiem.

Ju miała się od niego odwrócić, ale znów ją okręcił. – Nie uciekaj. – Zamknęła więc oczy, zanim znów przypieczętował jej wargi swoimi.

– No dobrze – uniósł jej rękę do ust i patrzył, jak zmieszanie zasnuwa mgłą jej oczy.

– Czego szukasz, Noah?

– Ju znalazłem. Tylko teraz musisz za mną nadążyć. –

Niestety, do upragnionego celu prowadziła tylko jedna droga. –

Usiądźmy, Liv. To dobre miejsce. I dobra pora. – Zrzucił

z ramion plecak, przysiadł na kamieniu i otworzył go, eby wyjąć magnetofon.

Na jego widok zaczęła oddychać szybciej.

– Nie wiem, jak się do tego zabrać.

– Siadaj – poprosił łagodnie – opowiedz mi o rodzicach.

– Ojca prawie nie pamiętam. – Nie skomentował. – Był

bardzo przystojny – powiedziała w końcu Olivia. – Tworzyli razem piękną parę. Pamiętam, jak stroili się na przyjęcia, a ja myślałam, e wszyscy rodzice są piękni, chodzą na przyjęcia i ich zdjęcia pokazują w czasopismach i w telewizji.

– Z całą pewnością się kochali – mówiła wolno. – I kochali mnie. Nie mam co do tego wątpliwości. Pamiętam, jak to uczucie z nich kipiało. Ale potem coś się zmieniło.

– Co?

– Zakradły się gniew, nieufność, zazdrość. Wtedy nie znałam tych określeń. Zaczęły się kłótnie. Najpierw późno 190

w nocy. Słyszałam nie tyle słowa, ile głosy, ton głosu. A mi się robiło niedobrze – uśmiechnęła się. – Ale nie zawsze tak było.

Pamiętam, jak kiedyś wziął mnie na rękę. Powiedział: „Liv, kochanie moje” i tańczył ze mną po salonie. Czulałam się wtedy tak bezpiecznie. Ubóstwiałam, kiedy przychodził do mnie, eby mi opowiedzieć bajkę, a opowiadał cudowne bajki. Nazywał

mnie swoją księżniczką. A kiedy wyje dął na zdjęcia, strasznie za nim tęskniłam, omal mi serce nie pękło. Zawsze po powrocie kładł mi na poduszce białą różę.

Olivia przycisnęła rękę do ust, jakby chciała powstrzymać i słowa, i ból.

– Tej nocy, kiedy przyszedł do mojego pokoju, rozbił mi pozytywkę i na mnie nakrzyczał, czułam się, jakby ktoś ukradł

mi ojca, zabrał mi go. Potem nigdy już nie było tak jak przedtem. Tamtego lata czekałam, e mój tata wróci i wszystko będzie tak jak dawniej. Ale nie wrócił. Zamiast niego wrócił

potwór – urwała. – Nie mogę... – powiedziała to ledwie słyszalnym szeptem. Z jej oczu wyzierało bezbrzeżne cierpienie.

– Nie mogę.

– Już dobrze – objął ją czule. Czuł, jak wali jej serce, jak jej ciałem wstrząsają dreszcze przerażenia.

– Nadal mam tę scenę przed oczami, jak on klęczy obok niej, a wszędzie krew i potłuczone szkło. Trzyma nożycki w ręce. Zawołał mnie po imieniu. Wcześniej słyszałam jej krzyk. Krzyk i brzęk szkła. To mnie obudziło. Potem poszłam do jej pokoju i bawiłam się flakonikami. Bawiłam się w jej pokoju, kiedy on ją mordował.

Noah nie mógł nic powiedzieć. Trudno było znaleźć pociechę w słowach. Głaskał ją więc tylko po głowie.

– adnego z nich ju więcej nie widziałam. Nie mówiło się o nich u mnie w domu. Babcia zamknęła je w kufrze na strychu, a ja rozmawiałam o mamie potajemnie z ciocią Jamie, czując się jak złodziej, bo wykradałam od niej kawałki mojej własnej kochanej mamy. Znienawidziłam go za to... za to, e musiałam wykradać własną mamę w tych potajemnych szeptankach.

Noah ucałował jej włosy, kołyszając ją, gdy płakała.

Przygarnął do siebie, utulił na kolanach, dopóki się nie uspokoiła.

Rozbolała ją głowa, zaczęły piec oczy. Ale straszne brzemię z piersi ustąpiło. Zmęczona i zawstydzona, odsunęła się od niego.

Otarł łzę z jej policzka.

– Chyba jesteś zmęczona.

– Nigdy nie płaczę. Ostatnio płakałam z twojego powodu.

– Przepraszam.

– Ugodziło mnie to do ywego, kiedy odkryłam prawdziwy powód twojej wizyty. Po twoim wyjeździe płakałam po raz pierwszy od dzieciństwa. Nie masz pojęcia, jak ja się przez te dwa dni zadurzyłam w tobie.

– Owszem, mam – mruknął. – Chyba nie bardziej ni ja w tobie, Olivio. Po raz pierwszy zobaczyłem cię jako małą dziewczynkę. Coś z tej twojej smutnej twarzyczki jakby wyskoczyło z ekranu telewizora i chwyciło mnie za serce.

Potem ju nigdy nie puściło. Następnym razem zobaczyłem cię 192

dopiero wtedy, kiedy skończyłaś dwanaście lat, wyciągnęłaś się i wyrosłaś na odważną dziewczynę z oczami ściganej łani.

Nigdy cię nie zapomniałem. Zawsze przewijałaś się przez moje myśli. A potem miałaś osiemnaście lat. Otworzyłaś drzwi od swojego mieszkania, taka wysoka, smukła, piękna. Ciut roztargniona, ciut niecierpliwa. Twój uśmiech zwałił mnie dosłownie z nóg. I przestałem być sobą.

Wiem, e cię zraniłem. Nie rozumiałem wtedy ani ciebie, ani siebie. Nawet kiedy tu przyjechałem i znów cię zobaczyłem, to nadal nie rozumiałem. Wiedziałem tylko, e twój widok przyprawia mnie o dreszcz.

– Mieszasz wszystko, Noah.

– Wcale nie – dotknął jej twarzy. – Liv, tego jednego jestem najzupełniej pewien. e kocham cię ponad wszystko.

Radość i strach dosłownie chwyciły ją za gardło.

– Wcale mnie to nie cieszy.

– Wiem. Bo się boisz. Ale to ciebie szukam. Teraz chciałbym się dowiedzieć, czego pragniesz. A na razie powiedz mi jedno: czy twoje uczucia do mnie ograniczają się do kilku iskier?

Czuła prawdziwy ar i tak głęboką, dojmującą tęsknotę, e omal jej serce nie pękło. Odpowiedź wyczytał z jej oczu.

– Kocham cię, Olivio.

Ten człowiek był tak beztroski i pogodny, uznała w duchu Olivia, e trudno mu było nie odpłacić tą samą monetą.

Nieważne, e rano przywitał ich siąpiącą mawką, która 193

z pewnością w ciągu pierwszej

godziny

marszu w dół

przemocząły ich do suchej nitki.

Obudził się, wsłuchał w bębnienie deszczu i stwierdził, e to znak, i powinni zostać w namiocie i kochać się do obłędu.

Nie potrafiła wysunąć rozsądnego argumentu przeciwko jego propozycji.

Wtulił twarz w jej szyję, potem poprosił, eby się nie ruszała, a on tymczasem zaparzy kawy. Umościła się w ciepłym kokonie pod namiotem, rozleniwiona po intensywnym seksie.

Od dziecka nie pozwalała się rozpieszczać, bo wierzyła, e jeśli sama o siebie nie zadba, to ktoś inny zawładnie jej yciem. Tak jak się stało z jej matką. Miłość to słabość albo broń, dlatego postanowiła, e nie pozwoli sobie na nią wobec nikogo spoza rodziny. Bo czy nie odziedziczyła skłonności do obu jej postaci? Czy nie kryła się w niej osoba uległa oraz druga, zdolna do przemocy?

Noah wrócił do namiotu z dwoma kubkami parującej kawy.

W osmaganych słońcem włosach perliły się krople deszczu. Był

boso. Poczula, jak zalewa ją fala miłości, po serce, po czubek głowy.

– Chyba widziałem ryjówkę – podał jej kawę i postawił

własny kubek. – Nie jestem pewien, czy to nie serek, ale zwierzak musiał nale eć do ryjówkowatych.

– Te pierwsze częściej mo na spotkać na nizinach –

powiedziała. – Na tej wysokości to chyba serek.

– Tak czy owak, to coś ryło w poszukiwaniu śniadania.

– One wiecznie jedzą. Zupełnie jak niektóre znane mi 194

osobiście mieszcuchy.

– Jeszcze nie wspominałem o śniadaniu. Owszem, myślałem o nim, ale się nie zająknąłem. Co powiesz na randkę po powrocie?

– Słucham?

– Chciałbym zaprosić cię na randkę. ebyśmy skoczyli na kolację, do kina, moim wynajętym samochodem.

– Sądziłam, e zaraz wracasz do Los Angeles.

– Ja mogę pracować wszędzie. Ty mieszkasz tutaj – Noah wygładził jej zwichrzone włosy. – To jakiś problem?

– Tak, ale mniejszy ni sądziłam. Mniejszy, ni powinien być – Olivia zebrała się na odwagę. – Zale y mi na tobie. Ale nie przychodzi mi to łatwo, bo nie jestem dobra w te klocki.

Przycisnął usta do jej czoła i powiedział krótko:

– To się ucz.

Sam Tanner wyrzał przez okno wynajętego domku. Nigdy nie rozumiał, co ciągnęło Julie w te strony. Takie tu wiatry, chłody, leśne ostępy. Zerknął na specjalnie przywieziony kieszonkowy magnetofon. Chciał odbyć jeszcze jedną rozmowę z Noahem, ale nie wiedział, ile mu jeszcze zostało czasu. Bóle głowy nękały go z zatrwa ającą regularnością. Podejrzewał, e lekarze nie docenili tempa rozwoju choroby. Dlatego zabezpieczył się, przywo ąc taśmy.

Właśnie teraz ból zaczął mu się formować pod czaszką. Sam wysypał tabletki z fiolek – jedne na receptę, drugie, mimo ryzyka, kupione na ulicy. Musiał pokonać ból. Miał watę 195

w głowie. A tyle jeszcze mu zostało do zrobienia.

Olivia, pomyślał z zapiekłością. Musi spłacić dług.

Odstawił fiolki na stolik obok długiego, lśniącego noża i rewolweru Smith and Wesson kaliber 0,38.

Kiedy dotarli do dolnych partii lasu, Noah zaczął marzyć o prysznicu,

spokojnym

pokoju,

własnym

komputerze

i telefonie.

– Przegrałaś zakład – przypomniał jej. – Ani razu nie zaskomlałem za laptopem.

– Owszem. Właśnie zrobiłaś to w myślach.

– To się nie liczy. Płacisz. No dobra, dajmy temu spokój.

Będziemy kwita, je eli wska esz mi, gdzie mogę wziąć prysznic i się przebrać. Na razie czekam na pokój w pensjonacie, a ktoś ewentualnie zrezygnuje, a tymczasem jestem skazany na domek kempingowy i wspólne prysznice. A ja jestem nieśmiały. Olivia roześmiała się.

– Mo emy skoczyć do domu – zaproponowała. – Babcia powinna jeszcze oprowadzać wycieczkę szkolną. A potem najczęściej jedzie na zakupy. Masz na to godzinę, Brady. Bo nie chcę jej denerwować.

– Zdą ę bez problemu. W końcu będzie musiała się ze mną spotkać, Liv – złapał ją za rękę. – Najpóźniej na ślubie.

– Ha, ha – wyrwała mu rękę.

Noah zobaczył najpierw ró ne kolory błyskające spomiędzy drzew. Plamki czerwieni, błękitu i ółci. A na polanie stanął jak wryty. Dom wyglądał jak z bajki. Była to imponująca stara 196

budowla z drewna i z kamienia, zwieńczona dachem na ró nych poziomach, tonąca w kwiatkach. Na ganku stały dwa fotele bujane.

– Coś pięknego – zachwycił się.

– To siedziba MacBride'ów od kilku pokoleń.

– Nic dziwnego, e tu zamieszkałaś. Bo sama jesteś ideałem piękna – pocałował ją z rozmarzeniem. Zarzuciła mu ręce na szyję, lecz wtem usłyszała warkot silnika samochodu piłującego pod górę.

Odskokczyła – ktoś jedzie. To babcia.

Półcię arówka ukazała się ju na zakręcie. Olivia zrozumiała, e nie zdą y poprosić chłopaka, eby znikł. Za późno, zresztą błysk w jego oku podszeptął jej, e i tak nie zgodziłby się kucać dyskretnie wśród drzew. Odwróciła się i zebrała w sobie, czekając, a półcię arówka stanie.

– Ja się tym zajmę.

– Nie – uścisnął jej mocno rękę. – Oboje się zajmimy. Val nie ruszała się z fotela, czekając, a podejda.

– Cześć, babciu – Olivia stanęła przy drzwiach od strony kierowcy.

– A więc wróciłaś.

– Dosłownie przed chwilą. Sądziłam,

e będziesz

oprowadzała grupę dzieci.

– Janine ją wzięła – babcia cedziła gniewnie słowa. –

Chcieliście się zakraść do domu pod moją nieobecność?

Olivia stała jak słup soli, mrugając tylko oczami. Noah wysunął się przed nią.

– Poprosiłem Olivie, czy nie mógłbym wziąć prysznic i się 197

przebrać, poniewa nie dostałem pokoju w pensjonacie. Jestem Noah Brady, pani MacBride.

– Wiem, kim jesteś. To dom Liv – stwierdziła oschle. –

Skoro więc pozwoliła ci się tu umyć, to jej prawo. Ja nie mam ci nic do powiedzenia. Muszę teraz wyładować zakupy.

Podjechała za dom. Noah ruszył za cię arówką.

– Dokąd idziesz? – spytała Olivia.

– Pomóc twojej babci przy wyładunku zakupów.

– Na miłość boską, nie widzisz, e ją zraniłam?

– Widzę. Widzę te , jak ona, do pioruna, zraniła ciebie. Nie mam najmniejszego zamiaru, eby się wycofać. Obie będziecie musiały się do tego ustosunkować.

Ruszył na tył domu i zanim Val zdą yła zaprotestować, wyjął jej torbę z ręki. – Pomogę pani – wniósł

torbę na ganek i wszedł do kuchni.

– Przepraszam – Olivia podbiegła do Val. – Wyrzucę go stąd.

– Tyś ju podjęła decyzję – Val stała sztywno odwrócona tyłem.

– Bo tego nie przemyślałam. Przepraszam. Ka ę mu stąd iść.

– Nie ma mowy – Noah wrócił po dwie pozostałe torby. –

Tak jak ja nie mógłbym ci niczego nakazać.

– Noah, czy mógłbyś po prostu odejść?

– Zostawić cię tu nieszczęśliwą, dręczoną wyrzutami sumienia? – spojrzał przenikliwie na Olivię, a potem zwrócił się do starszej pani. – Przykro mi, e mamy ró ne zdania na temat 198

mojej ksią ki. Przykro mi, e moja obecność panią dra ni. Ale napiszę tę ksią kę i zwią ę się z Olivią. Mam nadzieję, e dogadamy się w obu sprawach, bo ona panią kocha. Na tyle mocno, e stając wobec konieczności wyboru między pani spokojem ducha a własnym szczęściem, zawsze wybierze panią.

– To nie fair – przerwała mu Olivia.

Val uniosła rękę. Najchętniej znieubiłaby tę twarz, uznała ją za zimną i bezwzględną. Najchętniej dopatrzyłaby się w niej egoizmu. Dojrzała jednak tylko błysk gniewu, który nie znikł, odkąd rzuciła się na Olivię. – Nie mam zamiaru dyskutować o tej ksią ce pod swoim dachem.

Noah skinął głową.

– Rozumiem.

– W torbach są artykuły, które mogą się zepsuć –

powiedziała Val, odwracając się od niego. – Muszę je szybko rozładować.

– Pomogę ci – zaczęła Olivia i a syknęła z rozpaczy, kiedy Noah ją wyminął i wszedł za babcią do domu. Nie widząc innego wyjścia, dziewczyna zrzuciła plecak i podą yła za nimi.

Rozpakowując zakupy, Val spojrzała w stronę drzwi, w których zjawiła się Olivia. Zobaczyła zdenerwowanie i stropienie w oczach wnuczki. Zawstydziała się. – Zrzuć przynajmniej ten plecak – zwróciła się do Noaha. – Pewnie ju masz dosyć.

– Je eli się przyznam, Liv nie przestanie mi dogadywać.

Chce,

ebym myślał, i uwa a mnie za ograniczonego mieszcucha, który nie rozró nia stron świata.

- Bo nie rozró niasz – mruknęła Olivia, na co Noah się do niej uśmiechnął.
- A jesteś? – spytała Val. Dojrzała nic porozumienia w tym ich spojrzeniu.
- Ograniczonym mieszczuchem? Nie, proszę pani. Nie jestem. Zakochałem się nie tylko w Liv, lecz równie w tych stronach. Ju wybrałem miejsce pod nasz przyszły dom, ale Liv twierdzi, e to teren parku narodowego.
- On się tylko tak wygłupia – skomentowała Olivia. – Nie ma adnych...
- Ale ze mną jak z dzieckiem – Noah przechylił się przez blat kuchenny. – Liv jest tu szczęśliwa. Tu jest jej dom. Kiedy go tylko zobaczyłem, od razu pomyślałem, e najchętniej wzięłaby ślub na tym podwórku, wśród kwiatów i lasu. Chyba to by jej najbardziej odpowiadało.
- Och, przestań! – wybuchła Olivia. – Nie ma adnych...
- Nie mówiłem do ciebie – rzucił Noah łagodnie, po czym uśmiechnął się promiennie do Val. – Liv szaleje na moim punkcie, tylko musi przyzwyczaić się do tej myśli.

Chcąc nie chcąc, Val musiała spojrzeć łaskawszym okiem na tego młodego człowieka, który najwyraźniej ubóstwiał jej dziewczynkę. – Szczwany z ciebie lis, nie ma co – westchnęła cicho. – No dobrze, idź po swoje rzeczy. Ulokuję cię w pokoju gościnnym.

- Dziękuję – ucałował serdecznie Olivię. – Zaraz wracam.
- Ja... – ledwie trzasnęły za nim drzwi z siatki, Olivia wyrzuciła ręce do góry. – Wcale nie musiałaś. Mógłby zostać na 200

kempingu.

- Kochasz go? – spytała Val.
- Ja... tylko... – szukała rozpaczliwie wyjścia.
- Kochasz go, Liv?

Mogła jedynie skinąć głową, bo oczy nabiegły jej łzami.

- A gdybym powiedziała, e nie chcę go znać i e powinnaś uszanować moje uczucia?

Olivia zeszywniała.

- To bym... to bym go wyrzuciła.

– Och, Liv – babcia zakryła twarz i wybuchła płaczem. –

Czyli on miał rację. Odwróciłabyś się od niego, mimo nakazu własnego serca, gdybyś uważała, że mi na tym zależy. Chciałam zobaczyć w nim egoistę, a to ja okazałam się egoistką.

– Ale skąd.

– Wychowywałam cię, Liv – Val pogłaskała Olivie drzącą ręką po głowie. – Najpierw z korzyścią dla ciebie i dla siebie, ale... z upływem czasu... tylko dla siebie. Straciłam Julie i dlatego przyrzekłam sobie, że tobie nie mogę spaść włosów z głowy.

– Zajmowałam się mną.

– Owszem, zajmowałam. Kochałam cię i potrzebowałam, Liv. Potrzebowałam tak bardzo, że nigdy nie puściłam cię od siebie.

– Nie płacz, babciu – łzy babci rozdzierały Olivii serce.

– Jest mi wstyd, że opuściłam cię, kiedy zdecydowałaś się na współpracę przy tej książce. Widziałam, że to ci jest

potrzebne, ale wycofałam się i kazałam ci z tego powodu 201

cierpieć.

– Muszę dowiedzieć się, dlaczego do tego doszło.

– Nigdy ci na to nie pozwoliłam. Sobie zresztą też – Val przygarnęła Olivie do siebie. – Nadal nie wiem, czy potrafię stawić temu czoło. Ale wiem, że zależy mi na twoim szczęściu.

Nie tylko na bezpieczeństwie. Nie mogę być samym

bezpieczeństwem – babcia otarła łzy. – Najlepiej, jeśli ten młody człowiek zostanie tutaj. Przekonam się, czy jest dla ciebie dość dobry. Jeśli go uznasz, że nie jest, ja go dopilnuję, żeby dziadek przemówił mu do rozumu. Teraz pójdę na górę sprawdzić, czy pokój gościnny nadaje się do użytku.

– Ja to zrobię. Tylko zaniósę plecak na górę. Babciu, jak ja cię kocham.

– Wiem, kochanie. No, pędź teraz. Muszę się ogarnąć.

Porozmawiamy później, Liv – mruknęła za dziewczyną, która biegła już po schodach. – Bo dawno nie rozmawialiśmy.

Olivia wbiegła rącho na piętro i otworzyła z impetem drzwi swojego pokoju. Tam, na poduszce jej łóżka, skąpana w promieniach słońca, leżała biała róża.

Rozdział dziesiąty

Zamarła z przerażenia. W głowie rozdzwoniły się dzwony –

oszałałe,

histeryczne,

przyprawiające

o ciarki

w krzyku.

Najchętniej schowałaby się w mysią dziurę.

Potwór był tutaj. Pod tym dachem. Wtargnął do jej domu.

A babcia jest w kuchni sama. Olivia roztrzęsionymi rękami

sięgnęła po nóż za pasem, wyrwała go z pochwy. Ju nie była bezbronnym dzieckiem. Będzie broniła tego, co kocha.

Wypadła na korytarz i zaczęła przemykać się cicho z pokoju do pokoju, ostro nie jak tropiciel, który chce podejść jelenia.

Wszędzie szukała najdrobniejszego bodaj znaku, choćby zmiany zapachu. Kolana jej się trzęsły, kiedy podeszła do drzwi prowadzących na strych.

Czy mógł się tam schować? Czy domyśliłby się, że

u szczytu tych wąskich schodów kryją się porządnie poukładane skarby, które zostały po jej mamie? Wyobraziła sobie, że wchodzi na górę i widzi go tam nad otwartym kufrem, a zapach mamy walczy w tym zatęchłym powietrzu o życie.

Olivia zamachnie się i wbije w niego nóż, tak jak on niegdyś wbił noż w jej matkę. Ale ręka opadła jej bezwładnie na gałkę drzwi. Dziewczyna chciała zapłakać i nie mogła.

Na

odgłos

samocho

zajadającego

pod

dom,

zaryglowała

drzwi

i podbiegła

do

okna.

Zobaczyła

wysiadającego Noaha.

Ju po chwili usłyszała jego kroki na schodach. Schowała z powrotem nó i wyszła na korytarz.

– Daj, pomogę ci – wzięła od Noaha walizeczkę laptopa.

Została mu tylko torba podró na. – Pokój gościnny jest tutaj.

– Dzięki – wszedł do środka, rzucił torbę na łó ko. – To się bardziej nadaje dla ludzi ni tamte budy.
A wiesz, kto przyjechał?

– Kto?

A zmru ył oczy, taką dosłyszał trwogę w jej głosie.

– Liv, co jest?

Potrząsnęła tylko głową. – No kto?

– Moi rodzice. Są w pensjonacie – odparł Noah. – Ju jakiś czas temu zarezerwowali pokój. – Wziął ją za rękę. Była wilgotna i zimna. – Natychmiast mów, co się stało.

– Był tu mój ojciec – odparła blada jak kreda. – Na poduszce znalazłam białą różę.

– Zostań tu – chłód przeszył jego oczy.

– Ju przeszukałam dom. Poza strychem. Nie mogłam tam wejść...

– I bardzo słusznie – Noaha a coś ścisnęło w brzuchu na tę myśl. – Zostań tutaj albo zejdź na dół do babci.

– Nie, nie rozumiesz. Nie mogłam tam wejść, bo tak bardzo chciałam go tam znaleźć. Chciałam go zabić. Zabić swojego ojca. Bo e, jak ja tego pragnęłam. Kim więc według ciebie jestem?

– Człowiekiem. – To słowo podziałało na nią jak policzek. –

Nie ma go tu, ale lepiej się poczujesz, jeśli się upewnimy.

Zamknij drzwi na zasuwę, Olivio, i czekaj na mnie.

Z obrzydzeniem do samej siebie usłuchała go. Schowała się tak, jak ju raz schowała się przedtem. Kiedy wrócił, spojrzała na niego pustym wzrokiem.

– Nikogo tam nie ma. Musimy powiedzieć twoim dziadkom.

– Babcia się przerazi.

Ujął jej twarz w swoje ręce.

– Ale musi wiedzieć. Spróbuj odszukać dziadka w pensjonacie. Ja pójdę po rodziców.

Zaryzykował. Podjął głupie, lecz satysfakcjonujące ryzyko.

Przecież ktoś mógł go na tym przyłapać. Siedział teraz w swoim pokoju i uniósł kieliszek bourbona do ust wciąż roztrzęsioną ręką. Ale ręka nie trzęsła mu się ze strachu. Lecz z podniecenia.

yciem.

Przez dwadzieścia lat wypełniał przepisy. Robił to, co należało. Stosował się do reguł gry. Nie wyobrażał sobie nawet, co znaczy się od tego uwolnić. Wolność niosła ze sobą grozę.

Niosła wyzwolenie.

Ona zrozumie, co znaczy ta różnica. Na pewno nie zapomniła tego symbolu. Tata wrócił.

Cóż za precyzja! Ledwie wyszedł tylnymi drzwiami – czy to nie cudowne, że tacy ludzie nie zamykają drzwi? – kiedy zobaczył ich wychodzących z lasu. Jego mała Liv z synem tego gliniarza,

ironia

warta

niezłego

scenariusza.

Fatum,

przeznaczenie zatoczyło pełne koło i sprawiło, że córka

ukochanej przez niego kobiety połączyła się z synem gliniarza, który prowadził śledztwo w sprawie jej zabójstwa.

Julie, jego piękna Julie. Myśl o niej napawała go niewymownym cierpieniem.

Jak mógł przypuszczać, że w Liv, która wybierze już innego mężczyznę, zobaczy po tylu latach Julie? Smukłą, piękną Julie tulącą się do innego? Jak mógł przypuszczać, że zapamięta w koszmarnej obłądztwie, co to znaczy zgładzić ukochaną osobę?

I odczuwać przemożną potrzebę, aby ten czyn powtórzyć?

Wziął do ręki nóż i obrócił go w świetle lampy.

– Musisz zadbać o podstawowe środki ostro ności. – Frank siedział w salonie MacBride’ów. Znow ta sprawa do mnie wróciła, pomyślał.

– Na jak długo? – spytała Olivia.

– Jak długo będzie trzeba. Nie wolno ci wychodzić samej.

I zacznij zamykać drzwi na klucz.

Olivia pokiwała głową.

– Ale my nie możemy nic zrobić, prawda?

– Liv, on nie zrobił nic, do czego moglibyśmy się przyczepić.

– Czai się – warknął Noah.

– Trzeba by tego dowieść. Telefon bez pogródek, prezent i kwiat zostawiony w domu stojącym otworem. Utrzymałyby, a szukał tylko kontaktu z córką, której nie widział od dwudziestu lat. A to nie jest sprzeczne z prawem.

– Przecie to morderca – Rob położył Olivii rękę na ramieniu.

– Ale odsiedział wyrok. Zresztą możemy w istocie... – Frank potoczył wzrokiem po twarzach zebranych
– ...tylko szuka kontaktu.

– To dlaczego nie odezwał się przez telefon?

Frank utkwiał oczy w Olivii. Trochę zbladła, ale poza tym nieźle się trzymała.

– Nie siedzę mu w głowie. Zresztą nigdy nie potrafiłem go przejrzeć. Możemy poprosić o pomoc miejscową policję.

Niechby nam sprawdzili, czy Tanner jest w okolicy.

– A jeśli jest?

– To sobie z nim porozmawiają. – Ja te porozmawiam, pomyślał Frank. – Jeśli się z tobą skontaktuje, będziemy mogli twierdzić, że ci zagrała. – Zawahał się, wstał. – Liv, pamiętaj jedno. On jest teraz na naszym gruncie. Wyrwany ze swojego otoczenia. No i jest sam. A ty nie jesteś.

Te słowa, zgodnie z jego zamiarem, podniosły ją wyraźnie na duchu. Równie wstała.

– Cieszę się, że tu jesteście – uśmiechnęła się do Celi. –

Oboje.

– Wszyscy jesteśmy przy tobie – Val wstała. – Chciałabym was zaprosić na kolację.

– To może w czymś pomogę? – Celia objęła babcię Olivii.

Obie panie ruszyły do kuchni.

– Nawet nie zaproponowałem wam nic do picia. –

Skonsternowany Rob przypomniał sobie o roli gospodarza. – Na co macie ochotę?

– Wolałbym najpierw rozprostować nogi – powiedział

Frank. – Noah, przejdziemy się?

– Jasne – odwrócił się do Olivii, pocałował ją. – Zaraz wracam. Frank poczekał, a znajdą się na zewnątrz.

– Rozumiem, że z Olivią łączy cię coś więcej niż tylko ksiądzka.

– Kocham ją i chcę się z nią oenić.

– Na przyszły raz, synu, miej wzgląd na mój wiek. Ka mi najpierw usiąść.

Noah był w buńczucznym nastroju.

– A co, masz z tym jakiś problem?

– Nie. Jestem od tego jak najdalszy – Frank wpatrywał się pilnie w twarz syna. – Chodzi o coś innego. Znalaziono Caryn w Nowym Jorku z fotografem, którego poznała na jakimś przyjęciu.

– Oby ju tam została. Mo e to wystarczy, je eli będzie nas dzielił cały kontynent. – Przypomniał mu się Mike. – I co, oskarzono ją?

– Przesłuchano. Jednak wszystkiemu zaprzecza. Ma niezbite alibi na wieczór, w którym Mike został ranny. Była wtedy na jakimś przyjęciu. Pół tuzina ludzi widziało ją na imprezie w eleganckiej willi. Policja zawęziła przypuszczalny czas ataku do pół godziny. W tym czasie Caryn na oczach około dwudziestu świadków wisiała na tamtym fotografie.

– Innymi słowy... – Noah urwał, bo poczuł ściskanie w brzuchu. – Tanner? Wiedział, gdzie mieszkam. Ju wyszedł

i wiedział, gdzie mnie szukać. Co za łotr! Ale po co?

– Mo e chciał się przekonać, co chcesz udowodnić swoją ksią ką. A w notatkach miałeś nazwiska, adresy.

– Czy by wszystko sprowadzało się do zemsty? Czy by chciał się odegrać na ludziach, którzy świadczyli przeciwko niemu?

– Nie wiem. Ale jedno jest pewne, e ten człowiek jest bliski śmierci. Czyli nie ma nic do stracenia.

Nie miał nic do stracenia. Siedział więc leniwie, pił wolno drinka i patrzył, jak zapada zmrok. Otulił błogo ból poduchą 208

środków odurzających, które pływały mu teraz w głowie zmieszane z alkoholem. Tak jak za dawnych lat.

Chciało mu się śmiać. Chciało mu się płakać.

Czas uciekał. A dziw, e włókł się przez te dwadzieścia lat, a po jego wyjściu na wolność ruszył sprintem niczym biegacz z linii startu. Te mi wolność? eby umrzeć na raka?

Podniósł broń. Nie, nie pozwoli,

eby rak go zabił.

Wystarczy odrobina odwagi. Tak na próbę skierował pistolet na siebie, rozchylił lufą usta jak do pocałunku.

Da radę. Ale jeszcze nie teraz. Najpierw była Liv.

Przez całą kolację Noah patrzył z podziwem na matkę.

Wyciągnęła

Oliwię

z przygnębienia,

wypyując

ją

o najrozmaitsze rzeczy, od susłów zagro onych wyginięciem –

skąd ona czerpie te wiadomości? – po zwyczaję godowe rybołówów.

Valeria

podsunęła

Frankowi

półmisek

ziemniaków

z ziołami.

– Weź, proszę, dokładkę.

– Pyszne to wszystko, Val. – Nałó ył sobie.

– Frank zaledwie toleruje moją kuchnię – wtrąciła Celia.

– Kuchnię? – Frank puścił oko. – Odkąd to prowadzisz kuchnię?

– No, wiecie państwo – obruszyła się Celia i dźgnęła go artobliwie pod ebra. – Więc tyle lat, przez które harowałam przy kuchni dla swoich panów, to nic?

– I te tony tofu, które im serwowałaś... – mruknął Noah. –

Za to jesteś naprawdę urocza, mamó. Prawda, e jest urocza? –

pocałował ją w rękę.

– Uwa asz, e mnie tym udobruchasz? Doło ył sobie jeszcze ziemniaków. – Aha.

I tym stwierdzeniem podbił serce Valerii MacBride. Omal nie westchnęła. Jak mogłaby się gniewać na chłopca, który najwyraźniej tak kochał matkę? Podsunęła mu koszyk z pieczywem.

– Weź jeszcze bułeczkę, Noah.

– Dziękuję.

Tym razem, kiedy się do niej uśmiechnął, odwzajemniła uśmiech.

Nazajutrz Olivia poprowadziła grupę na szlak. Kiedy szli przez las, doliczyła się piętnastu osób. Łącznie z Celią. W ten sposób udało jej się przekonać Noaha, eby został i popracował

w spokoju.

Wyjaśniła, na czym polega w puszczy cykl przetrwania, dziedzictwa, tolerancji. Członkowie wycieczki a wyciągali szyje, mruzczyli z podziwu, pstrykali zdjęcia, kiedy ona mówiła o najwyszej warstwie lasu. Pokazała im głęboko rzeźbioną korę jodły amerykańskiej, fioletowy odcień szyszek miejscowego świerku.

Przemawiając do grupy, powiodła wzrokiem po twarzach, eby zobaczyć, kto słucha. Jej uwagę zwrócił postawny męczyzna. Miał kapelusz, koszulę z długimi rękawami i dżinsy tak nowe, e mogłyby same stać. Nie widziała jego oczu

zasłoniętych ciemnymi okularami, ale czuła, e są utkwione w niej.

Uśmiechnęła się do niego machinalnie.

W grupie znajdował się zapalony fotograf-amator, który przycupnął teraz przy pniu i nastawił obiektyw na grzyby.

Wykorzystała pasję tego człowieka,

eby zmienić temat

i zwróciła uwagę wycieczki na opieńki, które usiłował

uwiecznić na zdjęciu. Męczyzna w ciemnych okularach podszedł bliżej, ale się nie odzywał. Jakby czekał. Widziała krople potu na jego twarzy.

– Wilgoć i chłód... – Skąd u niego taki pot, zastanowiła się.

– Wilgoć i chłód tutejszej puszczy – rozpoczęła jeszcze raz –

zapewniają idealne środowisko dla rozwoju bujnej roślinności.

A ona z kolei podtrzymuje życie na świecie.

Na krzyk orła wszyscy zadarli głowy. Chocia od nieba odgradzał ich gruby baldachim koron drzew, Olivia zaczęła mówić o ptakach.

Mężczyzna w okularach potknął się i wpadł na nią, złapał ją za rękę. A podskoczyła, mężczyzna zachwiał się i wpadł

w chaszczę.

– Przepraszam – szepnął. – Nie chciałem nic złego.

– Nic mi się nie stało. A panu? Bo jest pan trochę roztrzęsiony.

– Bo jestem... Bo pani jest... – palce drąży mu na jej ręce. –

Pani jest świetną przewodniczką. Cieszę się, że się tu wybrałem.

– Dziękuję. Lubimy sprawiać przyjemność naszym gościom. Czy my się znamy?

– Nie – ręka mu opadła. – Nie, nie, pani mnie nie zna.

– Panno MacBride, proszę nam powiedzieć, co to za rośliny?

– Oczywiście. Przepraszam na chwilę. – Olivia podeszła do trzech kobiet, które przykucnęły nad sporą polanką rdzawego porostu. – Potocznie nazywają go psim mchem. Jeśli się uruchomi wyobraźnię, mo na zobaczyć kolejne rzędy psich kłów.

Przyłapała się na tym, e rozciera sobie rękę tam, gdzie otarł

się o nią ów nieznajomy. Jednak wydało jej się teraz, e go zna.

Coś w jego... Rozejrzała się za nim. Ale znikł.

Z walącym sercem policzyła uczestników wycieczki.

Piętnaście osób. Tyle miało iść i tyle było. Ale przecie widziała go, najpierw na obrze u grupy, potem w jej środku. Podeszła do Celi. – Widziała pani wysokiego, szpakowatego, krótko ostrzy onego mę czyznę w okularach słonecznych? Dobrze zbudowany, chyba pod sześćdziesiątkę.

– Nie zwracałam uwagi na ludzi. Ktoś się zgubił?

– Nie, tylko ja... E, nic – odpowiedziała. – To musiał być samotny turysta, który przyłączył się do nas na chwilę. Mniejsza o to.

Po powrocie do ośrodka Olivia z satysfakcją stwierdziła, e wielu członków jej grupy ruszyło do stoiska z ksią kami.

– Czy mogłabym zaprosić cię teraz na obiad? – spytała Celia.

– Dziękuję, ale mam jeszcze pracę. – Dostrzegła minę Celi, 212

westchnęła. – Proszę się o mnie nie martwić. Będę przykuta do biurka. Na później mam zaplanowane dwie pogadanki i kolejną grupę z przewodnikiem.

– O której masz pierwszą pogadankę?

– O trzeciej.

Celia cmoknęła dziewczynę w policzek.

– No, to do zobaczenia o trzeciej.

Olivia ruszyła do swojego gabinetu. Dwa kroki od biurka zamarła. Patrzyła z osłupieniem na białą ró

ę le ąc ą w poprzek bibularza.

No wi ęc tak. Zmienił si ę. Dwadzieścia lat wi ęzienia odbiło si ę na jego twarzy. Chwytając oddech, rozmasowała sobie r ękę, której nie tak dawno temu dotknął.

– O Bo e, tato.

Był tak blisko. Nawet dotknął jej r ęki, a ona go nie poznała.

Spojrzała mu w twarz i nie poznała. Rodzona córka uśmiechnęła si ę do niego jak do obcego człowieka.

Usiadł na ławie, popił tabletki wod ą z butelki. Chustk ą do nosa otarł lepki pot z twarzy.

Musi go poznać, obiecał sobie. Przed końcem dnia spojrzy na niego i go pozna. I wtedy wszystko si ę skończy.

Noah zamknął laptop i zszedł na dół przez pusty dom.

Olivia powinna ju wrócić z wycieczki. Zreszt ą chciał si ę oderwać od ksi ą ki. Wychodząc sprawdził, czy drzwi s ą zamknięte.

Ruszył w stronę ogrodu. Na odgłos samochodu przypomniał

sobie,

e nie przypasał no a. Kiedy w chromie i w szkle przestały migotać oślepiające promienie słońca, rozpoznał za kierownicą Jamie Melbourne.

Zanim

podszedł

do

samochodu,

otworzyła

drzwi

i wyskoczyła.

– Wszystko w porządku? Wszyscy zdrowi?

– Tak.

Oparła się o zderzak.

– Przez całą drogę wyobra ałam sobie najgorsze rzeczy.

Mama powiedziała mi, e on był tu, w domu. Nie prosiła, ebym przyjechała, ale musiałam.

– Nikt go nie widział. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Liv jest teraz w centrum, a pani rodzice w pensjonacie z moimi.

– To dobrze. Wspaniale – odetchnęła z ulgą. – Nie jestem histeryczką, ale wczoraj wieczorem omal nie wpadłam w histerię. David wyjechał do Chicago i przez wiele godzin nie mogłam się z nim skontaktować. Dopiero jego głos dodał mi otuchy. Te ju tu jedzie. Odwołał wszystkie spotkania. Teraz musimy trzymać się razem, dopóki... – Oczy jej spochmurniały.

– Dopóki co, Noah?

– Dopóki to się nie skończy – dopowiedział.

– Wniosę бага .

– Pomogę pani.

– Nie trzeba. Mam tylko torbę podróżną. Zresztą, szczerze mówiąc, chętnie ją wniosę, eby chwilę побыć sama.

– Właśnie zamknąłem – wyjął klucz z kieszeni. – Pójdę zajrzeć do Liv.

Jamie wzięła od niego klucz.

– Dbasz o nią – przyjrzała mu się. – Poza tym chyba jesteś silnym facetem, co, Noah?

– Przy mnie nigdy nie będzie się musiała martwić o to, czy jej nie opuszczę. I o to, czy ją kocham.

Z oczu kobiety wyzierało zmęczenie.

– Wiem, jakie to wa ne. Spójrz, co za ironia. Julie tak na tym.. i tylko na tym.. zależało. A ja to znalazłam. Cieszę się, że jej córka również. – Otworzyła bagażnik i wyciągnęła z niego torbę.

Noah poczekał, a Jamie wejdzie do domu i zamknie za sobą drzwi na zasuwę. Potem ruszył, rozglądając się czujnie, w stronę centrum.

Olivia cichutko przepytowała wszystkich członków personelu, czy nie zauważyli, aby ktoś wszedł do jej gabinetu. Kiedy zaprzeczyli, wyszła na dwór i ruszyła w kierunku pensjonatu.

– Hej! – Noah przemierzył parking w jej stronę.

Uśmiechnęła się smętnie.

– Znowu na biurku w gabinecie znalazłam białą różę.

– Idź do pensjonatu – poprosił opanowanym głosem Noah. –

Ja się tu rozejrzę.

– Nie, poczekaj. Przepytalam wszystkich. Nikt nie zauważył, aby ktokolwiek wszedł do mojego gabinetu. Dwie osoby podczas zbiórki do wymarszu zauważyły wysokiego

człowieka z krótkimi siwymi włosami, w ciemnych okularach i w sztywnych nowych dżinsach. Ja też widziałam go na szlaku.

Dołączył do grupy. Zagadnął mnie. W pierwszej chwili go nie poznałam. Wyglądał znacznie starszy niż powinien, ale coś mi mówiło, że go znam. Kiedy zobaczyłam różę, od razu stanęła mi przed oczyma jego twarz... To on.

– Czy coś ci powiedział, Liv?

– Nic specjalnego. Jestem dobrą przewodniczką i nie się cieszę, że tu jest. Noah, on mi wcale nie wyglądał na potwora.

Raczej na chorego, steranego człowieka. Jak on mógł zrobić to, co zrobił? Jak mógłby zrobić coś takiego teraz i mieć taki znuony wygląd?

– Podejrzewam, że on sam nie zna odpowiedzi na te pytania.

Noah dostrzegł jakiś ruch, jakiś cień, więc podniósł wzrok.

Zobaczył Sama Tannera wychodzącego z lasu.

Olivia tego zauważyła, kiedy przystanął na drugim krańcu parkingu. Patrzyli na siebie w tej wietrznej ciszy, tak jak niegdyś przez zbryzganą krwią podłogę.

Lecz w tym momencie on odwrócił się na pięcie i czmychnął bez słowa do lasu.

– Poszukaj mojego ojca – powiedział Noah, odpinając jej nóg od pasa. – Powiedz mu, co tu się stało i nie wychodź

z domu. Zostań z ciotką. Uprzedź ją, żeby i ona miała się na baczności.

– Co? Ciotka Jamie?

– Przyjechała, kiedy wychodziłem z domu. No idź.

Olivia patrzyła ze zgrozą, jak Noah przypasuje sobie jej nóg.

– Proszę cię, nie ścigaj go. Nie wiesz, do czego jest zdolny.

– A on nie wie, do czego ja jestem zdolny. Miłość to nie wszystko. Musisz mi jeszcze zaufać. Skończmy z tym raz na zawsze.

Noah musiał zdać się na swoje zmysły. Wytężył słuch, eby pochwycić najlżejszy szelest krzaków. W lewo? W prawo?

Prosto. Kiedy zapuścił się głębiej, otoczył go zielony półmrok.

Doleciał go cichy pomruk grzmotu. Zbierało się na burzę.

– Nie masz co biec, Tanner – zawołał, zaciskając dłoń na no u Olivii. – Nie dostaniesz jej. – Deszcz zaczął się z sykiem przedzierać przez baldachim. – Przecie to twoja córka. Co ci to da? Po co miałbyś ją teraz krzywdzić?

– Po nic – Sam wynurzył się z gęstwiny jodeł. Rewolwer w jego drżącej ręce lśnił matowym blaskiem. – I nigdy nie miałem powodu. Ani wtedy, ani teraz. Myślałem, e wiesz.

Olivia dobiegła do drzwi pensjonatu. Wpadła do środka.

Rozejrzała się nerwowo w prawo i w lewo. Wokół kłębili się goście albo odpoczywali na fotelach i kanapach. Nie wiedziała, gdzie szukać Franka.

Okręciła się na pięcie, dobiegła do recepcji, złapała recepcjonistę.

– Posłuchaj uważnie. Musisz odszukać Franka Brady’ego.

To nasz gość. Powiedz mu, e Sam Tanner poszedł do lasu. Na wschód, Nizinnym Szlakiem. Zapamiętasz?

– Na wschód, Nizinnym Szlakiem.

– Powiedz mu,

e Noah ruszył za nim. Niech ktoś

z personelu zadzwoni do mnie do domu. Jest tam moja ciotka.

Niech pod adnym pozorem nie wychodzi, tylko czeka na mnie.

Ogłoś, e nikomu nie wolno wychodzić do lasu.

– Ale dlaczego...

– Nie pytaj, tylko rób – warknęła. – I to ju .

Pędem rzuciła się na zaplecze. Musi znaleźć jakąś broń. Coś do obrony. Otwierała jak szalona kolejne szuflady biurka.

Wreszcie znalazła no yce – z długimi srebrzystymi ostrzami.

Chwyciła je i zatknęła sobie za pas. Czy to ręka sprawiedliwości? – pomyślała. Czy mo e fatum?

Kiedy skoczyła w las, rozpadało się ju na dobre.

Noah miał umysł przejrzysty jak kryształ. Nie myślał

o rewolwerze, ale skupił się na mę czyźnie.

– Więc nie masz powodu, Sam? Czyli to wszystko, tyle lat spędzonych w zamknięciu, sprowadza się do nas dwóch, ciebie i mnie stojących tu na deszczu?

– Ty jesteś tylko na dokładkę. Nie sądziłem, e będę jeszcze miał okazję z tobą rozmawiać. Nagrałem ci kilka taśm. Do ksią ki.

– Sądzisz, e pozwolę ci stąd odejść?

ebyś zadał jej

choćby jedną chwilę cierpienia? Nigdy jej nie tkniesz.

– Ju jej dotknąłem. Byłem tak blisko. Wyrosła na piękną kobietę. Ma silniejszą twarz ni Julie. Nie tak piękną, ale silniejszą. Nie poznała mnie. Nic dziwnego. Dla niej nie yję od dwudziestu lat.

– I dlatego to wszystko zaaranowałeś – eby ożyć w jej oczach? Udzieliłeś mi wywiadu do książki, eby rozgrzebać dawne wspomnienia. Przypomnieć jej się, eby po wyjściu znowu móc ją nękać.

– Chciałem,

eby mnie pamiętała. Jestem jej ojcem.

Chciałem, eby chociaż mnie pamiętała. Przynajmniej do tego mam prawo.

– Straciłeś do niej wszelkie prawa – Noah podszedł bliżej. –

Była niewinnym dzieckiem, ale nie wystarczyło ci, eby zabiłeś w niej tę niewinność? Musiałeś jeszcze wysłać jej tę pozytywkę, eby dać o sobie znać. I te telefony, te białe róże.

– Różę. Owszem, kiedyś kładłem jej białą różę na poduszce.

Ale pozytywkę? – nagle Sam zmrużył oczy. – Jaką pozytywkę?

– Z Dzieweczką o Błękitnych Włosach. Taką, jaką rozwaliłeś tamtej nocy, kiedy zaatakowałeś onę w pokoju Olivii.

– Nie pamiętam. Byłem wtedy zaćpany koksem na amen. –

Naraz rozjaśniło mu się w głowie. – Ju pamiętam, pozytywka z wróżką... Straciłem ją z toaletki. Mała płakała, ale obiecałem jej kupić nową.

– Jesteś chory i zmęczony. Odłóż broń. Zabiorę cię stąd.

– Po co? Na dalsze leczenie? Brady, ja ju jestem trupem.

Byłem nim od lat. Po prostu chciałem ją jeszcze raz zobaczyć.

– Odłóż broń.

Sam spojrział na rewolwer w swojej ręce. I parsknął

śmiechem.

– Sądziś, e to dla ciebie? Dla mnie. Tylko nie miałem 219

dotąd odwagi jej użyć. Wiesz dlaczego, Brady? Wiesz, co wymyśliłem, kiedy wkładałem sobie lufę do ust, trzymałem palec na spuście, ale nie mogłem pociągnąć? – powiedział to pewnym siebie, klarownym tonem. – e nie zabiłem Julie. Bo przez całe życie byłem tchórzem.

– Porozmawiajmy o tym. – Kiedy Noah wystąpił naprzód, wyciągając rękę po rewolwer, w krzakach

coś świsnęło, coś się ruszyło. Poczul ostry ból w ramieniu, usłyszał krzyk. Ale ten krzyk nie wyrwał się z jego piersi. Mignęła mu twarz Davida Melbourne'a, kiedy siła ataku rzuciła go na Sama, a obaj przewrócili się na ziemię.

Noah stoczył się na bok, a siarczysty ból przeszył mu ranne ramię, i złapał Davida za nadgarstek ręki uzbrojonej w nóż.

Ostrze wbiło się w śliski od deszczu mech, dosłownie o włos od jego twarzy. Wierzgając do tyłu, Noah odepchnął Davida, po czym rzucił się w stronę pistoletu leżącego na ziemi. Kiedy go złapał, David już umknął do lasu.

– Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że to on – Sam, cięko dysząc i ociekając krwią, podczołgał się bliżej. Oczy miał

szkliste od bólu rozsadzającego mu czaszkę. – Nabiłem sobie głowę, i oglądam się za tuzinem innych facetów. Ale nigdy za nim – jednocześnie usiłował swoją chustką do nosa opatrzyć ranę na ramieniu Noaha. – Mógł poczekać, a umrę, zamiast próbować mnie zabić.

Noah a się wzdrygnął z bólu.

– Jemu nie chodzi o ciebie, lecz o Olivię.

– O nie – strach wyparł ból z oczu Sama. – Tylko nie Liv.

Musimy go znaleźć. Powstrzymać.

Nie było czasu na rozmowy. Noah wahał się tylko chwilę.

– Weź to – odpiął nó Olivii. – Teraz ju cię szukają. Jeśli mój ojciec zdybie cię z bronią...

– Frank tu jest?

– Tak. Melbourne daleko nie ucieknie. Kieruj się w stronę domu. Spróbuję znaleźć go po śladach.

Noah sprawdził broń i puścił się pędem w zieloną gęstwinię.

Olivia najchętniej rzuciłaby się do lasu i krzykiem wzywała Noaha. Opanowała się jednak i szła wolno, po śladach.

Tędy,

skrajem

lasu,

przechodziły

dziesiątki

ludzi

i zostawiały krzy ujące się ślady. Pamiętała, e wybiegł klusem, tote szacowała po długości kroków. Nogi miał długie.

Podobnie jak jej ojciec. Skierowała się na południe w mroczne ostępy.

Rzadka mgła pło yła się po ziemi. Dziewczyna szła szybko, usiłując prześcignąć strach. W ka dym cieniu czaiła się groza, w ka dym kształcie pogró ka. Przyśpieszyła kroku.

Kiedy usłyszała krzyk, strach przeniknął ją na wylot.

Zapomniała o ostro ności i rzuciła się na oslep przed siebie.

Biegła, ślizgając się na wilgotnej ziemi. Wreszcie upadła.

Przemoczone do cna włosy opadały jej kosmykami na oczy.

Kiedy je odgarnęła, zobaczyła krew. Wsiąkała w ziemię.

Dygocząc na całym ciele, Olivia dotknęła opuszkami palców czerwonej plamy. Krew była świeża.

– O nie. Tylko nie to – a się zatrzęsała, gdy strach spadł na 221

nią z siłą burzy lodowej. – Noah! – zerwała się na równe nogi i zawołała go po imieniu, ale odpowiedziało jej tylko jęśliwe echo.

Z tą jedną myślą w głowie, eby go znaleźć, skoczyła naprzód.

Teraz rewolwer leżał ju dobrze w ręce Noaha. Chłopak zawsze wiedział, e w razie konieczności potrafi go użyć.

W sprawach

o śmierć

i życia,

w walce

z zimną

krwią

o przetrwanie.

Przez dwadzieścia lat ten człowiek ukrywał, kim jest i co zrobił. Gdy tamten drugi tracił życie za kratami, on grał

oddanego męża siostry ofiary, kochającego wujka jej córki.

Kiedy bogacił się, kiedy udawał, wciąż tkwiła w nim zbrodnia, krwawa zbrodnia. Kiedy w drzwiach więziennej klatki Sama Tannera przekręcił się klucz, w tym człowieku ponownie do głosu doszedł morderca.

Włamanie, atak na Mike'a – próby niedopuszczenia do powstania księżki, myślał Noah, przedzierając się przez gęstwinę lasu. eby zagłuszyć wyrzuty sumienia, strach przed ujawnieniem. Znow próbował skierować uwagę wszystkich na Sama, eby oskarżyć niewinnego człowieka.

Tyle e tym razem ścigał Olivię. Z obawy, e mogła go jednak widzieć tamtej nocy i przypomni sobie jakiś drobny szczegół, który mógłby współgrać z opowieścią Sama. Nie przypomni sobie, je eli będzie zanadto się bała. Albo je eli nie będzie już.

Wtedy usłyszał, jak Olivia woła go po imieniu.

Potwór wrócił. Cuchnął krwią. I budził grozę.

Nie miała wyjścia. Musiała puścić się biegiem, tyle e tym razem biegła w jego stronę.

Wspaniała gęsta puszcza, która niegdyś była jej rajem, która zawsze była jej sanktuarium, teraz przypominała koszmar.

Majestatyczne drzewa przestały być świadectwem witalności przyrody, lecz stały się ywą pułapką, w którą ona mogła wpaść, a w której on mógł się ukryć. Lśniący kobierzec mchu przybrał

postać bulgoczącego trzęsawiska, które wciągało jej buty.

Przedzierała się przez paprocie, rwąc ich oślizgłe wachlarze na strzępy, potknęła się na spróchniałym pniu, niszcząc załą ki budzącego się w nim ycia. Zielone cienie migwały przed nią, za nią i wołały ją szeptem po imieniu.

Liv, kochanie. Chodź, opowiem ci bajkę.

Z gardła wyrwał jej się jęk. Zawładnęły nią strach i rozpacz.

Krew na jej palcach stała się zimna jak lód. Deszcz zaczął

bębnić miarowo o rozkołysany wiatrem baldachim lasu.

Zapomniała ju , czy to ona ściga, czy sama jest ścigana.

Musi go znaleźć, w przeciwnym razie on znajdzie ją. I wszystko się skończy. Tym razem nie stchórzy. Jeśli pozostało jeszcze jakieś światło na tym świecie, odnajdzie ukochanego mę czyżnę. I to ywego.

Zwinęła dłoń ze śladami jego krwi i uniosła ją do góry jak nadzieję. Jej palce zacisnęły się na jedynej broni, jaką miała przy sobie. Wiedziała, e jest zdolna nawet zabić, eby ocalić 223

yce.

Przez ciemnozielone światło, ścigana jeszcze ciemniejszymi cieniami, dojrzała potwora takiego, jakim zapamiętała go z nawiedzających ją koszmarów.

Był cały zakrwawiony i wlepiął w nią oczy.

Wściekłość, w której nienawiść mieszała się z potwornym lękiem, dodała jej siły.

– Gdzie jest Noah? Coś ty mu zrobił?

Ojciec klęczał, przyciskając rękę do boku, z którego ciurkała krew. Czuł przeogromny ból przenikający a do kości.

– Liv – szepnął błagalnie – uciekaj.

– Przez całe życie przed tobą uciekam. Gdzie jest Noah?

Przysięgam, e cię zabiję, jeśli podniosłeś rękę jeszcze na kogoś, kogo kocham.

– To nie ja. Ani wtedy, ani teraz – oczy zachodziły mu mgłą. – On gdzieś tu jest. Na miłość boską, uciekaj.

W tej samej chwili usłyszeli, jak ktoś przedziera się przez gąszcz. Olivia odwróciła się z nadzieją w sercu. Sam, leżąc u jej stóp, a zadrżał z przerażenia.

– Nie zbliżaj się do niej! – krzyknął. Najwyższą siłą woli dźwignął się na nogi.

– Powinieneś zgnieć w więzieniu – twarz Davida ociekała krwią i deszczem. Nóg w jego ręce też ociekała krwią.

– Wujek David – Olivia wstrząśnięta widokiem wuja z obłędem w oku, w poszarpanym ubraniu, postąpiła naprzód.

Z siłą zrodzoną z desperacji Sam pociągnął ją do siebie.

– Posłuchaj, nie podchodź do niego. To on ją zabił.

– Liv, odejdz od niego. Chodź do mnie.

– Uciekaj – rozkazał Sam. – Uciekaj tak, jak uciekałaś tamtej nocy i znajdź sobie kryjówkę. Odszukaj Noaha.

– Chyba nie masz zamiaru go słuchać – David uśmiechnął

się do niej. – Widziałaś, co jej wtedy zrobił. Nigdy nie był dla niej dość dobry. To ja zawsze byłem przy tobie, prawda, Liv?

– Ona cię nie chciała – Samowi zaczynał się już plątać język. Mówił coraz wolniej, walcząc o to, eby nie stracić przytomności. – Nie kochała nikogo poza mną.

– Zamknij się! – David a poczerwieniał na twarzy. –

Mogłem być na twoim miejscu. Na pewno wybrałaby mnie, gdybyś mi nie wszedł w paradę.

– O Bo e – Olivia patrzyła z osłupieniem na Davida. – To ty. To byłeś ty.

– Dlaczego mnie nie posłuchała? Przecie kochałem ją.

Zawsze ją kochałem. Była piękna jak anioł, była wzorem doskonałości. Miałaby u mnie jak w niebie. A on wdeptał ją w ziemię, myślał tylko o sobie.

– Masz rację. Źle ją traktowałem – Sam osunął się u boku Olivii i szepnął: – Uciekaj...

Ale ona go nie odstępowała.

– Dałbym jej wszystko – łzy trysnęły z oczu Davida. –

Pogodziłem się z odprawą i dałem Jamie wszystko to, co chciałem dać Julie. Po co zało yłem rodzinę, skoro ona i tak miała się z tobą rozwieść?

– Poszedłeś tamtej nocy do naszego domu – podsunął Sam.

– Wiesz, ile mnie to wewnątrz kosztowało? Wpuściła 225

mnie z uśmiechem. Zajmowała się wycinkami. Otworzyłem przed nią duszę. Wyznałem, e jej pragnę i e zawsze jej pragnąłem, teraz więc mam zamiar odejść od Jamie, ebyśmy mogli zamieszkać razem. Spojrzała na mnie, jakbym zupełnie oszalał. Odepchnęła mnie, kazała mi wyjść i zapomnieć o tej rozmowie. Zapomnieć – a splunął z obrzydzeniem.

– Czyli kochała mojego ojca – szepnęła Olivia.

– Myliła się! Chciałem jej tylko dowieść, jak bardzo się myli. Gdyby się ze mną nie szamotała, nie podarłbym na niej szlafroka. Ale ona rzuciła się na mnie i kazała mi się wynosić z domu. Zagroziła,

e powie wszystko Jamie. Trzymałem

w ręku nożyczki. Po chwili już tkwiły w niej. Chyba krzyczała.

Pamiętam tylko krew – wbił wzrok w Olivię. – Wierz mi, to był

wypadek. Straszliwy błąd. Ale nie mogłem tego przecie cofnąć.

Musi zachować spokój. Stać w obronie ojca. Modlić się, eby nadeszła pomoc.

– Tuliłeś mnie, kiedy płakałam za nią.

– Bo i ja płakałem! Gdyby mnie posłuchała, nigdy by do tego nie doszło. Dlaczego miałem za to płacić? Przecie to on ją skrzywdził. A ja musiałem chronić siebie i swoje życie.

– Jak wyszedłeś z naszego domu i dotarłeś do siebie? –

spytała wstrząśnięta Olivia. – Ciocia zauważyłaby krew.

– W basenie za domem obmyłem się z krwi. W przebieralni zawsze były ubrania na zmianę. Dopiero kiedy policja przywiozła cię do nas, zacząłem się zastanawiać, czy mnie nie widziałaś albo nie słyszałaś. Dwadzieścia lat tak się zastanawiałem. I czekałem.

– Nie, nie widziałam cię. Nie znałam prawdy.

– Tak powinno zostać. Wszystko zepsuła ta ksią ka. Skąd mogłem wiedzieć, czy na pewno nie słyszałaś mojego głosu, czy nie wyjrzałaś przez okno i nie zobaczyłaś mojego samochodu?

To mi zatruwało ycie.

– Pozwoliłeś, eby mój tata poszedł do więzienia.

– Ja te yłem jak w więzieniu – łzy płynęły mu z oczu. –

Te płaciłem swoją cenę. Wiedziałem, e będziesz taka jak ona.

Wiedziałem, e gdy przyjdzie co do czego, wybierzesz jego. Ale to ju koniec. Muszę się bronić. Muszę poło yć temu kres.

I rzucił się na nią z no em.

Noah biegł i czuł, e serce dosłownie wrywa mu się z piersi. Pchał go do przodu obezwładniający strach, e mo e być za późno. Gdzieś w tym przepastnym, pogmatwanym labiryncie drzew znajdowała się Olivia.

Stanął, oparł się o świerk kanadyjski, wstrzymał oddech.

Czy to szmer głosów, czy tylko deszcz?

Tym razem jej krzyk rozległ się bardzo blisko.

Sam odepchnął Olivię, po czym zebrawszy resztkę sił, skoczył na Davida. Kiedy nó znów go rozplatał, zatoczył się i upadł, czując jedynie rozpacz. Olivia usiłowała go podtrzymać.

Wszystko rozegrało się w okamgnieniu. Ojciec wyslizgnął

jej się z rąk, a wtedy usłyszała plask nóg na mokrej ziemi.

Poczuła ukłucie no a na szyi.

– Puść ją – Noah trzymał rewolwer w klasycznej pozycji 227

policjanta.

– Rzuć broń. Bo ją zabiję. Wiesz, e to zrobię.

– I stracisz tarczę? Nie sędę – Noah dojrzał trwogę w oczach Olivii. Z szyi spływała jej cieniutka stru ka czerwieni.

– Odló broń! – David podniósł głowę Olivii no em skierowanym na płask. – Słyszysz? Zabiję ją, jeśli tego nie zrobisz!

Olivia zobaczyła, jak Noah opuszcza rękę.

– On mnie i tak zabije – powiedziała. – Niezale nie od tego, co zrobisz. A potem ciebie. Nie pozwól mu ju zniszczyć nikogo z tych, których kocham. Nie daj mu wygrać.

Zacisnęła rękę na zimnych metalowych uchwytach no yczek, potem gwałtownym ruchem wyszarpnęła je i wbiła w udo Davida.

Zawył, odruchowo opuścił rękę z no em. Wyrwała no yce i wzięła zamach, kiedy podskoczył do niej.

Usłyszała ostry świst kuli. Zobaczyła wysoko na jego piersi jasny wykwit krwi. Padł na nią. Morderczy szpic no yc przeszył

mu bezszelestnie brzuch.

Pod ciężarem jego ciała Olivia osunęła się na ziemię. Noah porwał ją w ramiona.

– Ju dobrze. Wszystko w porządku – roztrzęsiony, głaskał

ją po całym ciele. – Och, Liv, on cię zranił.

Przywarła do niego, wtuliła się całą sobą. Czowała, e ma lekką głowę.

– Bałam się, e cię zabił. Zobaczyłam krew i pomyślałam...

O nie!

– Odskokczyła. – Tata – odsunęła się i kucnęła przy ojcu. –

O nie! Błagam. Przepraszam cię. Przepraszam cię, tato – tylko rękami mogła próbować tamować mu krew.

– Nie płacz, Liv – wyciągnął rękę, eby jej dotknąć. – Tak będzie dla mnie lepiej. Mój czas dobiega końca. Chciałem cię jeszcze zobaczyć. To było moje ostatnie yczenie – uśmiechnął się słabo.

Przycisnęła twarz do jego szyi.

– Nic nie mów. Musimy zatamować krwawienie. Niedługo nas znajdą – usiłowała zrobić u ytek z kawałków materiału, które podsunął jej Noah. – Zawieziemy cię do szpitala.

– Ju ty wiesz lepiej – oczy zaczynały mu mętnieć, ale zwrócił je na Noaha. – Bystra dziewczyna, co, Brady?

– Zgadza się – Noah przycisnął kolejny strzęp swojej koszuli do rany w boku Sama. – Dlatego jej słuchaj.

– Wolę zginąć jako bohater – chrapliwy śmiech Sama uwiązł w kaszlu wstrząsającym całym ciałem. – Bawi mnie to, więc chyba zostało we mnie coś z dawnego aktora. – Ból odpływał. – Liv...

– Złapał ją za rękę. – Tamtej nocy, kiedy cię szukałem, nie chciałem cię skrzywdzić.

– Wiem. Nie zostawiaj mnie teraz, kiedy cię odzyskałam.

– Wybacz mi. W końcu cię ochroniłem. Mo e to ci wyrówna te wszystkie lata, przez które nie potrafiłem tego zrobić – wzrok mu się zamazał. – Brady, dbaj o moją małą. Liv, córeczko, pocałuj mnie na po egnanie.

Chocia łyzy dławili ją w gardle, przylgnęła wargami do 229

jego policzka. Wtedy poczuła, jak jego dłoń robi się bezwładna w jej dłoni. Obok siedział Noah, a ona w strugach deszczu tuliła na kolanach zmarłego ojca i płakała.

Olivia spała, a kiedy obudziła się, odrętwiała z szoku i alu, było ju południe. Otworzyła oczy i zobaczyła siedzącego obok Noaha.

– Nie spałeś. Trzymał ją za rękę.

– Trochę się zdrzemnąłem.

Wygląda tak wspaniale, pomyślała, z tymi przemęczonymi oczami i niewielkim zarostem.

– Ocaliłeś mi życie.

Schylił się, eby ją pocałować.

– Nie ka mi tego robić po raz wtóry.

– Obiecuję. Jak twoje ramię?

– Mógłbym powiedzieć, e to drobiazg, ale po co kłamać?

Usiadła, podciągnęła rękaw jego podkoszulka, przytknęła usta do bandy a.

– Kochana jesteś. Mo e byś się jeszcze przespała?

– Nie. Muszę wyjść na powietrze. Przejdźmy się po lesie –

ubrała się i wyciągnęła do niego rękę. – A moja rodzina? Twoi rodzice?

– Twoi dziadkowie siedzieli z Jamie prawie do świtu. Teraz jeszcze śpią. Moi rodzice są w pokoju gościnnym.

Zeszli na dół i wyszli przez kuchenne drzwi.

– Kiedy nas znaleziono – odezwała się Olivia – to nie wiem, czy twój tata bardziej był z ciebie dumny, czy tobą przera ony.

– Chyba i jedno, i drugie. Nauczył mnie obchodzić się z bronią i ją szanować. Wiem, e miał nadzieję, i nie będę musiał robić z niej uytku.

– A ja mam w głowie jeden wielki mętlik. Przez tyle lat uwa ałam ojca za mordercę, i to najgorszego pokroju. Straciłam go w wieku czterech lat, a teraz odzyskałam. Odzyskałam go, a przy tym wymazałam wszystkie cią ące na nim zarzuty. I nie mogę mu tego powiedzieć.

– On to zrozumiał.

Kiedy weszli w las, zacisnęła palce na jego dłoni.

– Tym razem nie uciekłam i nie schowałam się. A to chyba najwa niejsze.

– Liv, na ostatku dałaś mu dokładnie to, na czym mu zale ało. Spojrzałaś na niego i poznałaś go.

Pokiwała głową.

– Za to przez całe ycie kochałam wujka. Podziwiałam go, ufałam mu. A on był kimś innym, podobnie jak tata był kimś innym – westchnęła. – Bałam się, e nie będę mogła tu wrócić.

Ale mogę. Bo tak tu pięknie. Tętni ycie. I nie ma adnych potworów. Uwielbiam ten zakątek.

On dawał jej schronienie, dawał jej ycie. Teraz stanęła przed wyborem: pozostać w starym yciu albo rozpocząć nowe.

Puściła rękę Noaha. – Jest te drugie miejsce, na wybrze u.

Cudowny stary las z widokiem na Pacyfik rozbijający się o skały. – Przystanęła, spojrzała mu spokojnie w oczy. – Tam powinniśmy zbudować dom.

Spojrzał na nią z bezbrze ną radością.

– Dobrze. Z drewna czy z kamienia?

– I z jednego, i z drugiego.

Usta jej zadrząły, oczy rozblęły.

– A kiedy?

– Jak tylko poprosisz mnie o rękę.

Roześmiała się, kiedy porwał ją w ramiona.

– Tak długo na ciebie czekałem – musnął ustami jej usta. –

Nie ka mi dłużej czekać. Wyjdiesz za mnie?

– Tak – ujęła jego twarz w swoje ręce. – Ślub weźmiemy wśród lasów i kwiatów. Jak najszybciej – uśmiechnęła się do niego, wspięła na palce, eby go pocałować w policzek. –

Kocham cię, Noah. Chciałabym zacząć życie z tobą. I to zaraz.

Ju się oboje wyczekaliśmy.

